

David Morrell

Totem

(Przełożyli: Blanka Kuczborska i J.T. Mirkowicz)

TOTEM:

1. u ludów pierwotnych zwierzę albo przedmiot uważane za uosobienie przodka danej rodziny lub klanu i stanowiące ich godło.

2. wizerunek tegoż.

Jest powszechnie wiadome, że Księżyc wywiera wpływ na ludzi i zwierzęta. Zależności istnieją nie tylko między okresem owulacji u kobiet a fazami Księżyca; także najczęściej wypadków w fabrykach zdarza się w czasie pełni. Do pełnej tarczy Księżyca wyją psy, kojoty i wilki, jego dziwną moc odczuwają lunatycy.

Podobnie jak starożytni, wierzymy w związki Księżyca z miłością i płodnością. Zależne są od niego również przyływy i odpływy, a także ruchy tektoniczne skorupy ziemskiej. Był natchnieniem dla poetów, obiektem kultu dla wielu ludów pierwotnych. Dniem poświęconym Księżycowi jest poniedziałek, Lunae dies.

Jacob Steiger, *Patologia obłądu*

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Slaughter wszedł do knajpy, starając się ukryć zdenerwowanie. Był czwartek, dziesiąta wieczorem. W na wpół wypełnionej sali ludzie siedzieli przy stolikach i barze, z szafy grającej sączyła się tęskna muzyka country, ale nikt nie rozmawiał. Wszyscy obrzucili komendanta policji ukradkowym spojrzeniem i szybko przenieśli wzrok w róg sali. Siedział tam samotnie mężczyzna z butelką whisky w ręce, w kapeluszu kowbojskim zsuniętym na tył głowy.

Najbardziej jednak rzucał się w oczy rewolwer leżący przed nim na stole.

Slaughter odetchnął głęboko, podszedł do baru i z pozorną niedbałością oparł się o blat. Miał ochotę na piwo, ale wiedział, że potem nie mógłby sobie tego darować. Nie dlatego, że był na służbie, ale ponieważ piłby dla ukojenia nerwów. Nie mógł sobie pozwolić na taką słabość, bo jeszcze ludzie zaczęliby coś podejrzewać. Rzucił więc krótko:

- Colę, proszę.

Pomimo muzyki, jego słowa zabrzmiały tak głośno, jak gdyby panowała martwa cisza, i wszystkie pary oczu znów skierowały się w jego stronę. Udając, że tego nie dostrzega, pociągnął łyk ze szklanki; barman był tak wystraszony, że zapomniał dodać lodu. To i lepiej - kostki by tylko brzęczały. Slaughter rozejrzał się po sali i, jakby dopiero teraz go zauważył, z uśmiechem skinął głową mężczyźnie w rogu.

- Cześć, Willie.

- Czołem, komendancie.

- Mogę się przysiąść?

- Proszę bardzo. Pod warunkiem, że nie zasłonisz mi drzwi.

- Jeśli tylko o to ci chodzi...

Slaughter podszedł do stolika i usiadł po prawej ręce Williego, żeby w razie czego móc chwycić rewolwer, ale mężczyzna odsunął się szybko z krzesłem, zabierając broń.

Slaughter upił trochę coli i choć ręce nieznacznie mu drżały, położył je obie przed sobą na stole.

- Siedzisz tu tak sam, Willie?

- Właśnie. Siedzę tu całkiem sam. Hej, wy dwaj, gdzie lezicie, do kurwy nędzy?

Slaughterowi udało się zachować kamienną twarz, kiedy Willie chwycił rewolwer i skierował go w stronę dwóch młodych kowbojów zmierzających do drzwi.

- Idziemy rano do pracy.

- Macie tu zostać. Napijcie się jeszcze po jednym. Ja stawiam.

- Ale nie możemy...

- Radzę wam posłuchać.

Willie odciągnął kurek. Kowboje spojrzeli po sobie i zawrócili w stronę kontuaru.

- O właśnie. Napijcie się.

Willie wolno odłożył rewolwer.

Slaughter obserwował go uważnie. Sam był nieźle zbudowany, ale nie aż tak potężnie jak Willie. W zamglonych alkoholem oczach olbrzyma migotały złe błyski. Nie chciał z nim walczyć; wiedział, że Willie dobrowolnie nie odda broni, a jeśli on wyciągnie swoją, wywiąże się strzelanina.

Wskazał głową na dwóch młodych kowbojów.

- O co chodzi, Willie? Chłopcy chcą się trochę przespać.

- Mają jeszcze wiele czasu na spanie. Są młodzi. Nie potrzebują tyle snu.

- Wygląda na to, że i tobie nie zaszkodziłoby walnąć się do łóżka.

Willie odwrócił się do niego.

- Jesteś pewien, że chcesz tu siedzieć?

- Próbuję tylko nawiązać rozmowę.

- A skąd wiesz, że chcę rozmawiać?

Komendant wzruszył ramionami i upił łyk coli.

- Jak sobie życzysz. - Odczekał chwilę. - Dlaczego siedzisz ze spluwą, Willie?

- Mam swój powód. Czekam sobie.

- Na kogoś, kogo znam?

Willie nie odpowiedział.

- Na kogoś, kogo...

- Jasne, że go znasz. Czekam na brata.

Oczy Williego zwięziły się; podniósł butelkę whisky do ust. Slaughter pochylił się, zamierzając chwycić rewolwer, ale kiedy zobaczył, jak Willie, pijąc, patrzy na niego kątem oka, nie wyciągnął ręki.

- Mądra decyzja - pochwalił go olbrzym.

- Pewnie tak.

- Nie chciałbym cię zastrzelić.

- To miło. Ale ci ludzie...
- Zostaną tutaj.
- Jeśli twój brat przyjdzie...
- Przyjdzie, przyjdzie. Zawsze przychodzi. Już powinien tu być.
- Ale ci ludzie... jeśli dojdzie do rozróby... Nie chcesz chyba, żeby im się coś stało.
- Nie chcę, żeby wyszli i go ostrzegli.
- Tak, rozumiem... Musiał ci mocno...
- Nie będę o tym mówić. - Willie zwrócił się do mężczyzny stojącego przy szafie grającej. - Puść od nowa tę piosenkę! Słyszysz chyba, że się skończyła! Puść ją, do jasnej cholery!

Mężczyzna szybko wrzucił monetę i nacisnął guzik. Ze zdartej płyty popłynęła ta sama smutna melodia.

- No, od razu przyjemniej.

Willie uśmiechnął się i pociągnął whisky.

Cóż mogę poradzić, że...

- Złapałeś go ze swoją żoną?

- Doszły mnie słuchy.

- Słuchy to jeszcze nie fakt.

- Powiedział mi recepcjonista z motelu przy autostradzie.

- To poważniejsza sprawa.

- Właśnie, do kurwy nędzy!

Slaughter wolno przeniósł wzrok z rewolweru na drzwi.

- Willie, przecież w gruncie rzeczy wcale tego nie chcesz.

Willie prychnął.

- Przypuśćmy, że go zabijesz.

- No, przypuśćmy.

- Potem będziesz jeszcze musiał rozprawić się ze mną i całą masą innych.

- Nie obchodzi mnie, co będzie potem. Jak go zabiję, to niech się dzieje, co chce.

- Pomyśl tylko przez chwilę. Gdybyś naprawdę chciał go zabić, czekałbyś w krzakach.

Ale nie, przychodzisz tutaj, żeby pokazać, że to nie żarty, a w głębi ducha masz nadzieję, że ktoś cię od tego odwiedzie.

- Wiesz, ją też powinienem zabić, ale ona zawsze była słaba. I zawsze jej się podobał.

- Nie przyniesie ci żadnej ujmy, jeśli...
- Slaughter, może byś się wreszcie zamknął, co?

Komendant poczuł ucisk w żołądku. Willie odsunął się gwałtownie od stołu, jednocześnie podnosząc rewolwer.

Slaughter aż podskoczył; nagle zobaczył, że w drzwiach stoi brat Williego, Orval.

- Nie ruszaj się, ty bydlaku!

Ale Orval nie posłuchał, tylko ruszył przez salę; ludzie rozpierchli się w popłochu. Olbrzym wziął brata na cel.

- Willie! - krzyknął Slaughter.

Orval podniósł ręce. Slaughter poderwał się z krzesła i rzucił na Williego, szarpiąc się z nim, żeby mu wyrwać broń, albo przynajmniej skierować lufą w sufit.

- W porządku, komendancie. Niech mnie zastrzeli - odezwał się Orval.

Obaj szamoczący się mężczyźni zastygli bez ruchu, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co?

- Słyszałeś, Willie. Zasłużyłem na to.

- Właśnie, do kurwy nędzy!

- Wypieprzyłem ją. Do diabła, nie będę zaprzeczać, choć po prawdzie to ona wypieprzyła mnie. Prawie mnie zgwałciła, jeśli chcesz wiedzieć.

Slaughter mocniej zacisnął rękę na nadgarstku Williego.

- To moja żona!

- No właśnie, o tym też chciałem pogadać. Siedzi teraz w autobusie. Na twoim miejscu dziękowałbym Bogu.

Slaughter wyszarpnął Williemu rewolwer. Cofnął się o krok, z nadzieją, że nikt nie zauważy, jak drżą mu ręce.

Willie rzucił się do drzwi.

- Hej, pozwól jej wyjechać, na miłość boską. Gdzie ty byłeś, mały? Wszędzie cię szukałem.

Willie zatrzymał się i wlepił wzrok w brata.

- Czekałem tu na ciebie.

- Powinienem się domyślić. Zawsze tu jesteś po dziesiątej - powiedział Orval.

Willie nie spuszczał z niego oczu. A potem nagle zarechotał.

- Ty świński ryju.

- No, no, nie nazywaj mnie tak, bo pójde do domu po własną spluwę. Albo nie. Użyję

twojej. Hej, komendancie, daj no na chwilę tę pukawkę.

- Nic ci po niej. Jest nie nabita - powiedział Willie.

- Co takiego?

Bracia wybuchnęli śmiechem.

Slaughter spojrział w dół, na rewolwer w dłoni. Wypchnął bębenek i zobaczył, że rzeczywiście nie ma w nim naboju.

Bracia nadal ryczeli ze śmiechu.

- Chciałem ci napędzić pietra.

Slaughter poczuł niemoc, która nie zostawiała nawet miejsca na złość. Patrzył bez słowa na rewolwer, a potem wciąż drżącą ręką wsunął go za pas. Mógłby zabrać Williego na posterunek pod zarzutem zakłócania spokoju, ale nie widział w tym sensu. Broń była nie nabita. Nikomu nic się nie stało. Klienci baru zaczynali już się bawić całą sytuacją. Będą mieli się z czego śmiać przez ładne parę miesięcy. Machnął ręką i podszedł do braci.

- Willie, właściwie powinienem...

- Bez urazy, komendancie.

- Ale jeśli jeszcze raz wytniesz taki numer, nie ujdzie ci to na sucho! - Udał, że śmieje się wraz z nimi. Bracia podeszli do baru.

- Ja stawiam - powiedział Orval.

Slaughter ruszył do drzwi.

- Hej, co z moim rewolwerem?

- Możesz się z nim pożegnać, Willie.

- Niech go weźmie - wtrącił Orval. - Za ten numer mógł cię wsadzić do paki!

Slaughter podszedł do drzwi.

- Dobrze, że pan przyjechał - powiedział stojący przy nich właściciel knajpy. - To się mogło skończyć inaczej.

- Tak, mieliśmy szczęście. - Slaughter kiwnął głową na pożegnanie. Wychodząc usłyszał jeszcze słowa jednego z braci:

- Była naprawdę okropna. Jak mogłeś z nią wytrzymać tyle lat?

Zamknął za sobą drzwi i wyszedł na ulicę skapaną blaskiem księżyca. Po uszy miał tych braciszków, ich pijaństwa, ich kawałów. Już nieraz sprawiali mu kłopoty. Powinien się domyślić, że nic strasznego się nie stanie. Będą teraz pili do zamknięcia lokalu, a potem pójdą do burdelu. Wódka i baby, jedynie to ich interesuje. Żona Williego tylko im przeszkadzała, choć kto wie, czy nie przespała się z Orvałem wyłącznie po to, żeby skłócić braci i w zamieszaniu dać nogę z miasta. Trudno powiedzieć. Slaughter nie przypuszczał, że jest dość

sprytna, by ukartować coś takiego. Ale był pewien, że Willie nigdy nie pozwoliłby jej uciec, gdyby puściła się z kimś innym, nie z jego bratem.

Spojrzał znów na swoje trzęsące się ręce i pokręcił głową. Że też tych dwóch gówniarzy napędziło mu stracha! Powinien się wstydzić. Podeszedł do radiowozu, wsiadł i spojrzał przez szybę na migoczący w oddali księżyc.

Tak, to miasto było pełne podobnych typów. Jesteśmy siebie warci - pomyślał. Do diabła, rewolwer nie był nawet nabity. Nie mógł opanować drżenia rąk. Swego czasu nie dałbyś się tak łatwo nabrać - powiedział sobie, mocując się z kluczykami, zanim wsunął właściwy do stacyjki. Tak, ale to było w innym mieście.

Wreszcie zapalił silnik i, choć nadal miał miękkie kolana, kiedy naciskał sprzęgło lub gaz, ruszył wolno w kierunku przedmieścia.

Przyjechał tu z Detroit pięć lat temu. Nigdy nikomu nie zdradził, co go naprawdę do tego skłoniło. Mówił, że miał dość życia w wielkim mieście, dość ustawicznej przemocy. Przyjechał do Wyoming w poszukiwaniu lepszego, spokojniejszego życia, i za zaoszczędzone pieniądze próbował z początku swych sił jako hodowca koni. Ale niezbyt mu to szło i kiedy zmarł dotychczasowy komendant policji, poddał się i wystąpił do rady miejskiej o tę pracę. W końcu był wyszkolonym policjantem i nie sądził, aby w małej miejscinie czekały go kłopoty, którym by nie podolał. Tak sobie przynajmniej mówił. Ale za każdym razem kiedy przerywał bójkę, zbliżał się do rozbitego samochodu albo wchodził w nocy do sklepu, bo spostrzegł nie domknięte drzwi, czuł znajomy, czasem mocno dokuczliwy skurcz żołądka i ręce zaczynały mu się pocić. Chwilami podejrzewał, że tylko po to wrócił do pracy w policji, żeby uporać się z przeszłością.

Nikt nic o nim nie wiedział i nikt nic nie zauważał. Z początku niektórzy się obawiali, że jako przybysz ze wschodu może być dla nich zbyt ostry, może traktować ich równie bezwzględnie jak wielkomijskich przestępców. Ale członkowie rady zatelefonowali do Detroit i dowiedzieli się, że cieszy się jeszcze lepszą opinią, niż sam twierdzi. Jego dawni przełożeni poinformowali radnych, że nigdy nie było na niego żadnej skargi i nigdy nie nadużywał swoich uprawnień. Przyjęto go więc na okres próbny, a ponieważ wszystkim bardzo się podobał, dostał pracę na stałe. Przestępczość w mieście spadła błyskawicznie.

On też polubił tutejszych mieszkańców. Wprawdzie mówił sobie czasem, że strasznie nisko upadł, skoro musi zajmować się takimi dupkami jak ci dwaj bracia, ale właściwie ich też lubił. Przy całej swojej głupocie i skłonności do rozróby nie byli z gruntu źli. Większość obywateli stanowili tu prostoduszni, dobrzy ludzie. Problemy, jakie go nękały, były jego własne, przywiózł je ze sobą, nikt z tubylców mu ich nie przysparzał. Ponadto miał tu swoje

ranczo, jak lubił je nazywać, choć posiadał tylko dwa hektary, na których pasły się jego dwa konie. Ale sam dom był bardzo wygodny. Miał też przyjaciół: ludzi, z którymi pracował. Kiedyś był żonaty, ale żona rozwiodła się z nim; to się często zdarza wśród policjantów, dla których praca jest ważniejsza od małżeństwa. Zatrzymała dzieci, chłopca i dziewczynkę; rzadko je widywał, tylko kiedy przyjeżdżały w odwiedziny. Bawiły u niego miesiąc temu; od ich wyjazdu doskwierała mu samotność. Ale poza tym było mu tu bardzo dobrze. Choć jak każdy bał się śmierci, przynajmniej mógł być pewien, że nie zakończy życia wykrwawiając się w jakimś ciemnym zaułku.

Spojrzał na góry otaczające dolinę: pokryte śniegiem wystrzępione szczyty osrebrał blask księżyca. Później skoncentrował uwagę na drodze, którą jechał przez przedmieście w kierunku autostrady. Wypatrując przekraczających dozwoloną prędkość kierowców, dojrzał obły kształt leżący na poboczu. Najpierw myślał, że to worek, który spadł z jakiejś ciężarówki, ale kiedy podjechał bliżej, w świetle reflektorów zobaczył plecak i rozciągnięte pod nim ciało.

Ze zgrzytem opon zatrzymał się na przydrożnym żwirze, nie gasząc silnika ani świateł. Żeby lepiej widzieć, zapalił jeszcze specjalny reflektor zamontowany przy lusterku. Przez chwilę się wahał, ale awantura w barze pomogła mu się przełamać. Po niedawnym napięciu był teraz znacznie spokojniejszy, mniej rozedrgany w środku. Z latarką w ręce, wysiadł z samochodu przy wtórze świerszczy ukrytych w wysokiej trawie. Raz jeszcze przystanął na moment w pełnym świetle księżyca, potarł usta i ruszył w kierunku ciała.

Był to mężczyzna. Leżał policzkiem na żwirze. Dwadzieścia parę lat. Strój do turystyki górskiej. Pionierki.

Pochyliwszy się, Slaughter zobaczył, że oczy chłopaka są zamknięte. Wziął go za nadgarstek, ale nie wyczuł pulsu, a dłoń opadała bezwładnie. To się musiało stać niedawno. Ciało jeszcze nie zaczęło sztywnieć. Co się tu mogło wydarzyć? Na ramieniu i biodrze dojrzał zakrzepłą krew. Chłopak był zapewne ofiarą wypadku drogowego, którego sprawca zbiegł. Ale jeśli wypadek zdarzył się niedawno, krew nie zdążyłaby skrzepnąć. Slaughter nic nie rozumiał.

Przeszukał plecak, znalazł nylonowy namiot i resztki żywności. Potrząsnął manierką. Na dnie pozostała już tylko odrobina wody. Sądząc po zaroście, chłopak spędził w górach ładne parę dni. Pewnie wybrał się do miasta, żeby uzupełnić zapasy, ale dotarł do szosy już po zmroku i ktoś go potrącił. Może zatrzymując auta wyszedł na środek i, obciążony plecakiem, nie zdążył w porę uskoczyć. Biedny szczył. Slaughter westchnął głęboko i wyprostował się, spoglądając na wysoką trawę, a potem na księżyc. Trzeba będzie sprawdzić, czy chłopak ma

w portfelu jakiś dokument stwierdzający tożsamość. Ale na razie musiał wrócić do samochodu, wezwać ludzi z posterunku i kogoś z kostnicy.

2

Niewidomy wyczuł niebezpieczeństwo niemal jednocześnie z psem.

- Co się stało?

Pies, wyraźnie zdenerwowany, przysunął się bliżej.

- Jest tu kto?

Nikt nie odpowiedział. Znajdowali się w bocznej alejce, kilka kroków od domu. Ta część miasta była stara, podobnie jak sam niewidomy; z rozmów z sąsiadami wiedział, że domy są tu dobrze utrzymane, okazałe, otoczone drzewami i krzewami.

Pies zawarczał. Niewidomy wyszedł z nim na spacer, żeby przed snem zażyć trochę ruchu. Jego zegarek Braille'a pokazywał wprawdzie, że dochodzi północ, ale ta pora mu odpowiadała - było ciszej, mniej ludzi, panował przyjemny spokój. Często spacerował nocą, ale nigdy dotąd nie czuł się zagrożony. Teraz jednak zaniepokoił go szmer w pobliskich krzakach. W oddali usłyszał warkot samochodu.

- Jest tu kto? - zapytał ponownie.

Poczuł, że pies ciągnie go z powrotem w kierunku domu. Wciąż warczał i niewidomy nie mógł zrozumieć, co się dzieje. W końcu był to duży owczarek niemiecki; nikt o zdrowych zmysłach z nim nie zadzierał. Sam miał na sobie stare ubranie, więc nie wyglądał zamożnie.

Może to jakieś zwierzę? Ale jakie zwierzę tu, w mieście, mogło tak wystraszyć psa? Był wytresowany, żeby nie zwracać uwagi na koty ani na psy, a poza tym nie szarpał się do przodu, tylko ciągnął swojego pana z powrotem do domu.

Przez całe dziesięć lat niewidomy ani razu nie słyszał, żeby jego pies tak warczał. W krzakach znów coś zaszeleściło. Pies ciągnął z niespotykanym uporem.

W końcu niewidomy poddał się i ruszył za owczarkiem, jak zwykle powłócząc nogami. Musiał jednak przyspieszyć, żeby dotrzymać psu kroku. Starał się nie ulegać panice, ale strach podchodził mu do gardła, a szelest za plecami się wzmacniał.

Potknął się na chodniku, kiedy pies skręcił w stronę domu. Wymacując stopnie laską, zaczął się wspinać po schodach. Spieszył się, bo znał dobrze psa, wiedział, że nie jest tchórzliwy. Jedynym celem tresowanego owczarka było zapewnienie bezpieczeństwa

swojemu panu.

Ślepiec wymacał zamek, wsunął i przekręcił klucz, po czym wpadł do środka i zatrzasnął drzwi.

W następnej chwili coś walnęło w nie od zewnątrz.

3

Slaughter stał obok karetki pogotowia i patrzył, jak dwóch sanitariuszy wyjmują z niej ciało, układa je na wózku i wiezie do drzwi wahadłowych na tyłach szpitala. Wcześniej błyskawicznie zaaplikowali ofierze zastrzyki pobudzające akcję serca oraz podali tlen przez maskę, ale bez reakcji. Teraz, pewni, że mają do czynienia z trupem, już się nie spieszyli.

Niemal powłócząc nogami, weszli do budynku. Slaughter wiedział, że ich powolność nie ma nic wspólnego z obojętnością, gdyż wielokrotnie obserwował podobne sceny, zarówno tu, jak i w Detroit. Mieli nadzieję, że uda im się przywrócić turystę do życia, a skoro się nie udało, rozczarowanie zgasiło ich energię.

Pielęgniarki siedzące w rejestracji popatrzyły na ciało przykryte prześcieradłem, a stojący obok starszy mężczyzna, doktor Markle, skierował na Slaughter'a zatroskane spojrzenie.

- Ciężka noc, co, Nathan? - spytał.

- Właściwie nie. Dopiero to.

- Dyżurny powiedział, że przywozicie ofiarę wypadku.

- Na to wygląda. Mam zdjęcia, jeśli chcesz obejrzeć. - Slaughter podał lekarzowi kopertę. - Moi ludzie są nadal na miejscu. Szukają śladów opon, przeczesują trawę na poboczu. Sądzę, że facet zmarł na skutek potrącenia przez samochód, chyba że sekcja wykaze coś innego.

- Miał przy sobie dokumenty?

- Tak, w portfelu. Nie znam go. Joseph Litton. Dwadzieścia osiem lat. Z Omahy, w Nebrasce. Wygląda na to, że wędrował po górach. Nie wiadomo, czy był żonaty, czy miał rodzinę.

- Przynajmniej nie trzeba natychmiast nikogo zawiadamić.

- Ale chciałbym rano mieć wynik sekcji. Jeśli się potwierdzi, że to ofiara wypadku, muszę jak najszybciej wysłać ludzi, żeby sprawdzili warsztaty.

- Nie ma sprawy. Do rana skończę. Mój Boże, to dopiero czwartek. Ładny weekend się nam zapowiada, skoro już zaczynają się kłopoty.

Spojrzeni na prześcieradło zakrywające ciało na wózku. Dwaj sanitariusze wieźli je teraz korytarzem do windy; Slaughter potrząsnął smutno głową i wraz z lekarzem ruszył za wózkiem.

Komendant popatrzył uważnie na starego przyjaciela. Markle był wymizerowany, poruszał się z trudem, drobne, chude ciało chyliło się do ziemi, siwe włosy były przerzedzone i matowe. Na policzkach i szyi zwisały fałdy skóry. Przez te dwa miesiące, odkąd zmarła mu żona, naprawdę się posunął. Slaughterowi nie podobał się jego świszczący oddech ani szarość twarzy i rąk.

- Myślałem, że trochę sobie odpoczniesz, nie będziesz już brał nocnych dyżurów - rzekł.

- Trudno pozbyć się starych nawyków.

- Ale te nocne dyżury...

- To sposób na wypełnienie sobie czasu. W domu nie mam co robić. Czuję się dobrze, wierz mi.

Slaughter nie wierzył. Ale znał przyjaciela, wiedział, że jest twardy i uparty, wiedział też, że cokolwiek powie, nie zmieni jego przyzwyczajień.

Stanął przy windzie i nacisnął guzik.

- W każdym razie nie musisz się spieszyć. Masz przed sobą całą noc.

- Nie przewiduję żadnych trudności. Powiem ci, co zrobimy. Jak zwykle wracasz do domu o drugiej?

Slaughter kiwnął głową.

- Wstąp tu po drodze. Może będę już coś wiedział.

- Chciałbym mieć twoją energię.

- Masz, tylko o tym nie wiesz. Słuchaj, nie martw się tak. Accum wrócił już z sympozjum w Seattle. Bierze podwójny dyżur. Będę miał masę czasu na wypoczynek.

- Mam nadzieję.

Drzwi windy rozsunęły się. Slaughter patrzył, jak Markle wchodzi do środka z dwoma sanitariuszami i ciałem. Staruszek odwrócił się, żeby nacisnąć właściwy guzik, po czym z uśmiechem puścił oko do komendanta. W następnej chwili drzwi zasunęły się i winda zaczęła zjeżdżać do kostnicy w podziemiach.

Slaughter ociągał się chwilę, zanim odszedł. Dzielny stary Markle. I jeszcze puszcza oko! Slaughter uśmiechnął się. Minał rejestrację, wyszedł na zewnątrz i skierował się do

radiowozu. Poznał Markle'a w pierwszych dniach po objęciu stanowiska komendanta. Znalaziono zwłoki człowieka zabitego z broni palnej i stary udowodnił, że było to samobójstwo. Slaughter z ulgą stwierdził, że choć miasto jest o tyle mniejsze od Detroit, może liczyć na fachową pomoc, do jakiej jest przyzwyczajony. Nie tylko ze strony Markle'a, ale również głównego anatomopatologa, Accuma, jeszcze lepszego specjalisty. Ale Markle był bardziej przyjacielski i bardziej pomocny, nie tylko w pracy, lecz również na gruncie towarzyskim. Wprowadził Slaughtera w tajniki tutejszej społeczności, pokazał mu, kto jest kim we władzach miasta, i pomógł poczuć się pewniej w nowej roli. W krótkim czasie stali się bliskimi przyjaciółmi. Bywali u siebie w weekendy, chodzili po pracy na chili i dzwonili do siebie regularnie. Slaughter lubił starego lekarza i jego żonę, której śmierć opłakiwał wraz z nim, starając się go pocieszyć, jak mógł. Cóż, dziś w nocy jeszcze się zobaczą i może umówią na weekend.

Wyjechał z parkingu. Radio pod tablicą rozdzielczą zatrzeszczało.

- Tak, tu Slaughter.

- Na ulicy w pobliżu szpitala grasuje jakiś włóczęga.

- Załatwię to. Gdzie go widziano?

Wysłuchał informacji oficera dyżurnego i odwiesił mikrofon. Chciał już włączyć syrenę, ale się rozmyślił. Tak, staruszek miał rację. Weekend ładnie się zapowiada, skoro kłopoty zaczynają się już w czwartek.

4

Markle patrzył, jak sanitariusze wwożą zwłoki do kostnicy. Składała się z trzech pomieszczeń w podziemiach. Jedno było czymś w rodzaju przebieralni, z umywalką i szafą na fartuchy. W drugim znajdowały się trzy stoły z rowkami i rynienką na krew; nad nimi wisiał mikrofon. Były tu szafki na instrumenty, lada, zielone kafelki na ścianach i świetlówki na suficie. Wszędzie unosił się zapach mocnych środków dezynfekujących. Najdalsze, trzecie pomieszczenie stanowiła chłodnia, w której w razie potrzeby trzymano zwłoki, opóźniając proces rozkładu.

Wciągając w nozdrza ostry zapach, Markle patrzył, jak sanitariusze układają nagie ciało na środkowym stole i zarzucają na nie prześcieradło.

- Czy możemy panu w czymś jeszcze pomóc?

- Nie, wystarczy, że go rozebraliście. Dam sobie radę. Ale zostawcie wózek w przebieralni. Przyda się, jak skończę.

Kiwnęli głowami.

- Niesamowitą mamy dziś noc.

- Tak? Dlaczego?

- Przez ten księżyc. Świeci tak jasno, że można by jeździć bez świateł.

- Ba, zmienia się pora roku, nadchodzi lato. Po tych wszystkich deszczach zapomnieliśmy, jak wygląda pogodna noc.

- Tak, pewno ma pan rację. Musimy wracać na dyżur. Chyba nie trzeba będzie już nigdzie jechać, ale powinniśmy być na górze. Na wszelki wypadek.

- Do zobaczenia później.

- Niech pan wpadnie do nas na kawę.

- Zajrzę, obiecuję.

Markle zaczął ściągać prześcieradło z ciała. Usłyszał trzask drzwi, gdy sanitariusze wyszli z przebieralni, potem jeszcze jeden trzask, gdy opuścili hol. Nareszcie był sam.

Twarz wykrzywił mu grymas bólu, spotęgowanego wysiłkiem, żeby nic po sobie nie pokazać, kiedy z nimi rozmawiał. Oparł się o najbliższy stół i z trudem chwytając powietrze, walcząc z bólem ściskającym mu klatkę piersiową, nerwowo zaczął szukać w kieszeni lekarstwa. Wreszcie znalazł tabletkę i włożył do ust, lecz język miał zbyt wyschnięty, żeby ją przełknąć. Przesunął się do lady, nalał sobie trochę wody w pustą zlewkę i popił. Kilka kropli pociekło mu po policzku. Chwycił się lady i czekał; mijające sekundy złożyły się w pełną minutę. W końcu ból ustąpił i Markle znów mógł odetchnąć głębiej.

Nie całkiem głęboko, ale na tyle, żeby się wyprostować. Wyjął chusteczkę do nosa, otarł podbródek i czoło.

To było szaleństwo. Powinien iść do domu, ale wiedział, że Slaughter czeka na wyniki sekcji, a Accum przyjdzie do pracy dopiero nazajutrz. Zresztą pał sześć wyniki, chodzi o to, że jeśli dowiedzą się o tych bólach, nie pozwolą mu pracować. I co wtedy zrobi? Położy się do łóżka i będzie czekał na śmierć? Nie, ten ból to tylko *angina pectoris*. Poradzi sobie z tym. Nikt nie musi wiedzieć.

Staął prościej, pewniej. W ciągu następnej minuty poczuł się na tyle lepiej, że postanowił dojść do przebieralni. Udało mu się to bez trudu, więc usiadł i powiedział sobie, że teraz, po zażyciu lekarstwa, nie ma się już o co martwić. A jednak miał kłopoty z oddychaniem, kiedy się mył, wkładał fartuch, maskę na twarz i czepek. W masce oddychało się jeszcze ciężiej, z wysiłkiem wciągał przez nią powietrze, ale lata praktyki zrobiły swoje.

Włożył gumowe rękawiczki i wrócił do pomieszczenia, w którym znajdowały się stoły. Środkowy stół był pusty.

Markle rozejrzał się. Czuł, że na piersi znów zaciska mu się żelazna obręcz.

Na podłodze zobaczył zrzucone prześcieradło.

- Co u dia...?

Był pewien, że mężczyzna nie żyje. Słyszał, co mówili sanitariusze. Sam też szukał u niego oznak życia, bez rezultatu.

- Co do diabła...?

Przeniósł wzrok na drzwi wiodące do chłodni. Były nie domknięte. Jeśli ten człowiek jakimś cudem ożył, musiał być zdumiony, przerażony. Chciał czym prędzej znaleźć kogoś, kto by mu powiedział, co się stało, ale z dwojga drzwi wybrał te niewłaściwe, do chłodni. Nie leżały tam wprawdzie żadne zwłoki, ale na pewno już się zorientował, że to kostnica. I jest nieprzytomny ze strachu.

Drzwi otworzyły się wolno, ukazując nagiego mężczyznę, który wydał z siebie odgłos podobny do warczenia.

- O mój Boże, nie.

Markle cofnął się. Zobaczył rany na ramieniu i biodrze, rany, które zdziwiły go już w trakcie rozbierania ofiary wypadku przez sanitariuszy. Samochód nie zostawia takich obrażeń. Powstrzymał się jednak z osądem do czasu bliższych oględzin. Patrząc teraz na mężczyznę posuwającego się w jego kierunku, na oczy - oczy, które nie mogły znieść światła, więc ranny osłaniał je ramieniem - nabrał pewności, że to nie wypadek samochodowy był przyczyną tragedii. Cofał się dalej, aż uderzył plecami o ścianę. Przeszył go ostry, promieniujący ból.

- Dobry Boże, proszę, nie... - wyszeptał jeszcze.

Przez jedną, niewiarygodnie długą sekundę widział twarz żony. Pomyślał o Slaughterze; żałował, że się z nim nie pożegnał. Pomyślał o bardzo wielu rzeczach. Nagi mężczyzna zbliżył się do niego, rozpościerając ręce. Markle wstrzymał oddech i zaczął zsuwać się po ścianie. Czuł, że coś rozrywa mu pierś. Jakaś cząstką świadomości spojrział na siebie jakby z zewnątrz, a potem obserwujący i obserwowany rozplynęli się w nicość.

5

Slaughter przeszukiwał chaszczę, na wszelki wypadek trzymając rękę przy kaburze.

Był pięć przecznic od szpitala. Domy były tu obdrapane, bez płotów, obrośnięte gęstymi, splątanymi krzakami; na tyłach majaczyły ogromne drzewa, jak w lesie. Komendant oświetlał sobie drogę latarką, ale księżyc stał tak wysoko, że miejscami było jasno jak w dzień. Mimo to co rusz się potykał: o kupę kamieni, o starą piaskownicę, o wywrócony karmnik. Wszędzie tu mógł się ktoś ukryć. Krzaki rosły tak gęsto, że łatwo go było przeoczyć. Slaughter rozglądał się w świetle księżyca. Podejrzywał, że wszystkie ogródki w tej okolicy są podobnie zapuszczone. Może sobie szukać całą noc, krążąc dookoła, a i tak nie znajdzie włóczęgi. Do diabła, przecież ten typ spokojnie może się przemieszczać w miejsce, które on właśnie sprawdził. To do niczego nie prowadzi!

Tylko musisz być pewien, że nie próbujesz się sam oszukać - powiedział sobie. Chcesz zaprzestać poszukiwań? W porządku. Włóczęga, jeśli w ogóle tu był, pewnie dawno sobie poszedł i popija gdzieś piwo. Ale równie dobrze czyha tuż obok, czekając na właściwy moment, żeby się na ciebie rzucić. Może chcesz zrezygnować, bo się boisz?

Nie. Spędziłem tu już pół godziny. To nie ma sensu.

A więc jesteś pewien?

Tak.

W porządku.

Ostatecznie przestał się wahać, kiedy wpadł na krzak róży i podrapał się dotkliwie. Odwrócił się i popatrzył na dom, z którego zgłoszono obecność włóczęgi. W środku paliły się światła, ganek wychodzący na tył ogrodu był również oświetlony; za oszklonymi drzwiami stała kobieta i wpatrywała się w ciemność.

Przedarł się przez chaszcze na zaniedbany trawnik. Zdjął go strach, że włóczęga zaatakuje go od tyłu, i miał ochotę się obejrzeć, ale wziął się w garść, wszedł po skrzypiących schodach na ganek i zajrzał przez drzwi.

- Nic nie znalazłem, proszę pani. Przykro mi.

Kobieta miała jakieś sześćdziesiąt lat, ufarbowane na rudo włosy i mocno umalowane usta; oburącz przytrzymywała poły szlafroka.

- Widziałam go, panie Slaughter. Czaił się w tych krzakach, a potem przekradł się na czworakach przez trawnik.

- Nie twierdzą, że się pani myli. Ale jest ciemno. Może to był pies.

Potrząsnęła głową.

- Na pewno nie.

- Nie sadzę, żeby tu wrócił. Niech pani dobrze zamknie drzwi i nie gasi światła na ganku. Jeśli znów coś pani zobaczy, proszę dzwonić na posterunek. Natychmiast ktoś przy-

jedzie.

- I to wszystko? Już po krzyku?

- Nie wiemy, kto tu był. Nic pani nie zrobił. Może to po prostu jakiś pijak wracający na czworakach do domu. Dopilnuję, żeby radiowóz przejechał tędy dziś w nocy parę razy.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Tyle tu domów naokoło, czemu miałby się włamywać akurat do pani? Niech się pani położy. Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie mnie.

- Rozumiem panią. To naprawdę nieprzyjemne.

Powiedział jeszcze parę uspokajających słów i poczekał, aż kobieta zamknie drzwi na zasuwę. Kiedy zszedł z ganku, znów ogarnął go mrok. Obchodząc dom zobaczył, że kobieta zapala w nim każdą żarówkę. Cóż, nie zaszkodzi - pomyślał. Może będzie jej łatwiej zasnąć. Wsiadł do samochodu i ruszył; jadąc ulicą, wpatrywał się w krzaki wokół domów.

W Detroit taka noc byłaby zupełnie normalna, a nawet spokojna, ale tutaj była czymś niecodziennym. Sam włóczęga jeszcze nie stanowił sensacji, zakładając że kobieta rzeczywiście go widziała. Od czasu do czasu zdarzały się takie wezwania. Ale teraz, po tej historii z braćmi i znalezieniu zwłok, Slaughter miał wrażenie, że kłopoty zaczynają się mnożyć; ogarnęło go złe przeczucie.

Minął cztery przecznice i znalazł się w nowszej dzielnicy miasta; po obu stronach stały porządne, zadbane domy, w których pogaszono już światła. Jednakże, ku zdziwieniu komendanta, dziesiąty dom po prawej stronie był oświetlony. Myśląc o włóczędze i o kobiecie, która ze strachu włączyła wszystkie lampy, podjechał pod dom i zatrzymał wóz. Zanim wszedł po schodkach i zadzwonił do drzwi, sprawdził dokładnie ogród.

Usłyszał dźwięk dzwonka w środku. Czekał, ale nikt nie podchodził. Zadzwonił jeszcze raz. Był już niemal gotów wyważyć drzwi, kiedy wreszcie się otworzyły.

- Pan komendant?

- Włóczy się tu jakiś podejrzany typ. Kiedy zobaczyłem światło...

- Wszystko w porządku. Dziękuję za ostrzeżenie... Piekę chleb. Chcesz spróbować?

- Jestem na służbie.

- Możesz wziąć kanapkę ze sobą.

Slaughter kiwnął głową z uśmiechem, wszedł i pocałował kobietę. Była wysoka, choć nie tak jak on. Przycisnęła się do niego, przylegając wyzywająco piersiami.

- Trzeba przyznać, że umiesz się witać z dziewczyną - powiedziała, odsuwając się z uśmiechem.

- Rutyna, moja droga.

- Nie świętusz, Nathan.

Znów do niego przyłgnęła. Tym razem przy pocałunku śmiało wsunęła mu język do ust.

- Chwileczkę, mówiłem, że jestem na służbie.

- Nie masz nawet dziesięciu minut?

- Masz jakiś sposób, żeby to trwało aż tak długo?

Podniósł brew, a ona się roześmiała.

- Chodź zjeść kromkę chleba, zanim zaczną cię dręczyć wyrzuty sumienia.

Wzięła go za rękę i poprowadziła przez hol do kuchni. Slaughterowi podobały się białe ściany i czystość, jaka tu zawsze panowała.

Jednak kiedy zobaczył kuchnię, wybuchnął głośnym śmiechem.

- Co za tajfun tędy przeszedł?

- Nie co dzień piekę chleb.

- Mam nadzieję. Będziesz sprzątać całą noc.

- Chyba że później przyjedziesz mi pomóc.

- W sypialni też jest taki bałagan?

Wciągnąwszy w nozdrza zapach drożdży, popatrzył na odcisk zabrudzonej mąką dłoni na dzinsach kobiety. Obserwował jej ruchy, kiedy kroїła chleb i podchodziła, żeby go poczęstować.

- Wspaniała jesteś.

Jej długie ciemne włosy były tu i ówdzie upstrzone mąką. Wyciągnął rękę, żeby ją strzepnąć.

- Umiem też gotować. I szyć.

- A chleb jest pyszny. Cofam wszystko, co powiedziałem. Ten bałagan bardzo mi się podoba.

Z pełnymi ustami wolno żuł chleb, delektując się słodkawym, drożdżowym smakiem.

- Napijesz się kawy?

- Chętnie, Marge.

Odwróciła się do niego.

- Jakieś kłopoty?

- No, choćby ten włóczęga.

- A więc to prawda?

Ugryzł kolejny kęs chleba.

- Jeśli staruszce się nie przywidziało.

- Myślałam, że żartujesz.

- Wieczorem była rozróżba w barze. Potem znalazłem trupa przy autostradzie. Ktoś przejechał człowieka i uciekł. Aż boję się myśleć, co jeszcze może się zdarzyć. W Detroit bywało, że jedna rzecz pociągała za sobą drugą i nie było temu końca.

- To przez ten księżyc.

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

- Tak czasem działa na ludzi. Jest pełnia - dodała.

- Wątpię, Marge.

Nalała mu kawy, dodała śmietanki i cukru.

- Nie mam wiele czasu. Stary Markle na mnie czeka.

- No to daj sobie spokój z kawą.

Marge przyłgnęła do niego, przytulając szczupłą, opaloną twarz do jego policzka. Powoli osunęła się na ziemię. Cudowny był ten zapach chleba, który spowijał kobietę.

6

Wspinało się po schodach. Światło było oślepiające. Jedną ręką zasłaniając oczy, drugą trzymało się mocno poręczy, wchodząc po omacku coraz wyżej. Nawet w fartuchu lekarskim drżało z zimna; musiało się stąd wydostać.

Doszło do drzwi i zatrzymało się, nasłuchując. Po drugiej stronie nikogo nie było; nacisnęło klamkę. Biały hol i jeszcze jaśniejsze jarzeniówki sprawiły, że jęknęło, mrużąc oczy przed blaskiem.

Usłyszało głosy i zamarło. Dochodziły gdzieś z głębi. Spojrzało przez szparę w drzwiach.

Te głosy. Kobięce głosy. Ściszone, niskie - nie słyszało, co mówią. Poczulo złość; musiało się stąd wydostać. Zobaczyło drzwi po drugiej stronie holu, czerwoną wywieszkę i okno, a za nim upragnioną ciemność. Czuło, że narasta w nim furia. Potem usłyszało skrzypnięcie i oddalające się kroki, które wreszcie ucichły zupełnie.

Już nie słyszało głosów.

Wyjrzało przez drzwi, zobaczyło kobietę w białym stroju i spiczastym czepku. Była odwrócona tyłem, pisała coś przy kontuarze. Z daleka wyglądała niepozornie. Wyszło za próg, czując pod gołymi stopami zimne, gładkie kafle posadzki.

Jeśli kobieta się odwróci, musi ją natychmiast uciszyć, zanim zacznie wrzeszczeć.

7

Kiedy usłyszała trzask, obejrzała się, ale niczego nie dostrzegła.

Co to było? - pomyślała. Pewno któryś z lekarzy wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. Chętnie by się do niego przyłączyła.

Zwłaszcza do jednego z nich.

Uśmiechnęła się.

Potem usłyszała inny odgłos: tym razem było to skrzypnięcie drzwi wejściowych tuż obok rejestracji. Wszedł Slaughter i skinął jej głową.

- Doktor Markle jeszcze nie skończył - powiedziała.

- Może poszedł do siebie na górę, nic pani nie mówiąc? Sprawdzę, czy nie czeka na mnie w gabinecie.

Patrzyła na niego, kiedy ją mijał. Był w jej typie: wysoki, przystojny, dobrze zbudowany, trzydziestoparoletni - zawsze miała powodzenie u mężczyzn w tym wieku. Ale jego praca była słabo płatna; pielęgniarka nie miała zamiaru marnować szansy u pewnego stażysty przez przelotną przygodę z gliną.

Niemniej obserwowała komendanta, kiedy podchodził do windy i naciskał guzik. Podobały jej się te krótko obcięte, jasne włosy i bystre, żywe oczy. Otaksowała spojrzeniem beżowy mundur, kowbojski kapelusz, buty, odznakę na koszuli. Zatrzymała wzrok na pasie z kaburą wokół bioder, a kiedy Slaughter się odwrócił, obdarzyła go uśmiechem. Skinął głową i wszedł do windy, która właśnie przyjechała.

Przez chwilę pielęgniarka patrzyła za nim w zamyśleniu, a potem wróciła do sporządzania wykresu.

8

Slaughter szedł holem na pierwszym piętrze. W tej części szpitala mieściły się gabinety poszczególnych lekarzy. Kiedy zobaczył, że u Markle'a pali się światło, wszedł do środka, ale staruszka tam nie było. Czasem tak robił - zostawiał światło, nawet gdy nie

zamierzał od razu wracać. Z drugiej strony, mógł na przykład wyjść tylko na chwilę do toalety.

Slaughter wzruszył ramionami i nalał sobie filiżankę kawy z podgrzewacza na stole, potem usiadł i zaczął przeglądać czasopisma medyczne. Kiedy sięgnął po ostatnie i nadal nie znalazł nic, co by rozumiał, zorientował się, że filiżanka po kawie jest pusta. Zbliżała się druga w nocy.

Markle nie mógł być tak długo w toalecie - chyba że z jego zdrowiem było gorzej, niż się Slaughter obawiał. Zaniepokojony, wyszedł na korytarz i zajrzał do toalety, ale kabiny były puste. Pomyślał sobie, że zachowuje się głupio. Markle widocznie jeszcze nie skończył i wciąż pracował w kostnicy. Znudzony czekaniem, Slaughter postanowił zjechać na dół.

Trupy go nie przerażały; bał się rzeczy nagłych, nieoczekiwanych, i choć nie gustował szczególnie w widoku sekcji, nie starał się go też unikać. Jeśli starszek miał już jakieś pierwsze wyniki, komendant chciał je poznać, przekazać wiadomość na posterunek, wyznaczyć obowiązki na jutro. Wtedy, po wypełnieniu służby, mógłby wrócić do Marge.

Pod wpływem impulsu, nie chcąc czekać na windę, zdecydował się zejść wilgotnymi betonowymi schodami; zbiegł na parter, a potem do podziemia. Wszedł z holu do kostnicy i zatrzymał się w przebieralni. Nie słyszał żadnych dźwięków. Ale lekarz w trakcie sekcji nie robi dużo hałasu. Przeszedł do środkowego pomieszczenia i zobaczył zgniecione prześcieradło, puste stoły.

Markle musiał skończyć. Gdzie się, do diabła, podziewał? Wiedział przecież, że Slaughter czeka na wyniki. Nieliczenie się z innymi nie leżało w naturze starszka. Slaughter z trudem pohamował gniew. Już chciał wybiec, żeby go szukać, ale wiedziony niejasną intuicją, postąpił dwa kroki do przodu. Drzwi zamknęły się za nim.

Kątem oka dojrzał coś po prawej stronie; przesunął wzrok na to, co dotychczas zasłaniały mu otwarte drzwi. Przez chwilę nie mógł się poruszyć. Czuł się tak, jakby jakieś lodowate ostrze przeszło mu pierś. Potem rzucił się na kolana, z szaleńczą nadzieją, że nad znanym sobie ubraniem zobaczy pod maską inną twarz.

Ale nadzieja była płonna. Twarz Markle'a wykrzywił ostateczny, groteskowy grymas agonii. Jego wytrzeszczone oczy patrzyły w sufit. Slaughter chwycił starca za nadgarstek. Próbował wyczuć tętno... daremnie.

- Jezu Chryste! - krzyknął i wybiegł.

Patrzyli na podłączone do czujników ciało staruszka na stole w sali reanimacyjnej; obok, w zasięgu ręki leżały elektrody wstrząsowe, ale krzywa EKG biegła równą, prostą linią, przy wtórze brzęczyka alarmowego.

Slaughter odwrócił się do Accuma i zapytał łamiącym się głosem:

- Nic się już nie da zrobić?

- Próbowali wszystkiego. Sam bym nic więcej nie zdziałał, gdybym tu był od początku. Nie żył już, kiedy go znalazłeś.

Slaughter spojrział raz jeszcze na Markle'a, na jego nieodwołalnie sztywne ciało, na wykręconą bólem twarz.

- Trzeba przynajmniej zamknąć mu oczy.

- Powinni to zrobić, kiedy przerwali reanimację.

Accum nachylił się, żeby wyłączyć brzęczyk, po czym opuścił zmarłemu powieki. Slaughter znów poczuł, jak przeszywa go lodowate ostrze. Kochał staruszka. Wiedział, że będzie mu go bardzo brakowało.

- W pewien sposób czuję się winny.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- Zleciłem mu robotę na dzisiejszą noc.

- To nie miało żadnego znaczenia. Było jasne, że umiera. Mogło go zabić nakrywanie do stołu.

- I mimo to pozwalałeś mu pracować dalej?

- Co by to dało, gdybym się sprzeciwił? Tacy ludzie jak on tylko szybciej umierają, kiedy im się odbierze pracę.

Slaughter odwrócił się i przyjrzał uważnie Accumowi. Dorównywał mu wzrostem, ale był chudszy. Zawsze w ciemnym garniturze, który kontrastował z jego cerą o barwie talku. Długie ciemne włosy, gładko zaczesane. Lekarz sądowy musiał wiedzieć, że sam wygląda jak nieboszczyk albo przedsiębiorca pogrzebowy. Ale najwyraźniej niewiele dbał o wygląd. Dobrze wykonywał swoją pracę, można powiedzieć, że zbyt dobrze. Właściwie nic innego nie robił. Rzadko gdzieś wychodził, rzadko się z kimś spotykał. Nie miał rodziny. Tego rodzaju monotonne życie nikomu nie wychodzi na zdrowie - pomyślał Slaughter. Ale z drugiej strony i on był w podobnej sytuacji, nie mówiąc już o tym, że obaj przybyli ze wschodu, gdzie mieli ciężkie przejścia. Slaughter nigdy nie wspominał Accumowi o swoich, ale miał dla niego wiele sympatii i zrozumienia, opartego na ich wielkiej pasji do wykonywanego zawodu. Niemniej ten człowiek spokojnie patrzył na wzmagające się symptomy choroby serca Markle'a i

może pozwalał mu nadal pracować z przyjaźni, a może w wyniku zawodowego znieczulenia, obcowania z trupami, swoistego fatalizmu.

Slaughter nie wiedział. I nie chciał go osadzać, by nie narażać ich wzajemnych stosunków.

Accum zmarszczył brwi pod baczny spojrzeniem komendanta.

- To atak serca, ale jeśli chcesz znać szczegóły, podam ci je za parę godzin.

- Nie, nie ma pośpiechu. Nie mogę ścierpieć myśli, że będziesz go kroić. Zaczekam do rana.

- A co z tym trupem, którego mu przywieźliście?

- Nie wiem. Staruszek miał na sobie maskę i czepek, ale nie miał fartucha. Pewno nie zdążył się nawet zabrać do roboty.

- To ważne?

- Prawdopodobnie ofiara wypadku, którego sprawca zbiegł. Ale musimy wiedzieć na pewno.

- Zaraz się wezmę do pracy.

Slaughter rozumiał lekarza: jego też nagliła potrzeba działania, zajęcia się czymś.

- Tak, życie nie może stanąć w miejscu tylko dlatego, że umarł przyjaciel. W każdym razie nie w naszych zawodach.

- I tak nie spałbym całą noc, tylko leżał i myślał o nim.

- Dziękuję, że przyjechałeś.

- Zaraz, zaraz, on był i moim przyjacielem - oburzył się Accum. - Wiem, że wy dwaj byliście ze sobą bardzo blisko, ale my też się przyjaźniliśmy. Pospieszyłem tu z nadzieją, że może mógłbym coś...

Ale nie mógł. Spojrzeli jeszcze raz na Markle'a.

- Biedny staruszek. Jego twarz czasami się tak wykrzywiła. Nie sędzę, żeby cierpiał. Wszystko wskazuje na to, że śmierć nastąpiła szybko.

- Mam nadzieję. Ze względu na niego. - Slaughter ujął staruszka za rękę. Była już zimna i nieczuła, ale uściśnął ją, życząc mu szczęścia w długiej podróży, i wolno odwrócił się do drzwi. - Przejadę się trochę po mieście.

- Należeliśmy do najbliższych mu osób. Chyba powinniśmy zająć się pogrzebem.

- Jutro. - Slaughter ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze chwilę, patrząc na Markle'a. - No, do zobaczenia.

Sam nie wiedział, czy żegna się z Accumem, czy ze starym przyjacielem, i starał się tego nie dociekać, kiedy minąwszy pielęgniarki wyszedł przez drzwi wahadłowe w noc i

ruszył do radiowozu.

10

Accum odprowadził go wzrokiem, a potem odwrócił się do Markle'a. Wydał polecenia stażystom, ale zwlekał z odejściem. Tak się przyzwyczaił do ciężkiej choroby staruszka, że od jakiegoś czasu miał go już niemal za martwego i teraz nie był pewien, czy czuje smutek, czy tylko jego namiastkę. Dręczyło go to. Całe lata tak blisko obcował ze śmiercią, że życie wydawało mu się czymś efemerycznym, zbyt krótkotrwałym, żeby przykładać do niego wielką wagę. Mimo wszystko ociągał się z odejściem. W końcu wyszedł z sali i zjechał windą do podziemi. A jednak czuł smutek, prawdziwy smutek. W gruncie rzeczy z trudem powstrzymywał łzy. Właśnie dlatego miał niewielu przyjaciół, dlatego się nie ożenił - wolał unikać takich przeżyć. Nie mając bliskich, nie cierpi się, kiedy umrą. Życie nauczyło go tego dawno temu.

Teraz musiał się czymś zająć. Wszedł do przebieralni i wziął fartuch, ale pomyślał, że najpierw sprawdzi, czy wszystko gotowe. W środkowym pomieszczeniu zobaczył pogniecione prześcieradło i otwarte drzwi chłodni. Tam muszą być zwłoki; staruszek był zbyt słaby, żeby zamknąć drzwi. Stary Markle. Accum zdusił szloch. Zajrzał do chłodni. Była pusta. Ogarnęło go zdumienie; zapominając o smutku, zaczął się zastanawiać, gdzie też Markle mógł umieścić ciało. W izbie przyjęć na czas przygotowań? Odbiegało to od przyjętych zwyczajów, ale może był już wtedy lekko zamroczony.

Podszedł do telefonu i połączył się z rejestracją.

- Mówi doktor Accum. Slaughter przywiózł tu dzisiaj zwłoki ofiary wypadku.

- Zgadza się.

- Nie ma ich w kostnicy. Niech pani sprawdzi w izbie przyjęć, dobrze?

- Ale sama widziałam, jak je zwozili.

- Jest pani pewna?

- Doktor Markle zjechał razem z sanitariuszami.

- Chwileczkę.

Wyszedł na korytarz i zajrzał do jednego z sąsiednich pomieszczeń. Zobaczył na stole porządnie złożoną odzież ze śladami zaschniętej krwi. Zajrzał jeszcze do kilku innych pokoi i wrócił do telefonu.

- Tu znowu Accum. Niech się pani lepiej dobrze rozejrzy, bo albo umieszczono zwłoki przez pomyłkę razem z chorymi, albo kogoś trzymają się głupie żarty.

11

Clifford zboczył z ulicy, żeby pójść na skróty, chociaż wcześniej omal nie wybrał innej drogi, żeby odwiedzić przyjaciela; jednak przypomniał sobie w porę, że ten wyjechał z miasta. Jak mógł o tym zapomnieć? Jego żona zawsze narzekała, że po pijaku nie wraca do domu, więc tym razem wróci i sprawi jej niespodziankę.

Zataczając się, szedł łąką w kierunku zagród dla bydła, gdy nagle oślepił go blask księżyca. Idealnie okrągła kula wysunęła się zza chmury, błyszcząc olśniewająco. Clifford zatrzymał się i spojrzał w górę, przymykając najpierw jedno oko, potem drugie. Nie, niemożliwe. Pomyślał, że to sprawka whisky. Nigdy jeszcze nie widział księżyca tych rozmiarów i był pewien, że to po alkoholu wydaje mu się tak wielki. Zaczął śpiewać:

Na niebie już...

Ruszył dalej.

Księżyc świeci...

Potknął się i upadł na łąkę. Ułożył się wygodnie pośród traw i krzewów, i przekręciwszy się na plecy, obserwował księżyc. Rósł nad nim i potężniał, zdawał się wirować... Clifford potrząsnął głową, niezdarnie podniósł się na czworaki, a potem na nogi. Zachwiał się, wyciągnął ramiona w bok dla utrzymania równowagi i tak maszerował przez łąkę, z rozpostartymi rękami, wyobrażając sobie, że stąpa po linie. Wiał wiatr, niezbyt silny, lecz uparty. Clifford słyszał jego szum w krzakach, czuł magnetyzm księżyca. Nagle potknął się i poleciał w dół. Kiedy wreszcie wyrznął plecami w ziemię, zamroczyło go i nie mógł się podnieść. Leżał na dnie rowu. Patrząc w górę, gdzie znad czarnej krawędzi spozierał na niego księżyc, zdał sobie sprawę, że spadł z większej wysokości, niż sądził w pierwszej chwili. Zamrugał, odpędzając stepiony przez whisky ból, wyciągnął rękę, żeby dotknąć lśniącej tarczy, i znużony bezskutecznym wysiłkiem, zapadł w sen.

Kiedy się obudził, księżyc był jeszcze jaśniejszy, choć zszedł nieco niżej. Wiatr się uspokoił, mimo że dalej szeleścił w krzakach. Naraz Clifford zobaczył psa wyłaniającego się z zarośli.

Zwierzę stanęło nad krawędzią, na tle księżyca - otaczająca je jasna poświata nie pozwalała dojrzeć nic więcej prócz czarnego jak smoła kształtu. Patrzyło na niego; Clifford poczuł jego siłę, jego ogrom, a przede wszystkim jego obecność.

- Co...?

Właściwie nie był pewien, co to za stworzenie. Pijany, otępiały snem, widział je podwójnie, widział, jak migoce i rośnie, a potem odbija się od krawędzi i skacze w dół na niego. Krzycząc, starał się jakoś odsunąć, ale zwierzę całym ciężarem wylądowało mu na piersi. Teraz nie widział nic.

- Tylko nie twarz!

Ale ono rwało, szarpało. Jednego policzka już nie miał.

- Tylko nie twarz! O Jezu, nie twarz!

12

Obudził się z krzykiem.

- Nathan, co się stało? - spytała Marge.

Slaughter spojrzał na jej rękę, zaciśniętą na swoim ramieniu. Siedział na łóżku sztywno wyprostowany i oblany potem; dopiero po chwili zrozumiał, gdzie jest.

Potrząsnął głową.

- Nic, nic. - Przetarł twarz rękami. - Miałem koszmarne sen.

Rozejrzał się po pokoju, próbując dojść do siebie.

- Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

Wzruszył ramionami, wciągając głęboko powietrze.

- Od jakiegoś czasu już ci się to nie zdarzało.

- Nachodzi mnie, kiedy jestem wytracony z równowagi. Wyszedł nagi spod kołdry, włożył slipy i spodnie.

- Ten sam co zawsze?

Kiwnął głową.

- Z Detroit?

- Tak.

Nie lubił o tym mówić. Ruszył do kontaktu, by zapalić światło, ale księżyc świecił tak jasno, że podszedł do okna, żeby na niego spojrzeć.

- Nigdy nie widziałem tak księżycowej nocy. - Odwrócił się do niej. - Masz papierosa?
- zapytał.

Siedziała na łóżku, przykryta do pasa prześcieradłem; piersi miała gołe. Cała była

skapana w srebrzystej poświacie.

- Aż tak źle?

Bardzo rzadko palili, ale trzymali paczkę papierosów na wypadek nawrotu wspomnień. Slaughter myśląc o starym przyjacielu, myślał również o tym pierwszym przypadku, nad którym razem pracowali: śmierci od broni palnej, która okazała się samobójstwem. Samobójcą był mąż Marge. W ten sposób Slaughter ją poznał i w następnych latach coraz bardziej się zbliżali, wspomagając się w trudnych chwilach. Ostatnio, coraz bardziej samotny po wizytach dzieci, często się z nią spotykał. Rozumiała go i nie domagała się niczego więcej. Kiedyś on jej pomógł, teraz ona chętnie pomagała jemu. I ją, i jego dręczyły koszmary.

Nie czekając na odpowiedź, Marge sięgnęła do stolika nocnego.

- Zostało tylko kilka.

- Mają już pewno z rok.

Rzuciła mu niemal pustą paczkę.

Podziękował jej zapalając, i znów spojrzał przez okno na księżyc.

- Powinieneś pogadać z psychiatrą.

- To przez Markle'a. Znalezienie go w kostnicy...

- Jak tych dwoje dzieciaków w sklepie?

Tyle wiedziała. Nic więcej jej nie powiedział.

- Coś w tym rodzaju... po prostu strach przed śmiercią.

Zaciągnął się papierosem. Miał gorzki smak, jak ze zbutwiałych liści. Zakręciło mu się w głowie.

- Nic na to nie mogę poradzić.

- Na co? Na koszmar? Na śmierć Markle'a?

- Na jedno i drugie.

Odwrócił się do niej.

- Miałaś kiedyś przeczucie, że coś się wydarzy?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Kiedy umarł mój mąż... to znaczy, przedtem...

- No właśnie.

Znów spojrzał przez okno i dostrzegł jakiś ruch w ogrodzie za domem.

13

Było mu zimno. Wszędzie oślepiające światła i dręczący blask księżyca. Zastłaniając

ręką oczy, przemknęło przez ulicę. Podniosło głowę i zawyło. Miało przed sobą równe białe linie na betonie, wysokie latarnie i rząd budynków. Ruszyło w ich kierunku. Poły białego fartucha trzepotały na wietrze, kiedy mijało wielką tablicę z napisem CENTRUM HAND-LOWE. Szło wzdłuż witryn. Naczynia, lampy, kanapy, stoły. Warczało, posuwając się dalej. Książki i płyty. Fiolki z aspiryną. Wykrywacze radarów. Wszystko znajome. Bose stopy marzły na betonie. Drżało z zimna w chłodnym nocnym powietrzu. Zbierała się mgła; chciało tylko skryć się czym prędzej w kojącej ciemności lasu, ale wtem zobaczyło to, czego szukało. W następnej witrynie wisiały płaszcze, koszule i spodnie. Nie zważając na nic, uderzyło gołym łokciem w szybę. Szkło rozprysło się. Rozległ się dzwonek alarmu. Podniosło pięść i wybiło resztę szyby. Warcząc weszło do środka. Ciepło. Płaszcz. Las. Kiedy stopy zaczęły krwawić, tylko spojrzało gniewnie w dół na rozbite szkło i chwyciło płaszcz z wieszaka.

14

Trzech pijanych kierowców, dwa napady.

Włamanie do domu towarowego.

Meldunek o zaginięciu.

I inne sprawy. Slaughter przeglądał nocny raport. W ciągu pięciu lat, odkąd został komendantem policji, nigdy nie było tylu zgłoszeń. Włóczędzy, szczekające psy, skradzione samochody, bójki i kłótnie rodzinne. A także napad na sklep, ta historia z braćmi w barze, wypadek spowodowany przez nieznanego sprawcę, jakiś typ w ogrodzie Marge...

No i Markle. Pamiętaj, że umarł twój przyjaciel. Cóż, o tym trudno mu było zapomnieć.

Skoncentruj się na bieżących zadaniach.

Wstał i wyszedł ze swojego przeszklonego boksu.

- Marge, widziałaś to?

Spojrzała na niego znad biurka przy drzwiach. Pracowała tu na pół etatu jeszcze za dawnego komendanta. Po śmierci męża, kiedy chciała się czymś zająć, Slaughter zaproponował, żeby przeszła na pełny etat. Zdawał sobie sprawę, że w takim małym mieście plotki szybko się rozchodzą i że ludzie domyślają się, co go łączy z Marge, oboje jednak starali się, aby ich życie prywatne nie wpływało na pracę. Chyba im się to udało, bo otoczenie zaakceptowało ten związek. Zatrudnienie Marge nie miało nic wspólnego z nepotyzmem. Po

prostu świetnie wykonywała swoją pracę i rozumiała specyfikę zawodu; tylko to się liczyło.

Kiwnęła głową. Zamiast spłowiałych dzinsów miała teraz na sobie sukienkę.

- Do diabła, nie widziałem takiego raportu, odkąd wyjechałem z Detroit. Co się dzieje?

- Nie wiem. Ale napływają dalsze meldunki.

- Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli wzmocnić posiłki.

- Ściągnęłam już tych, co mieli dziś wolne. Są w pracy.

No właśnie. Znała się na swojej robocie.

- Telefonował też lekarz sądowy.

- Zaraz się z nim połączę.

Wiedział, w jakiej sprawie dzwonił Accum: żeby przekazać mu ostateczne wyniki sekcji Markle'a. Ale nie miał ochoty tego słuchać. Poprzedniej nocy wyszedł jeszcze szukać włóczegi, którego dojrzał z okna Marge. Przedtem źle spał. Potem w ogóle nie zmrużył oka. Nie chciał teraz zajmować się przygotowaniem do pogrzebu. Nie potrafił pogodzić się z tym ostatnim, nieodwracalnym krokiem.

- Posłuchaj. - Marge, z dziwnym wyrazem twarzy, wskazała radiostację na biurku. Komendant zmarszczył brwi i nastawił uszu. W pokoju siedziało wraz z nimi dwóch policjantów, piszących na maszynie raporty; oni też zaczęli nasłuchiwać.

Z pewnością musiał się przesłyszeć.

Nachylił się nad mikrofonem; przez wychodzące na wschód okna wpadało poranne słońce.

- Accum, tu Slaughter. Powtórz, co przed chwilą...

- Chodzi o tego zabitego przy drodze, którego przywiozłeś zeszłej nocy.

- Tak, co z nim?

- Szukałem wszędzie. Wygląda na to, że ktoś ukradł zwłoki.

15

Phoebe - tak miała na imię, przynajmniej w tym tygodniu - siedziała skulona w kącie przedziału, patrząc na udręczoną mężczyznę, który wciąż spał na rozłożonym łóżku. Powiedział, że nazywa się Dunlap, Gordon Dunlap, ale ponieważ sama zmieniała imiona tak często jak nastroje, nie miała powodu mu wierzyć. Wiedziała jednak, że coś go gnębi, i chociaż trochę się bała, nie potrafiła go zostawić; nie kierowała nią litość, lecz fascynacja

podobna do tej, jaką czuje królik zahipnotyzowany wzrokiem szykującego się do ataku węża. Zdawała sobie sprawę, że jeśli weźmie swoje rzeczy i wyjdzie z przedziału, to i tak nie będzie mogła wysiąść z pędzącego pociągu. On może się obudzić, zauważyć, że jej nie ma, zacząć jej szukać... Nie, lepiej go nie prowokować.

Uspokój się - pomyślała. Wytrzymaj do końca. Prędej czy później pociąg stanie.

Poznali się, kiedy pociąg wyruszył z Chicago. Po otwarciu wagonu restauracyjnego przeszła tam, żeby się czegoś napić, i zobaczyła mężczyznę siedzącego samotnie przy oknie. Palił papierosa, patrząc na trzymaną w ręku szklankę... czego? Wyglądało to na whisky. Chociaż minęli już przedmieścia i wjechali w tereny wiejskie, ani razu nie zerknął przez okno. Obserwowała go z dziesięć minut, zanim postanowiła wziąć kieliszek z winem i podejść do jego stolika.

- Mogę się przysiąść?

Z początku sądziła, że nie usłyszał, ale po chwili przeniósł wolno wzrok ze szklanki na nią.

Wpatrywał się w nią bez słowa, ale nie miała mu tego za złe. Przeciwnie, była przyzwyczajona do spojrzeń mężczyzn, a nawet lubiła, gdy mierzyli ją wzrokiem od stóp do głów, wyrażając tym swoje uznanie.

Ale ten patrzył jej tylko w oczy, wzrokiem dalekim i jakby nieobecnym.

W końcu skinieniem głowy wskazał pusty fotel.

Zasepiła się lekko, ale nic po sobie nie pokazując, usiadła. Nie wiedziała, dlaczego podeszła do tego człowieka. Może dlatego, że czuła się samotna, a może z nudów. Podejrzewała jednak, że z ciekawości. Dawno temu przestała w wyborze mężczyzn kierować się ich wyglądem, chociaż ten facet akurat jej się podobał, był przystojny, męski - szpakowate włosy (mimo że na oko miał najwyżej czterdziestkę), stalowe oczy, myślące czoło. Ubrany w garnitur, krawat w paski, białą koszulę i eleganckie buty. Wyprasowany garnitur, świeża koszula, ogolone policzki i starannie przystrzyżone włosy kojarzyły jej się zwykle z człowiekiem, któremu się w życiu powiodło; patrząc jednak na nieznanego, miała wrażenie, że jego garnitur jest stary, sześćioletni, i jedyny, jaki posiada, a mężczyzna po prostu dba o pozory.

Gordon Dunlap. Jedzie do Seattle. Nie kwapił się do rozmowy, odpowiadał tylko na jej pytania. Zaintrygował ją. Była przyzwyczajona, że mężczyźni zadowoleni z tego, że uczyniła pierwszy krok, chętnie nawiązywali konwersację i próbowali zarzucić na nią sieci. Pewnie dlatego została, że ten mężczyzna był inny i stanowił dla niej wyzwanie. Czuła, że jeśli sama nie podtrzyma rozmowy, on zadowolony się patrzyeniem w szklankę.

Dlaczego nie podróżuje samolotem? Bo mu się nie spieszy. Cel podróży mu nie

ucieknie.

A jaki to cel? Nie odpowiedział.

Ona jedzie do Sun Valley.

Kiwnął głową.

Ma tam przyjaciół.

Znów potaknął.

Nienawidzi samolotów. Boi się latania.

Wzruszył tylko ramionami i poprosił kelnera o następnego drinka dla siebie i drugi kieliszek wina dla niej.

- Może pan woli zostać sam?

- Nie, dlaczego? Lubię towarzystwo.

- Nie bardzo pan to okazuje.

- W ogóle niewiele po sobie okazuję.

Natarcie i odpór. Powinna skorzystać z okazji i odejść, ale wagon restauracyjny świecił pustkami. Dunlap był jedynym samotnym mężczyzną. Nie miała wyboru.

Trzy kolejki później udali się do jego przedziału. Sama musiała to zaproponować, co tylko powiększyło jej determinację. W przedziale miał jakąś butelkę. Whisky, jak jej wcześniej powiedział. Pomogła mu opróżnić ją do połowy. A potem kochali się do upadłego. Spodziewała się normalnego seksu, zwykłych mechanicznych ruchów, żadnych emocji, a tymczasem mężczyzna rzucił się na nią z szaleńczą pasją, jakby pragnął zapomnieć o całym świecie i skoncentrować się tylko na chwili obecnej. Szczytując jęknął, niemal boleśnie. Nie potrafił jednak znaleźć zaspokojenia i brał ją wciąż od nowa. Wypili drugą połówkę butelki. Potem otworzył walizkę i wyjął kolejną flaszkę. Dalej pili. Pociąg wjechał do Południowej Dakoty. Nastął wieczór.

I wtedy się zaczęło. Kiedy ilość alkoholu w organizmie przekroczyła pewną magiczną granicę, mężczyzna zrobił się rozmowny. Oczywiście nie nastąpiło to nagle i znienacka. Jego słowa wciąż wymagały paliwa. Ale im więcej pił, tym więcej mówił i w końcu słowa popłynęły wartkim, niepowstrzymanym potokiem. Zmienił się, stał się przeciwieństwem człowieka, którego poznała na początku podróży. Powiedział, że jedzie do Seattle, do kliniki odwykowej. Że ostatnio przeżył załamanie nerwowe, że jego małżeństwo się rozpada (już wcześniej sprawdziła, że nie nosi obrączki), że w innych sprawach też mu się nie wiedzie, że jest skończony, przegrany, a przecież jeszcze niedawno był słynnym fotoreporterem (teraz zrozumiała, skąd magnetofon i aparat fotograficzny), pracował dla takich pism jak "Life", "Look", "Post". Ale wszystkie zniknęły z rynku.

- Wcale nie, widzę je w sprzedaży - zaprotestowała. - "Life" znów się ukazuje.

- Tylko raz w miesiącu. To nie to samo.

Wybuchnął histerycznym śmiechem i wtedy naprawdę się przestraszyła.

- Do diabła, teraz piszę dla "Rolling Stone".

To pismo przynajmniej znała.

- Nie widziałam tam twojego nazwiska.

- Jasne, że nie. Po tym wszystkim... Używam pseudonimu. Piszę jako Geoffrey Clinker.

- Ach tak...

Równie dobrze mógł jej wyznać, że jest wariatem. Nabrała czujności. Czytała jego teksty: pokręcone i rozgorączkowane, jakby na granicy szaleństwa. Siedziała wystraszona, bezsilna. Jego oczy trzymały ją w potrzasku niczym para stalowych szczęk. Pomyślała sobie: masz dwadzieścia trzy lata, nie masz domu, nikomu nie jesteś potrzebna. Jedyne, co cię interesuje, to podrywanie mężczyzn, i wreszcie tej nocy doigrałaś się: zostałeś sam na sam z facetem, który cię zabije.

Ale nie zabił. Jeszcze chwilę coś majaczył, bełkotał, ale nieskładne wynurzenia już się skończyły. Jednostajny stukot pociągu powoli go usypiał, powieki ciążyły mu coraz bardziej, aż w końcu opadły. Dunlap zasnął.

Nie ruszała się z obawy, żeby go nie zbudzić.

Po godzinie zaczął krzyczeć; wyskoczył z łóżka i skulił się, jakby się przed czymś chował. Popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Widziałaś?

- Co?

- Rogi.

Potrząsnęła głową.

- I coś...

- Coś jeszcze?

Nie odpowiedział, nie potrafił. Zlany potem, wrócił do łóżka.

- Rogi - powtórzył, tym razem z konsternacją. Skrzywił się i pokręcił głową. - Rogi. One... O mój Boże, tak mi przykro.

Pogubiła się; nie wiedziała, co miał na myśli. Skierował na nią oczy.

- Naprawdę mi przykro.

- Co? Mnie przepraszasz?

- Nawiedza mnie taki koszmarny sen. To... Zresztą nieważne. Przepraszam.

Przestraszyłem cię?

- Tak.

- Sam też się boję. Dlatego jadę do Seattle.

Nie spuszczał z niej wzroku. Odruchowo wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Nie potrafiła sobie później wytłumaczyć tego gestu, ale mężczyzna uspokoił się. Postąpiła tak, jak należało postąpić w tego rodzaju sytuacji. Przytuliła go i po jakimś czasie zasnął. Rozluźnił się i kiedy wreszcie wyprostował podkulone nogi, zsunęła się z łóżka i usiadła w rogu przedziału, obserwując wschód słońca i majaczące na horyzoncie góry.

Pociąg zaczął się mozolnie wspinać po zboczu; gdy wjechał w las, pokryte śniegiem, groźnie wyglądające szczyty znalazły się tak blisko, że miała ochotę przespacerować się między nimi. Kiedy spojrzała na swojego towarzysza podróży, zobaczyła, że się budzi.

- Śniło mi się coś? - spytał.

- Nie pamiętasz?

- Nie.

- Jakiś koszmar.

Zadumał się, jakby podejmował ważną decyzję.

- Gdzie jesteśmy?

- W górach.

- To widzę. Ale gdzie? W jakim stanie?

- W Wyoming.

Popatrzył na nią w zamyśleniu.

Pociąg zjeżdżał w dół. Wyjrzała przez okno; zobaczyła dolinę otoczoną górami, a w środku miasteczko. Zaczęła się modlić w duchu, żeby pociąg tam stanął; chciała wysiąść.

Tymczasem mężczyzna wstał, umył się i ogolił. Patrzyła na niego, gdy się ubierał. Miała rację - starał się zachować pozory.

Pociąg jechał teraz przez puste pola. Zwolnił przed granicą miasta, minął tablicę z napisem POTTER'S FIELD, zwolnił jeszcze bardziej.

Sięgając po swoją walizkę, usłyszała:

- Wsiadam tu.

- A co z Seattle?

- Nic. Muszę... tak, tu muszę wysiąść.

Zamknął walizkę, chwycił magnetofon i aparat.

- Masz mój bilet. Zostań w slipingu.

Wyszedł z przedziału. Ruszyła za nim korytarzem; okna po tej stronie wychodziły na stary dworzec kolejowy. Jeszcze jedne drzwi i znaleźli się przy wyjściu.

Kiedy pociąg się zatrzymał, mężczyzna odwrócił się do niej:

- Do widzenia, ja... Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

Nachylił się. Nadstawiła policzek. Pocałował ją.

Uśmiechnęli się do siebie i mężczyzna pchnął drzwi. Trzymając kurczowo walizkę, magnetofon i aparat, zeskoczył na żwir, po czym wszedł na peron. Odprowadziła go wzrokiem; po chwili wmieszał się w tłum i znikł za rogiem.

Mimo uśmiechu na twarzy, była spięta. Teraz, gdy została sama, zmarszczyła czoło i patrząc śladem mężczyzny, pomyślała sobie, że ruszył przed siebie tak pewnym i zdecydowanym krokiem, jakby dobrze znał tę miejscowość.

16

Potter's Field niewiele się zmieniło. Oczywiście wtedy była zima, ulice pokrywał śnieg, a mróz dochodził do piętnastu stopni poniżej zera. Ale Dunlap miał dobrą pamięć do szczegółów, pamiętał nawet, że przed laty skręcił za tym samym rogiem. Tak jak się spodziewał, przecnicę dalej ujrzał główną ulicę z jednopiętrowymi budynkami po obu stronach, pomalowanymi na biało i błyszczącymi w słońcu. Była długa i szeroka - dostosowana do potrzeb dawnych osadników, którzy pędzili nią bydło. Zobaczył afisze anon-sujące rodeo i pokazy bydła, sklepy z paszą i strojami kowbojskimi, bary o nazwach takich jak "Ostatni przystanek" i "Koniokrad". Tak, Potter's Field się nie zmieniło. Pamiętał je tak dobrze, bo tu po raz ostatni czuł się w pełni sił.

Potter's Field. Pomyślał o tamtej zimie i o fotoreportażach, jakie przygotował dla "Life", ostatnich przed upadkiem pisma. Należały do jego najlepszych, były znacznie lepsze od wszystkich artykułów, jakie się na ten temat ukazały, a ukazało się ich mnóstwo. Nie wiedział jednak, co tu teraz robi. Miał szczerzy zamiar jechać do Seattle. Przyrzekł to sobie. Oczywiście złamał już wiele przyrzeczeń, ale tym razem był naprawdę zdecydowany. Poszedł do Jackie, powiedział jej o swoich planach, a ona nazwała go wariatem, co, zważywszy na to, jak właśnie postąpił, było zapewne prawdą. Zdołał ją nawet przekonać, żeby wróciła do niego, jeśli uda mu się rzucić picie, i żeby spróbowali od nowa.

Więc czemu, u diabła, wysiadł z pociągu w tej mieścinie? To nie miało żadnego sensu.

Skacowany po przepitej nocy, szedł główną ulicą w kierunku gmachu sądu, dźwigając walizkę i sprzęt fotograficzny. Chociaż lato tu jeszcze nie nastąpiło, upał go dobijał. Oczy

piekły, kiedy mrużąc powieki w słońcu, patrzył na góry. Z każdym krokiem koszula coraz bardziej kleiła się do ciała; niebawem garnitur zaczął przypominać worek. Spoglądając na swoje odbicie w oknie wystawowym, przekonał się, że wygląda dokładnie tak, jak się czuje. A czuł się fatalnie. Pomyślał, że gdyby wstąpił do baru na jednego, może by się jakoś pozbiarał. Ale nie przyjechał do Potter's Field, żeby pić - to mógł robić w pociągu. Nie, przygnało go tu coś innego, choć sam nie wiedział co. Nagle po drugiej stronie ulicy zobaczył budynek, na którym widniał duży napis: POTTER'S FIELD GAZETTE i już się nie wahał, co dalej. Przedzierając się między ciężarówkami dostawczymi i zardzewiałymi Fordami, przeszedł przez jezdnię i ruszył prosto do lśniącego oszklonego frontonu i błyszczących schodów ze sztucznego marmuru. Idąc po nich myślał o mężczyźnie, którego za chwilę zobaczy, jeśli ten nadal zajmuje to samo stanowisko; o mężczyźnie, który sprawiał wrażenie galaretowatego tłusciocha, dopóki nie ujrzało się go w akcji - wyglądał wtedy jak bokser wagi ciężkiej albo olbrzymiej postury tancerz; o mężczyźnie, który w wieku pięćdziesięciu lat od dawna był najważniejszą osobą w mieście i który używał swej władzy ze zręcznością, jakiej mógłby mu pozazdrościć niejeden senator lub kongresmen. Był to człowiek groźny, a nawet niebezpieczny. Nazywał się Parsons.

17

- Spotkaliśmy się w grudniu, w siedemdziesiątym pierwszym roku.
- Tak, pamiętam, co się wtedy wydarzyło. Ale pana sobie nie przypominam.
- Robiłem reportaż o tej historii.
- Tak? Nadal nie rozumiem.
- Przyjechałem, żeby napisać dalszy ciąg.

Dunlap sam nie był pewien, czy naprawdę tym się kierował.

- Ale to już przebrzmiała historia.
- Trupy i tragedia, tak. A co stało się z innymi?

Parsons odchylił się w fotelu i spojrział na niego oczkami zatopionymi w fałdach tłuszczu.

- Ach, o to chodzi? Czy mogę być z panem szczerzy?
- Liczę na to.

To znaczy, na co?

- Chce pan od nowa sprowadzić na nas kłopoty?

- Kłopoty?

- Oczywiście. Wszyscy wokół winili nas. Do diabła, przecież to nie nasza wina, że jakaś banda szaleńców wyobraża sobie, że pokona góry. Gdyby się jeszcze trzymali od nas z daleka, nie mielibyśmy nic przeciwko nim. Ale ci wszyscy, co zeszli do miasta? Ci odrzuceni? Gdyby się nie osiedlili w mieście, nie byłoby kłopotów.

- Ale ja nie po to przyjechałem.

- A więc po co?

Sam chciałem wiedzieć - pomyślał Dunlap.

- Nie ma co roztrząsać przeszłości - rzekł. - Ma pan rację. Trudno kogokolwiek obarczać winą. Pomijając to, co się zdarzyło tu w mieście, powinni byli wiedzieć, że gór nie pokonają.

Przypomniał sobie ludzi powalonych przez śmierć, kiedy szli sprowadzić pomoc, ich zamrożone ciała rozrzucone po zaśnieżonym lesie, ciała z członkami ogryzionymi przez wilki i kojoty - oraz zagłodzone, płaczące dzieci w obozie, a także dorosłych o uszach, nosach, palcach u rąk i nóg szerniałych, gnijących z odmrożenia. Nawet więźniowie obozów koncentracyjnych nie wyglądali tak okropnie. Dunlap wzdrygnął się.

- Więc o czym chce pan pisać? - spytał Parsons.

- Właśnie o tym. O utopijnych pomysłach na temat powrotu do natury. O ludziach takich jak Quiller. Bogacz z ideałami, uważający się za kogoś w rodzaju transcendentalisty, odrzuca dobra doczesne i prowadzi swoją karawanę tutaj. Zakłada obóz i mówi, że będą żyć w zgodzie z przyrodą.

- Głupie dzieciaki.

- Nie wszyscy byli znowu tacy młodzi.

- To nie ma znaczenia. Myśleli, cholera, że są tacy mądrzy, a nie wiedzieli tego, co wie tu każdy przedszkolak. Nie zadzieraj z przyrodą, bo zginiesz.

- I o tym chcę napisać - powiedział Dunlap, jakby z pewnym wahaniem w głosie. - Bo o ile mi wiadomo, późnej dziennikarze przestali interesować się obozem. Dzieciaki dostały nauczki i tyle. Co się z nimi teraz dzieje?

- Nie wiem. Wynieśli się.

- Co?

- Przetrwali jakoś do wiosny. Syn jednego z farmerów uciekł z domu i się do nich przyłączył. Kiedy ojciec się dowiedział, odszukał go, wpadł w szał, wyciągnął broń i zastrzelił któregoś z tych hipisów. Tak, dziś już nikogo tam nie ma.

Dunlap patrzył na Parsonsa szeroko otwartymi oczami.

18

Dwóch chłopców biegło przez łąkę. Cały upalny dzień spędzili w szkole, ale był już piątek i wiedzieli, że jutro będą mogli obejrzeć kreskówki w telewizji i że za dwa tygodnie rozpoczną się wakacje. Biegli roześmiani, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu, zjeść kawałek ciasta i pograć w baseball. Mieli ze sobą piłkę i rękawice. Jeden z chłopców pobiegł do przodu i odwrócił się, żeby złapać rzuconą przez kolegę piłkę.

Odrzucił ją ze śmiechem, po czym znów odbiegł kawałek i stanął nie opodal rowu, czekając na kolejny rzut.

- Tym razem wyżej! - zawołał i nagle zamarł.

Patrzył z niedowierzaniem na leżące w rowie ciało.

Na krew, na zmasakrowaną twarz. A potem zaczął krzyczeć.

19

Spało.

Przed świtem zdołało się dowlec do krańca miasta, ale potem, oślepienie brząskiem dnia, obolałe, zaczęło rozpaczliwie szukać jakiejś kryjówki, schronienia. Zastłaniając rękami oczy, stało przy drodze, a kiedy usłyszało zbliżającą się ciężarówkę, rzuciło się w wysoką trawę. Czołgało się poboczem i nagle zobaczyło biegnący pod szosą ściek. Ciężko dysząc i pojękując, schowało się w nim.

Słońce znikło.

Oprócz dwóch jaśniejących otworów po obu końcach ścieku, było tu ciemno. Czulo się bezpiecznie. Ułożyło się na boku w mokrej, pokrytej pajęczynami betonowej rurze. Ból się zmniejszył. Po chwili już spało i śniły mu się góry, w których biwakowało w swoim poprzednim życiu.

Ale zabrakło mu żywności i musiało zejść po nią do miasta.

Zaledwie dwa dni temu.

Tak niedawno... Wszystko było wtedy inne.

20

Slaughter włączył syrenę i światło na dachu. Na sygnale wyjechał z parkingu za posterunkiem i pomknął ku głównej ulicy. Na skrzyżowaniu skręcił w kierunku łąki położonej przy zagrodach dla bydła. Usiłował zapanować nad nerwami. Czuł przyspieszone bicie serca i ucisk w żołądku. Accum nie odnalazł jeszcze zaginionych zwłok. Na posterunek zgłosił się przedsiębiorca pogrzebowy w sprawie Markle'a. Ciągłe napływały nowe meldunki; ludzie donosili o ekscesach chuligańskich, o wybitych szybach, ktoś zgłosił, że widział jelenia, który jakimś cudem zawędrował do miasta i miotał się w panice. Było tyle różnych spraw, że Slaughter nie wiedział, czym się najpierw zająć. A potem nadszedł ten ostatni meldunek i komendant nie miał już wątpliwości. Z piskiem opon wziął zakręt.

21

Dunlap patrzył, jak radiowóz na sygnale skręca za róg. Zwrócił uwagę na potężnego mężczyznę za kierownicą; pomyślał, że skądś go chyba zna, ale pewnie się mylił. Na drzwiach samochodu zobaczył napis "Komendant policji"; poznał tutejszego komendanta poprzednim razem, ale kierowcą radiowozu był ktoś inny. Dziennikarz miał jednak wrażenie, że gdzieś już go widział.

Ruszył chodnikiem w stronę posterunku.

To wszystko nie miało sensu. Właśnie wyszedł z archiwum gazety...

Po co tam poszedł? Co tu właściwie robi? Pałac i popijając whisky z butelki, którą miał w walizce, szukał na mikrofilmie wiadomości lokalnych na temat Quillera i jego obozu. W mieszczącym się w podziemiach ciemnym pokoju, oświetlonym tylko poświatą z czytnika, czuł się nieswojo; prześladowało go wspomnienie nocnego koszmaru, widział rogi, ślepia... Dotąd zmora nigdy nie pokazywała mu się za dnia, zawsze podczas snu. Teraz jednak czuł, jak się nad nim pochyla, i żeby odpędzić od siebie złe myśli, pił i czytał. Cholera, to pewno przywidzenie, coś w rodzaju białych myszy i różowych słoni. Masz *delirium tremens*, przyjacielu. Trzeba było jechać do Seattle.

Nie rozumiał tego nagłego impulsu, który kazał mu wrócić do Potter's Field. Czy dlatego wysiadł z pociągu, że gdy był tu poprzednim razem, znajdował się u szczytu kariery,

a potem zaczął staczać się w dół? Czy liczył na jakiś szaleńczy zwrot ku lepszemu, na odzyskanie talentu w miejscu, gdzie go pozostawił? W Potter's Field napisał swój najlepszy reportaż, ale nigdy nie ujrzał go w druku. Pod koniec istnienia pisma redaktorzy "Life", żeby zaoszczędzić parę groszy, publikowali tylko materiały, które od dawna czekały na druk. Kiedy magazyn zlikwidowano, proponował swoje usługi innym pismom, ale wszystkie przechodziły kryzys. Od tego momentu zaczął się upadek Dunlapa. Należał do ludzi, którzy żyją pracą, więc bez niej zaczął pić, żeby rozładować frustrację. Alkohol dawał mu błogi spokój.

Ale kiedyś, nie teraz. Wiedział, że i tak nigdy nie dotarłby do Seattle. Kiedy zawładnął nim koszmar, był gotów zabić siebie i może nawet tę dziewczynę, Phoebe. Nie miał wyboru. Musiał wsiąść, zatrzymać się tutaj. "Life" po latach znowu zaczęło wychodzić, może więc i jemu uda się wrócić do tematu sprzed lat. Choć nie musiał sobie nic przypominać, uważnie przejrzał mikrofilm. Było coś, co nie dawało mu spokoju. Pamiętał karawanę - sznur furgonetek, ciężarówek i autobusów, z czerwoną Corvetą Quillera na czele - wyruszającą spod ratusza w San Francisco. Czwartego lipca. W rocznicę Deklaracji Niepodległości. Exodus. Ponownie przeczytał o tysiącu ludzi wyrzuconych przez Quillera z obozu, o kłopotach w mieście, bitwie w parku, o policji stanowej i autobusach, które przyjechały, żeby wywieźć włóczęgów. A także o wrogim nastawieniu mieszkańców miasta do ludzi Quillera, którym nie chcieli sprzedać nawet żywności i odzieży, co doprowadziło w końcu do tragedii, do tych pozamierzanych w górach ciał. Potem artykuły o obozie się urwały. To znaczy na pewien czas, bo w czerwcu, mniej więcej w tym samym czasie co teraz, miało miejsce morderstwo.

I jeszcze jedna rzecz, o której Dunlap nie wiedział, albo nie pamiętał. Kiedy osiedlili się w górach, Quiller kazał swoim ludziom zwieźć do miasta i sprzedać wszystkie samochody osobowe i ciężarówki, co Dunlapowi wydawało się logiczne - grupa pragnąca żyć w zgodzie z naturą nie potrzebowała pojazdów mechanicznych - ale w spisie transakcji zawartych przez miejscową ludność nie znalazł nic o czerwonej Corvecie, którą na czele karawany jechał Quiller. Dunlap raz jeszcze przejrzał rolki mikrofilmu. Czerwona Corvette, klasyczny model z 1959 roku, z pewnością wzbudziłaby zainteresowanie, ale nie było o niej żadnej wzmianki. Dlaczego?

Szedł chodnikiem w stronę posterunku. Po lewej miał duży kamienny, ozdobiony kolumnami gmach sadu, przed sobą jednopiętrowy ceglany budynek policji, który tak dobrze znał z poprzedniego pobytu. Popatrzył na gęste, zadbane trawniki. Swą soczystą zieleń zawdzięczają cieniowi drzew - pomyślał. Przypomniał sobie brunatną, spaloną słońcem trawę

na łąkach oraz radiowóz pędzący na sygnale. Co takiego mogło się wydarzyć w spokojnej mieścinie? Pewnie jakiś wypadek samochodowy, może nawet groźny, bo była godzina szczytu. Dziennikarz doszedł do kamiennych schodów, wytartych i zniszczonych jak ściany budynku. Wewnątrz zobaczył następne schody: jedne prowadziły do sutereny, a drugie na szeroki, wysoki i przestronny korytarz. Wzdłuż ścian i na środku stały drzewiaste rośliny w donicach, po obu stronach ciągnęły się liczne drzwi, ciemne i solidne. Jak we wszystkich starych budynkach, w powietrzu unosił się lekko stęchły zapach, ale nie był bynajmniej nieprzyjemny. Po prawej Dunlap zobaczył szeroko otwarte drzwi z napisem: "Nathan Slaughter, komendant policji". Rzeczywiście znał potężnego mężczyznę, którego dojrzał za kierownicą radiowozu. Ale skąd, do diabła, Slaughter wziął się tutaj?

Szybko wszedł do pokoju. Zobaczył jasne ściany, szerokie okna, świetlówki wzdłuż całego sufitu. Na prawo, przy biurku z radiostacją, siedziała wysoka, szczupła, ciemnowłosa kobieta. Była atrakcyjna; z początku nie dostrzegła jego obecności. Całą uwagę skupiała na głośniku radiostacji. Dunlap przysunął się i dopiero wtedy odwróciła się do niego.

- Czym mogę panu służyć?

Rozejrzał się po pustym pokoju.

- Szukam komendanta.

- Niestety, nie ma go w tej chwili.

Znów wbiła wzrok w radiostację. Dunlap nie był pewien, czy kobieta jest nieuprzejma, czy po prostu zaaferowana.

- Nazywam się Gordon Dunlap.

- To pan jest tym dziennikarzem z Nowego Jorku?

- Tak. - Spojrzał na nią uważnie. Parsons najwyraźniej zadzwonił na posterunek i uprzedził o jego wizycie, żeby nikt przypadkiem nic przy nim nie chlapnął. Czyżby chodziło o jakieś kłopoty? Nie bardzo rozumiał. - Nie wie pani, kiedy będzie z powrotem?

- Jest już po piątej. Może wpadnie jeszcze wieczorem. A najpóźniej jutro rano.

- Znam go z Detroit - powiedział.

Nie wiedział, czemu ta wiadomość zrobiła na niej takie wrażenie. Marszcząc czoło, szybko podniosła na niego wzrok; w tym samym momencie z radiostacji rozległy się trzaski. Oboje spojrzeli na urządzenie.

- Jezu Chryste, on nie żyje, naprawdę! - zawołał zniekształcony trzaskami głos. - Boże święty, nie ma nawet...

23

Slaughter zahamował ostro za innymi radiowozami. Sięgnął po kapelusz i wyłączył silnik, wysiadając niemal w biegu. Syrena umilkła. Po prawej ręce, na środku łąki, zobaczył kilku policjantów, kilku cywili i Accuma. Spojrzeli na niego, kiedy wysiadał z samochodu, i odwrócili się z powrotem w stronę rowu, nad którym stali.

Slaughter ruszył biegiem po sztywnej brunatnej trawie. Spokojnie - powiedział sobie. Tylko spokojnie. Był zły nie dlatego, że musiał oglądać zwłoki, choć wyraźnie tego nie lubił; znacznie bardziej zirytował go widok zagród po lewej, od których niósł się zapach łajna, całych hałd łajna; w zagrodach trzymano ciasno stłoczone bydło, karmione na siłę przed wyekspediowaniem do rzeźni. Wciąż nie mógł do tego przywyknąć. Podszedł szybko do grupy ludzi i zajrzał do rowu. Nikt się nie odezwał.

- Boże drogi - powiedział, odwracając wzrok, ale zmusił się, by znów spojrzeć. - Jesteście pewni, że to on?

Rettig, krzepki jasnowłosy policjant, skinął głową.

- To jego portfel.

Slaughter wyjął i obejrzał prawo jazdy ofiary. *Clifford, Robert B.* Tak, to był on, chyba że ktoś podmienił dokumenty.

Nazwisko Clifforda widniało w raporcie nocnym, który Slaughter czytał tego ranka. Ileż to razy jego żona alarmowała policję, że mąż wyszedł i nie wrócił, przestraszona, że mu się coś stało, podczas gdy on uciekł tylko przed nią do baru na parę głębszych.

Tym razem jednak, niech to diabli, jej obawy się potwierdziły.

Jedynym powodem, dla którego Slaughter pomyślał o podmianie i zajrzał do prawa jazdy, był widok rozciągniętego w rowie ciała. Usta, nos, policzki, podbródek i czoło były poszarpane, zmasakrowane nie do poznania. Wokół pustych oczodołów sterczały kawałki kości czaszki. Ale najbardziej szokujący był widok gołych, obranych z mięs zębów, białych i strasznych na tle ciemnej, krwawej miazgi twarzy.

Slaughter znów musiał się odwrócić, czując, że zbiera mu się na mdłości.

- No dobra, mówcie, co się stało.

Rettig wysunął się trochę do przodu.

- Zeszłego wieczoru pił w barze, tam na rogu.

Slaughter obejrzał się. "Ostatni przystanek". Bar, do którego kowboje chodzili na obiad i wieczorem na drinka. Kiwnął głową.

- Wypił całkiem sporo. Został aż do zamknięcia i awanturował się, że nie chcą go już obsługiwać. Potem wyszedł.

- Był sam?

Rettig przytaknął.

- Nikt go później nie widział?

- Nie.

Slaughter próbował zachowywać się tak, jakby wszystko miał pod kontrolą. Przeszukał portfel.

- Dwie piątki i jednodolarówka. Przynajmniej wiemy, że go nie obrabowano. Co o tym myślisz? - zwrócił się do Accuma.

- Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie zrobię sekcji.

- Przecież to chyba jasne, co się stało - wtrącił stojący obok mężczyzna.

Slaughter odwrócił się. Zobaczył młodego policjanta. Miał rude włosy i był wyraźnie zestresowany tym, co widzi. Nazywał się Hammel. Slaughter przyjął go do pracy parę miesięcy temu i teraz uznał, że należy zacząć go uczyć.

- Wcale nie - powiedział. - Są trzy możliwości. Po pierwsze: nie żył już, kiedy coś go napadło i zmasakrowało. Po drugie: stracił przytomność i wtedy to się stało. I wreszcie po trzecie: został napadnięty, gdy szedł do domu. Jeśli był już martwy, musimy się dowiedzieć, kto go zabił. Ktoś mógł poderżnąć mu gardło, a dopiero potem przyszło jakieś zwierzę zwabione zapachem krwi.

Patrzył na młodego policjanta, który zaczerwienił się i zaczął gwałtownie mrugać, uciekając oczami na boki. Slaughter wiedział, że go zawstydził i powinien dać mu spokój, ale nie był w stanie się powstrzymać.

- W razie, gdybyś nie zauważył, jest różnica między atakiem psa a zabójstwem. Jeśli to był pies. Jak sadzisz? - zwrócił się do Accuma.

- Prawdopodobnie. Muszę zmierzyć rany. Jak widać, na ciele nie ma śladów pazurów. To wyklucza zwierzę z gatunku kotów.

- Kotów? Masz na myśli pumę?

- Tak. Czasami schodziły tu i zakradały się do zagród dla bydła. Ale rzadko. Nie było

takiego wypadku chyba od dwudziestu lat. Zresztą niewiele już ich zostało w górach.

- A więc jednak pies?

- Tak mi się wydaje. Ale jak mówiłem, muszę zbadać rany. I chcę dokładnie obejrzyć te podarte nogawki. Może coś chwyciło go za spodnie i powaliło na ziemię.

- Może. Ale równie dobrze mogą to być stare portki, których nie chciało mu się zmienić, kiedy wychodził z domu. Wyślę je do laboratorium, a tymczasem wypytam jeszcze jego żonę.

Na myśl, że będzie musiał do niej pójść, odechciało mu się dalszej rozmowy. Odwrócił się i zobaczył młodego policjanta, który wciąż stał z wypiekami na twarzy i przerażonym wzrokiem.

- Nigdy nie widziałem czegoś równie strasznego...

- A ja owszem - powiedział Slaughter. - Kiedy pracowałem w Detroit, w wydziale zabójstw. Jedno i dwudniowe zwłoki w mieszkaniach komunalnych, pogryzione na twarzy, szyi i całym ciele przez szczury. Czasem, jeśli leżały dłużej, nie było co zbierać. - Skrzywił się i spojrzał na Rettiga. - Idź do tych domów na rogu. Może ktoś słyszał krzyki. Może ktoś wie o jakimś psie, który zerwał się z łańcucha. Popytaj.

- Dobrze.

Rettig odszedł. Slaughter znów zwrócił się do Accum.

- Zadzwońmy lepiej po karetkę. - Urwał, patrząc na Rettiga, kroczącego przez pustą łąkę. - Wiesz, o czym myślę?

- Nie bardzo.

- O tym przejechanym facecie, którego zwłoki zaginęły.

- Widzisz jakiś związek?

- Nie wiem. Ale najpierw stary Markle, teraz to...

- Markle umarł na atak serca.

- Wiem. Ale zbyt dużo naraz się dzieje. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak.

Accum spojrzał najpierw na komendanta, potem na zwłoki w rowie, wreszcie na słońce powoli schodzące w stronę gór.

24

Obudziło się. Zamrugało w ciemnościach. Potarło plecami o betonową rurę, wciągnęło w nozdrza wilgotny zapach pleśni, poczuło wokół sieć pajęczyn. Natychmiast stało się czujne. Zasyzczało w kierunku jednego ciemnego otworu, potem drugiego. Znów była noc. Zaczęło się

czołgać, nie zwracając uwagi na kałuże i pająki. Wysunęło się na zewnątrz i natychmiast przypadło do ziemi. W pobliżu nie było nikogo. Szosą przejechał samochód, świecąc jasnymi reflektorami, lecz wysoka trawa dawała schronienie. Po chwili wyprostowało się i wtedy zobaczyło księżyc; zeszywniało, sycząc. Znów poczuło ból i strach; zawyło. Odwróciło się, zasłaniając oczy prawą ręką. Zobaczyło puste pole oświetlone blaskiem księżyca, i dalej góry, które je wzywały. Musiało się tam dostać. Nagle przystanęło. Drżało i trzęsło się na całym ciele. Jedzenie. Trzeba zdobyć pożywienie. Nie jadło od... Rozejrzało się wokół. W oddali dostrzegło zabudowania miasta. Głód naglił, nie zostawiał miejsca na ostrożność. Ruszyło przed siebie. Do miasta.

25

Warren zsunął się w dół. Brzeg okazał się bardziej stromy niż przypuszczał i chłopiec wylądował jednym trampkiem w strumieniu. Skąpany w poświacie księżyca, cofnął nogę. Nie miał skarpetek; woda, zimna i śliska, zachlupotała mu w bucie. Potrzęsął stopą, żeby ją wylać, ale po chwili skóra przyzwyczaiła się do chłodu. Postawił nogę na brzegu. Zapadła w błoto, podobnie jak druga noga. Zły, wyciągnął ją z głuchym mlaśnięciem i poszukał twardszego gruntu. Teraz naprawdę się urządził. Zabłocone trampki powiedzą matce, że wymknął się z domu. Przestraszył się, ale pomyślał, że przecież może umyć je w wodzie, więc przestał się martwić.

Postąpił parę kroków w kierunku trzcin, lecz były gęste i ciemne i nawet przy świetle księżyca nie mógł wypatrzyć nory. Podsunął się bliżej, wyjął parę herbatników z torby i rzucił je przed siebie. Zaszeleściły w trzcinach. Rzucił jeszcze kilka i nastawił uszu, ale nie dobiegł go żaden dźwięk.

Co robić?

Zajrzał w trzciny najgłębiej jak mógł. Kiedy wyciągnął rękę z kolejnym herbatnikiem, z brzegu po prawej doleciał go syk i zobaczył, że zwierzę schodzi w dół.

- Przyniosłem ci trochę herbatników - powiedział, ale się nie zatrzymało.

Schodziło nadal, wydając z siebie dźwięki, jakich chłopiec dotąd nie słyszał, trochę podobne do kociego miauczenia. Schodziło i syczało. Warren trzymał herbatniki w wyciągniętej ręce; myślał, że kiedy zwierzę będzie jadło, chwyci je mocno za kark, ale ono, nie zważając na herbatniki, zagłębiło zęby w jego dłoni.

- Auuu!

Czuł, jak ostre kły szopa wgrzyzają mu się w rękę, wbijają do samej kości. Próbował oswobodzić dłoń; wymachiwał nią jak oszalały i w końcu uwolnił się - zwierzę poszybowało w powietrzu na drugi brzeg, a on sam potknął się i upadł. Szybko jednak poderwał się na nogi, bo zobaczył, że zwierzę znów szykuje się do ataku. Chyba zraniło się przy lądowaniu, bo kulało, przechylone na bok, ale mimo to pędziło przez strumień w jego kierunku. Syczało; Warren oparł się plecami o brzeg i zaczął kopać zwierzę obiema nogami. Szop chwycił go za stopę, wbił zęby w but i zaczął go szarpać. Chłopiec czuł zaciskające się na bucie zęby. Kopał drugą nogą, mierząc prosto w nos szopa, a kiedy trampek, w który wczepione było zwierzę, zsunął mu się z nogi, błyskawicznie wspiął się na brzeg i puścił się pędem przed siebie.

Ten ostry nos, te bandyckie oczy. Przedtem wydawały mu się takie śliczne, a teraz na samo ich wspomnienie nie mógł powstrzymać okrzyku grozy.

26

Pięść trafiła Dunlapa w twarz, potem otrzymał cios w żebra. Osunął się po ceglanym murze przy bocznej uliczce. Otaczało go trzech mężczyzn. Dwaj już mu przyłożyli, teraz czekał na uderzenie trzeciego. Był pijany. Upił się w pierwszym barze, do jakiego trafił po wyjściu z biura Slaughtera. Dziwne, ale ciosy nie sprawiły mu bólu, a co dziwniejsze, nie spełniły swojej roli. Sam sprowokował bójkę. Pił i poprzez kłęby dymu tytoniowego rozglądał się po sali, lustrując wzrokiem kowbojów. Przez jakiś czas obserwował grę w bilard i słuchał muzyki z szafy grającej, a w końcu zaczął robić przykre uwagi. Najpierw pod nosem, potem coraz głośniej. Wszyscy wokół umilkli, ale nikt się nie ruszył, dopóki nie zadał barmance tego nieprzyzwoitego pytania, tak ordynarnego, że sam nie mógł uwierzyć, że sobie na nie pozwolił. Dopiero wtedy mężczyźni go otoczyli, a po jeszcze jednej chamskiej odżywcze wywlekli na ulicę. Upadł na bruk, a but, który go dosięgnął, wcisnął mu żołądek w żebra. Ledwo złapał oddech.

- Wystarczy - powiedział któryś z mężczyzn, lecz Dunlap nie był pewien, do kogo facet to mówi. Po chwili głos dodał: - Upił się dupek, i tyle.

Odeszli, zostawiając go na ulicy. Leżał dysząc ciężko, ale nie osiągnął zamierzonego celu. Alkohol go nie upił, bicie nie pozbawiło przytomności. Zachował świadomość i wciąż miał przed oczami obraz z nocnego koszmaru.

27

Wyczołgawszy się z betonowej rury, dowlokło się do miasta. Patrzyło teraz przez okno na rozbierającą się kobietę. Chociaż w pokoju nie paliło się światło, w blasku księżyca wyraźnie widziało jej sutki. Jęczało, patrząc jak kobieta zdejmuje majtki, i podniosło pięść, żeby stłuc szybę. Wtedy usłyszało w krzakach jakiś ruch i odwróciło się z wściekłością. Zobaczyło wyłaniającego się z ciemności psa. Skoczyli na siebie, warcząc ochryple.

28

- Tak, to był pies, nie ulega wątpliwości.

- Pies go zabił, czy rozorał mu twarz?

- Jedno i drugie. Przyczyną śmierci była utrata krwi z powodu rozległych ran na twarzy i szyi.

Slaughter odstawił puszkę z piwem i spojrzał na Accuma.

- To znaczy, że nikt nie poderżnął mu gardła?

Accum potrząsnął głową.

- Nie. Pamiętałem, co mówiłeś tam na łące, i dokładnie obejrzałem gardło. Żyła szyjna została rozdarta, nie przecięta. Oczywiście, ktoś mógł rozharatać mu gardło grabiami albo czymś takim, ale wtedy nie byłoby śladów ugryzień.

- No dobrze - powiedział Slaughter. - A nie mogło być tak, że jakiś wariat zabił Clifforda i uciekł, a potem do ciała dobrał się pies? W ten sposób pierwsze ślady zostałyby zatarte.

Accum znów potrząsnął głową.

- Dlaczego nie?

- Bo wszystkie rany krwawiły.

- No tak.

Slaughter oparł się na krzesło i potarł ręką czoło. To przesądzało sprawę. Tylko żywi krwawią, więc Clifford musiał być żywy, kiedy go zmasakrowano. Gdyby jakiś szaleniec poderżnął mu gardło, Clifford żyłby najwyżej minutę czy dwie, a jego trup by nie krwawił po

ataku psa.

Patrząc na ciemność za oknem, Slaughter pociągnął łyk piwa i wyprostował się na krześle, zaniepokojony odgłosem szczekania. Zaraz potem rozległo się wycie i jakieś dźwięki, których nie potrafił zidentyfikować. Nastawił ucha, zaintrygowany.

- Wiesz... - Urwał, widząc, że Accum również patrzy w okno i wsłuchuje się w dobiegające z zewnątrz odgłosy. - Wiesz - powiedział znów - odkąd znaleźliśmy w rowie zwłoki Clifforda, myślałem o raporcie nocnym, który czytałem dziś rano. Coś mnie tknęło. Przejrzałem go jeszcze raz i zobaczyłem, że tuż powyżej zapisu o zaginięciu Clifforda, jest notka o psie, który nieustannie wyje.

- No i co?

- Skarga na psa napłynęła z tamtej okolicy.

Accum odwrócił się od okna i popatrzył na komendanta.

- Z sąsiedztwa. - Slaughter opuścił wzrok na puszkę piwa. - A w ogóle, to ile miał alkoholu we krwi?

Accum wzruszył ramionami, nie fatygując się nawet, żeby zajrzeć do leżących przed nim wyników sekcji.

- Dwa i osiem dziesiątych promila, a pił tak od kilkunastu lat. Jego wątroba była zrujnowana.

- Ale czy mógł utrzymać się na nogach?

- Rozumiem... chodzi ci o to, czy ktoś go tam zaciągnął, czy poszedł sam? Nie widziałem żadnych śladów walki, ale może twoi ludzie coś znajdą. Miał siniaki na łopatce i na prawym przedramieniu, ale sądząc po ich lokalizacji, nabił je sobie spadając.

- Dlaczego właśnie wtedy?

- Zastanów się. Wszystkie te obrażenia były całkiem świeże, tak świeże, że musiał je odnieść na krótko przed śmiercią.

- Nie potem? Może ktoś skopał jego ciało?

- Nie, siniaki powstają tam, gdzie następuje wewnętrzne krwawienie. Jeśli się uderzy zwłoki, można je uszkodzić, ale nie można nabić im siniaków. Tylko żywi krwawią, więc tylko na ich ciałach pojawiają się siniaki. Przeważnie mija jakieś pół godziny, zanim skóra w miejscu uderzenia przybiera fioletowy odcień.

Slaughter patrzył na niego, popijając piwo.

- To znaczy, że Clifford leżał w rowie przynajmniej pół godziny, zanim został zaatakowany?

- Tak. Ale pamiętaj, o czym mówiłem. Że sądząc po lokalizacji siniaków, nabił je

sobie, kiedy wpadł do rowu. Może uderzył się o coś wcześniej, ale nie wydaje mi się. Moim skromnym zdaniem nabawił się ich przy upadku. Oczywiście, ktoś mógł go tam zepchnąć. Jeśli tak, to nie wiem po jakie лихо, bo przyczyną śmierci było pogryzienie przez psa co najmniej pół godziny później.

- O której nastąpiła śmierć?

- O trzeciej. Najdalej wpół do czwartej.

- Tak, obsługa baru mówiła, że Clifford wyszedł trochę po drugiej, kiedy już zamykali. Szedł z kwadrans. Pół godziny na wystąpienie siniaków i mamy prawie trzecią.

- A więc wszystko jasne?

- Mniej więcej. Nikt go nie napadł, na co wskazuje nietknięty portfel. Wytoczył się z baru i powłókł ulicą. Chciał się odlać albo pójść na skróty, albo był po prostu zamroczony alkoholem. Nigdy się już nie dowiemy, dlaczego zбочzył na łąkę. Pijany, nie zauważył rowu. Wpadając do niego, posiniaczył się. Zapadł w drzemkę i po jakimś czasie zaatakował go pies.

- Chyba tak to było.

- Ale jeden czy więcej?

- Co?

- Ile było psów? Jeden czy kilka?

- Jeden.

- Jesteś pewien?

- Moim skromnym zdaniem...

- Ale skąd masz pewność?

- Ślady zębów były wszędzie jednakowe. Nawet gdyby trafiły się dwa psy o podobnych rozmiarach kłów, ich enzymy byłyby inne.

- Ich co?

- Enzymy. Ślina. Wydzieliny z pyska. Pies nie może zagłębić w coś zębów, nie zostawiając śliny. A wszystkie enzymy w tych ranach były takie same. Pochodziły od jednego psa.

Patrząc na lekarza, Slaughter powoli otworzył następną puszkę piwa. Gaz wydobył się z niej z głośniejszym sykiem niż zwykle. Komendant zlizął wyciekającą z otworu pianę.

- Nie mógł to być kojot ani wilk? - upewnił się, spoglądając w kierunku ciemnego, otwartego okna.

- Nie, zęby były zbyt duże jak na kojota. Wilk mógł pozostawić ślady tych rozmiarów, ale mała szansa. Nikt nie widział tu wilka już od dwudziestu lat. Odpada.

- No dobrze, czyli pies - stwierdził Slaughter i nagle poczuł, jak ogarnia go straszne

znużenie. - Ale dlaczego?

- Od jak dawna tu mieszkasz, jakieś pięć lat?

- Mniej więcej.

- Ja się w Potter's Field urodziłem i wychowałem. Tu przed psami należy się mieć na baczności. Ludzie zabierają je ze sobą w góry; psy często uciekają, czasem zostają porzucone. Te słabsze, bardziej rozpieszczone, zdychają, a silniejsze dziczeją; są wtedy groźniejsze od wielu innych zwierząt. Jeśli napotka się w górach psa, lepiej zejść mu z drogi. To tak, jakby się napatoczył na niedźwiedzicę z małymi.

Słyszałem o kilku poważnych wypadkach. Cholera, sam widziałem ofiary z odgryzionymi rękami czy nogami.

- Ale tu jest miasto.

- Co za różnica? Żyją w górach, ale czasem schodzą w dolinę po żywność. Nie zapominaj, że zima była ciężka. Sam wiesz, że nocą strzeżono zagród, żeby drapieżniki nie dobrały się do bydła. Ta łąka leży w pobliżu zagród. Jakiś pies z gór mógł się przybłąkać i znalazł Clifforda.

- Ale wcale nie usiłował go pożreć. Tylko zaatakował.

- Bez powodu. No właśnie. Mamy tu do czynienia z irracjonalną agresywnością, z czymś, co nazywamy psychotycznym zachowaniem zwierząt. Te dziczące psy po prostu lubią zabijać. Czasem schodzą w dół i gonią wołu przez kilkanaście kilometrów, ot tak, dla rozrywki. Potem go dopadają, zabijają i zostawiają. Ludzi zdradzających tak dalekie odchylenia od normy określamy mianem psychopatów.

Slaughter przyłożył sobie chłodną jeszcze puszkę z piwem do czoła. Myślał o starym doktorze Markle.

- Nie wyglądasz najlepiej - rzekł Accum.

- Nic mi nie jest, muszę się tylko trochę przespać. - Slaughter wstał i skierował się do drzwi.

- A co z resztą piwa? Zostało sześć puszek.

- Zatrzymaj. Zasłużyłeś na nie.

- Mówisz, że coś się tu kroi?

- Tak, i dałbym wiele, żeby wiedzieć, co.

Nacisnął klamkę i wyszedł do holu.

- Dobrze, już dobrze, zaraz się rozejrzę.

Mężczyzna wyszedł do ogrodu za domem, trzymając w ręku latarkę. Zasnął przed telewizorem i przed chwilą obudziła go żona.

- Ktoś jest za oknem w sypialni - powiedziała. - Jakiś pies.

Zamrugnął oczami, z wolna dochodząc do siebie.

- To znaczy, co? Ktoś czy pies?

- Chyba jedno i drugie.

Mruknął coś pod nosem, zwlekając się z kanapy. Ostatnio ciągle się żonie wydawało, że ktoś ją obserwuje, zapominała o różnych rzeczach, wstawała przed świtem. Działała mu na nerwy. Miał ochotę jej powiedzieć, żeby nie zawracała mu głowy, ale wtedy zaczęliby się kłócić, więc uznał, że dla świętego spokoju lepiej po prostu sprawdzić teren wokół domu. Wyszedł za drzwi i omiół latarką.

- Nikogo nie ma.

- Sprawdź kawałek dalej. Nie będę mogła zasnąć, myśląc, że ktoś się tu kręci.

- I tak nie zaśniesz.

Ruszył w kierunku krzaków.

Nie potrzebował nawet latarki. Księżyc świecił tak intensywnie, że było jasno jak w dzień.

Nagle zobaczył przed sobą zmasakrowane zwłoki psa, na pierwszy rzut oka dobermana. Jedna noga leżała tu, druga tam, brzuch był rozpruty, wokół walały się kłęby flaków. Patrząc na nienaturalnie skrzyżowany kark zwierzęcia, mężczyzna odwrócił się, przykładając rękę do ust.

30

- Coś dziwnego dzieje się z bydłem.

Spojrzeni na stojącego w drzwiach Petera. Miał osiemnaście lat, był wysoki i muskularny, chociaż teraz, kiedy pocierał napuchnięte od snu oczy, przypominał małego chłopca.

- Obudziliśmy cię?

- Nie, to bydło mnie zbudziło. Idziecie sprawdzić, co się dzieje?

Bodine przytaknął.

- Tak myślałem - powiedział Peter. - Pójdę z wami.

Peter był równie silny jak Abby, więc Bodine nie bardzo mógł się sprzeciwić. Poza tym chłopiec radził sobie ze strzelbą znacznie lepiej niż matka.

Wyszli w zimną noc. Z daleka migotały światła miasta. W blasku księżyca widać było konia galopującego nerwowo po wybiegu.

- Klacz wyraźnie coś wyczuwa.

Bodine wskoczył do furgonetki, Abby wsiadła z drugiej strony, a za nią Peter ze strzelbą. Bodine zapalił światła i mijając stodołę, ruszyli na zachód. Przed nimi ciągnęły się pastwiska.

Kiedy w światłach reflektorów pojawił się przerażony królik, Bodine skrzywił gwałtownie, żeby go wyminąć, i dodał gazu. Odgłosy wydawane przez bydło dobiegały stamtąd, gdzie tego ranka znalazł kości i rozrzucone po ziemi flaki. Liczył, że złapie tam winowajcę, który przypuszczalnie schodził z gór na łatwe łowy. Dziś w nocy nie będą takie łatwe.

Teraz już całkiem wyraźnie słychać było wystraszone bydło. Bodine widział rozpędzone stado, ciemne zarysy wzgórz oraz ośnieżone szczyty, lśniące w świetle księżyca.

A także jakiś ruch w krzakach na skraju lasu.

- Tam! Widzicie?

- Co to może być?

Przyhamował, gotów wyskoczyć i strzelać na oślep, ale przypomniał sobie, jak kiedyś ojciec rozszedł się na niego, gdy w wieku dwunastu lat wypalił w zarośla.

- Poczekaj, aż zobaczysz cel!

Mając to w pamięci, Bodine podjechał bliżej, skrzywił w kierunku lasu. Wjechał w krzaki, oświetlając drogę reflektorami. Skrzywił się, gdy podskoczyli na wyboju, ale był zdecydowany dopaść zwierzę, które atakowało bydło. Krzaki otaczały go ze wszystkich stron. Nagle, mimo warkotu silnika, usłyszał w lesie tętent kopyt. Między drzewami zobaczył rogi. Trafił na stadko jeleni, pewnie równie wystraszonych jak bydło. A potem spostrzegł coś innego, chyba rysia; zahamował gwałtownie i wyskoczył ze strzelbą gotową do strzału. Uciekające przed rysiemi jelenie pędziły prosto na niego, ich rogi były coraz bliżej. Chciał uskoczyć, zejść im z drogi, gdy wtem rozległo się wycie. I już było za późno. Poczuł, jak końce rogów wbijają mu się w brzuch. Krztusząc się, osunął się na ziemię i usłyszał krzyk Abby. Pomyślał sobie, że mógłby uratować te jelenie, gdyby mu pozwoliły; po chwili zdał sobie sprawę, że to przecież nieważne teraz, gdy umiera, i znów usłyszał wycie. Wilk czy

kojot z rysiem? To nie miało żadnego sensu. I wtedy zobaczył źrenice diabła, patrzące na niego spomiędzy rogów.

Abby wciąż krzyczała.

31

Slaughter sam nie wiedział, co właściwie tu robi. Mówił sobie, że powinien iść do domu, zajrzeć do koni, że ma za sobą długi dzień, że ktoś inny może się tym zająć. Postanowił się jednak nikim nie wyręczać. Bał się i miał dwa wyjścia: uciec albo stawić temu czoło. Coś się dzieje - powtarzał sobie. Wiedział, że jeśli teraz się wycofa, już nigdy się psychicznie nie pozbiera. I nigdy nie zapomni o tych dwóch chłopakach ze sklepu.

Wysiadł z radiowozu.

Z latarką w ręce podszedł do baru "Ostatni przystanek" i aby odsunąć to, co go czekało, sprawdził drzwi, które jak się spodziewał - były zamknięte. Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze okna i tylne wejście. A nawet kubły na śmieci, by się przekonać, że wszystkie butelki są zbite. Teraz naprawdę tracisz czas - powiedział sobie, zgasił latarkę i wrócił do samochodu.

Była trzecia w nocy. Mniej więcej o tej porze zginał Clifford. Oczywiście, znalazł się na łące jakieś pół godziny wcześniej, a jeśli upadł i zasnął, może nawet godzinę wcześniej. Ale o tej porze został zaatakowany. Slaughter stał przy radiowozie i się rozglądał. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się rząd domów, przeważnie zniszczonych i obdrapanych, gdyż ta część miasta najbardziej przypominała slumsy: rozpadające się ganki, zdewastowane trawniki, tu i ówdzie tektura zamiast szyb w oknach. Ale mieszkańcy, aczkolwiek biedni, byli spokojni i nigdy nie miał z nimi kłopotów - owszem, zdarzały się bójki w barze, lecz klientelę stanowili głównie kowboje z pobliskich rancz. Slaughter popatrzył na majaczące w dali budynki przy zagrodach. Pomijając dni, kiedy odbywały się specjalne licytacje, było trzymano wyłącznie w zagrodach, więc budynki mieściły tylko biuro i dwie sale pokazowe. W ciszy słyszał odległe porykiwanie. Przez chwilę stał zamyślony, a potem ruszył chodnikiem w stronę łąki.

Na otwartej przestrzeni latarka była zbyteczna. Świejące gwiazdy i olbrzymi księżyc dawały nocy srebrzystą, niemal magiczną poświatę. Zapewne Clifford też to zauważył. Slaughter starał się wczuć w jego myśli. Zeszła noc była równie jasna. Clifford wyszedł z baru i ruszył przez łąkę. Oczywiście, był pijany. Z taką ilością alkoholu we krwi - dwa i

osiem dziesiątych promila - poświata była pewnie jedyną rzeczą, jaką dostrzegał. Nie szedł normalnie; zataczał się, potykał i może dlatego wolał niewygodny skrót przez łąkę zamiast dwukrotnie dłuższej drogi ulicą. Wiedział, że inaczej nie zdoła dotrzeć do domu. Jakieś zwierzę, które czaiło się w trawie, uznało go za łatwy łup. Nie, czas się nie zgadzał. Pomiedzy upadkiem a atakiem minęło trzydzieści minut. Zwierzę, które chciałoby się na niego rzucić, zaatakowałoby od razu. Po co miałyby czekać? A może z początku nie wykazało nim zainteresowania, może najpierw próbowało dobrać się do bydła i dopiero potem, odstraszone przez strażników, wróciło i zabiło Clifforda? Ale dlaczego? Nie pożarło go. Czyżby ze złości? Ta myśl przeraziła Slaughtera. Zszedł z chodnika w szeleszczącą trawę i chwasty. Pod nogami zachrząściły mu kamyki.

Powtarzał sobie, że to idiotyczne: jest zmęczony, powinien iść do domu i się przespać. Ale podejrzewał, że jeśli w okolicy grasuje zdziczały pies, to wróci na miejsce, gdzie udało mu się dopaść ofiary; i kto wie, czy nie wróci następnej nocy, czyli właśnie teraz. Slaughter szedł na ukos po łące, kierując się w stronę rowu, w którym znaleziono ciało. Mniej więcej tędy musiał iść Clifford, jeśli chciał dotrzeć na skróty do domu. Oczywiście, to były tylko przypuszczenia Slaughtera; prawdę miał poznać dopiero jutro, po zbadaniu łąki przez ludzi, których do tego wyznaczył. No pięknie - pomyślał. Musiał być naprawdę piekielnie zmęczony, skoro przyszedł tu i zaciera ślady. Fantastyczna robota, komendancie! Bravo! W przeświadczeniu, że zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni, genialny detektyw zaciera ślady, które mogłyby pomóc wyjaśnić sprawę. Lepiej być nie może. Właściwie co ty sobie, do diabła, wyobrazasz? No cóż, co się stało, to się nie odstanie - powiedział do siebie, zbyt przywiązany do swojego pomysłu, żeby z niego rezygnować. Teraz równie dobrze może iść dalej.

Znów ruszył przed siebie, choć z pewnymi oporami. Bo mimo że nie zamierzał dać za wygraną, czuł się coraz bardziej nieswojo. Nie chodziło o niejasne złe przeczucia, które go gnębiły, odkąd znalazł ciało Markle'a; tym razem ogarnęła go wręcz fizyczna niechęć do skąpanej w blasku księżycy łąki. Winne było zmęczenie, a także zmasakrowana twarz Clifforda, którą wciąż miał przed oczami; pamiętał również, co Accum mówił o psychotycznym zachowaniu zwierząt. Ale nie mniej silnie działała mu na nerwy otaczająca go pustka i cisza, w której słychać było każde otarcie się spodni o chwasty, każde stąpienie buta na kamień. Trawa sięgała mu teraz po kolana. Szedł wolno, ostrożnie, w lewej ręce trzymając latarkę, którą w każdej chwili mógł zapalić, prawą dłonią dotykając kabury. Nie bądź śmieszny - powtarzał sobie w myślach. Kiedy pracowałeś na nocnej zmianie w Detroit, bywałeś w znacznie większym niebezpieczeństwie, ilekroć sprawdzałeś otwarty magazyn czy biegleś krętymi ulicami za uciekającym przestępcą. Nie wspominając już nawet o tym dniu,

kiedy wszedłeś do sklepu i natknąłeś się na tych dwóch chłopaków... Tak, ale to było dawno temu. Przez ostatnich parę lat odwykłeś od niebezpiecznych sytuacji. Nagle zerwał się lekki wiatr; wysoka trawa zaszeleściła, stwarzając złudzenie, że coś się w niej porusza. Raz Slaughter nawet odwrócił się, ale nic nie dostrzegł i opanował odruch, żeby poświecić latarką. Nie zapalaj jej, póki nie jesteś całkiem pewny, że masz coś przed sobą - powiedział sobie. Wystraszysz zwierzę, zanim podejdziesz dostatecznie blisko.

Szedł dalej. Początkowo myślał, że jasne światło księżyca i gwiazd zapewni mu dobrą widoczność. Ale srebrzysta poświata zacierała kontury, dawała złudne wrażenie bliskości, roztopiała wszystko w pajęczej mgle. Popatrzył w kierunku zagród; zobaczył mroczne cienie ruszającego się bydła i, w tyle za nimi, zarys budynków. Pomyślał, że lepiej nie zbliżać się tam za bardzo, bo jeszcze jakiś strażnik weźmie go za złodzieja i postrzeli. Znajdował się już na środku łąki, ale nie widział nigdzie rowu, do którego stoczył się Clifford. Zapewne gdy się wcześniej rozglądał, musiał zboczyć z kursu i teraz nie wiedział, czy skręcić w lewo, czy w prawo. Wokół rowu rosła wysoka trawa, jak pamiętał, i można go było przeoczyć nawet z odległości kilku kroków. Nie trzeba było spuszczać wzroku z domu Clifforda - pomyślał, po chwili jednak uznał, że Clifford i tak był zbyt pijany, żeby iść prosto. Zataczał się to w jedną stronę, to w drugą, więc Slaughter jakby powtarzał teraz jego trasę. Koniecznie musiał znaleźć rów. Pomyślał, że chyba za bardzo zboczył w kierunku zagród dla bydła; skręcił nieco w bok i nagle zdał sobie sprawę, że wiatr całkiem ustał. Ale szelest trawy nie ucichł; przeciwnie, rozlegał się coraz bliżej.

Slaughter odwrócił się przestraszony, podniósł latarkę, odskoczył do tyłu... i wylądował na splątanym zwoju drutu kolczastego z przewróconego płotu, który leżał tu wczoraj, gdy przyszli obejrzyć zwłoki. Nie mogąc uwolnić nóg, wyrzucił w bok ramiona i zaczął spadać, zwrócony twarzą do księżyca. Wiedział, że musi się skulić, żeby zamortyzować upadek, ale na razie wciąż leciał w dół. Wreszcie huknął o ziemię, uderzając głową o coś twardego; przeszył go tak silny ból, że gwiazdy stanęły mu w oczach. Potoczył się w bok - uczynił to mimowolnie, jakby adrenalina wyzwoliła w nim odruch, wyrobiony przez policyjne szkolenie - po czym sięgnął po rewolwer... i nie znalazł! Ogarnął go paniczny strach, którego nie potrafił opanować. Jezu Chryste, leżał w rowie! W tym samym co Clifford. Chciał zapalić latarkę, ale nie mógł jej namacać. Nad sobą usłyszał szmer. Poderwał się i kiedy próbował wspiąć się po ścianie rowu, wydostać na otwartą przestrzeń i rzucić do ucieczki, poczuł pazury na twarzy i z krzykiem zwałił się z powrotem. Tak mocno grzmotnął plecami o coś twardego, że aż mu zaparło dech. Niemal miał wrażenie, że odbił sobie nerkę. Wsunął pod siebie rękę, gorączkowo usiłując wydobyć przedmiot, na którym wylądował, i

wtem zobaczył skulony, syczący kształt szykujący się do skoku. Nastroszona sierść, dzikie oczy, pysk szeroko rozwarty, zęby odsłonięte. W tym samym momencie, gdy zwierzę skoczyło, wyciągnął spod siebie broń. Skierował ją na syczącą z furią bestię, która spadała na niego, i nacisnął spust. Ogień z lufy oślepił go, siła odrzutu przewróciła na plecy, a bestia z rozsadzoną kulą głową spadła mu na brzuch, topiąc go w morzu krwi.

32

Dunlap otworzył oczy. Skulił się u wezglowia, ale po chwili się odprężył. Pokój był pusty. Dziennikarz sięgnął po butelkę whisky stojącą na podłodze. Niejasno zaczął sobie przypominać, jak wyczołgał się z zaułka i przywłókł do hotelu. W rogu pokoju zobaczył walizkę, magnetofon i aparat fotograficzny. Sądził, że zostawił je w barze, w którym narzabiał. Jak, do licha, się tu znalazły? Czy ci kowboje odnieśli mu rzeczy do zaułka? Czy sam wrócił po nie do baru? Pociągnął whisky i czekał, aż rozjaśni mu się w głowie. Bolała go szczęka; bez pomocy lustra wiedział, że jest cała sina. Żebra miał poobijane od ciosów i kopniaków, ale kiedy je obmacał, stwierdził, że na szczęście nie są złamane.

Popijając rozglądał się po pokoju, do którego słońce zaglądało już przez okno. Pomieszczenie było małe i ciasne, ledwo mieszczące łóżko, krzesło i biurko z telewizorem. Odbiornik nie miał przełącznika kanałów, a okno siatki, więc wlatywały przez nie muchy. Hotel wzniesiono w 1922 roku, o czym informowała tablica wmurowana w barze na dole, jakby zdezelowany budynek stanowił zabytek, z którego miasto było dumne. Wytarty chodnik, skrzypiące łóżko, wspólna łazienka na końcu korytarza. Musiał wstać w nocy, żeby opróżnić pęcherz, i wracając skręcił w złą stronę, po czym z trudem znalazł swój pokój w gąszczu korytarzy, które przechodziły jeden w drugi niczym krecie nory, tworząc ogromny labirynt. Bał się, że jeśli wybuchnie pożar, co zważywszy na suche jak pieprz drewniane ściany mogło się zdarzyć w każdej chwili, nie będzie wiedział, którądy uciekać, a skakanie na bruk z pierwszego piętra niezbyt mu się uśmiechało.

Poza tym nie miałby nawet siły. Źle się czuł. Bezskutecznie usiłował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni nie czuł się rano fatalnie, i to przygnębiło go jeszcze bardziej. Jak długo tak pociągnie? Od dziesiątej wieczór do zamknięcia knajpy siedział przy barze naprzeciw telewizora i oglądał powtórki seriali. Nie potrafił powiedzieć, ile wypił, wiedział tylko, że pod koniec barman jakoś dziwnie na niego patrzył, a obraz na ekranie stał się

rozmytym pasmem reklam i migawek ze studia. Aha, i jeszcze notowań giełdowych. Ale tutejsze notowania nie pokazywały kursu zamknięcia akcji Xeroxa, Kodaka i innych znanych firm, tylko ceny bydła, które podano o dziesiątej, o dwunastej i na koniec programu. Nie mógł wypić bardzo dużo, skoro pamięta te szczegóły. Nie? No to dlaczego ręce mu się trzęsą? Dlaczego jest mu tak niedobrze, że nie może nawet myśleć o śniadaniu? Musiał pociągnąć jeszcze parę łyków, zanim odważył się pójść do łazienki, żeby się ogolić, a potem znów się napił, zmagając się z guzikami koszuli. Przestraszyło go to. Tyle przynajmniej pamiętał: że był czas, kiedy nie potrzebował od rana whisky, żeby funkcjonować. Sięgnął po magnetofon, aparat, i patrząc na butelkę postanowił, że nie weźmie jej z sobą, po czym szybko wyszedł z pokoju.

Korytarz wiódł na prawo, potem na lewo, potem znów na prawo; kończył się schodami prowadzącymi do obszernego holu z szarą kamienną posadzką. Na ścianie wisiała głowa łosia - sądząc po jej stanie, upolowanego z ćwierć wieku temu. Za poplamionym kontuarem recepcji siedział pomarszczony starzec w dzinsowym ubraniu. Dunlap wciągnął głęboko powietrze i natychmiast tego pożałował: zapach stęchlizny był jeszcze intensywniejszy niż w pokoju. Po raz kolejny zadał sobie pytanie, co tu właściwie robi, i ruszył do drzwi wyjściowych.

Słońce cięło po oczach jak rozpalony do białości nóż, choć była dopiero ósma rano. Jak będzie później, skoro już teraz żar jest nie do wytrzymania? Nie chciał o tym myśleć. Ósma rano; to, że tak wcześnie znajdował się na nogach, też było jednym ze skutków picia. Coraz mniej sypiał, a jeśli już... O tym również nie chciał myśleć, ani o rogatym stworze, który podchodził każdej nocy coraz bliżej, wbijając w niego kocie oczy, machając wilczym ogonem. Dunlap zaczął drzeć. Opanuj się - powiedział sobie. Ten koszmar zaczął cię prześladować wkrótce po wyjeździe stąd; tu się go pozbędziesz.

33

Wyszło z miasta, kierując się w stronę gór. Mimo osłony drzew było oślepienie; mrużąc oczy, z pochyloną głową, przedzierając się przez zarośla i czepiając skał, wspinało się coraz wyżej. W mieście zabiło psa i posiliło się jego mięsem. Krzywiąc się, pojękiwało z cicha. Spać. Potrzebowało snu. Gdzieś tam w górze coś je wzywało. Nie wiedziało co, ani dlaczego, ale ośnieżone szczyty przyciągały jak magnes, więc jęcząc, pięło się coraz wyżej.

34

Dunlap obserwował Rettiga i młodego policjanta siedzących z przodu. Wjechali przez otwartą drewnianą bramę i znaleźli się na zrytej koleinami, zachwaszczonej polnej drodze. Usłyszał z dala kilka strzałów, jeden po drugim, coraz głośniejszych w miarę jak radiowóz zjeżdżał w dół zbocza, podskakując na wybojach.

Pochylił się do przodu.

- Jakież kłopoty? - zapytał.

Policjanci nie odpowiedzieli. Pędzili w dół, wzbijając tumany czerwonego pyłu. Wkrótce dziennikarz zobaczył zabudowania: pobielony domek z werandą, stodołę oraz szopę, też pomalowane na biało. Stały przy ogrodzonym pastwisku, po którym biegały dwa konie, najwyraźniej spłoszone odgłosami dolatującymi z położonego nieco dalej parowu.

35

Slaughter stał na werandzie i obserwował spłoszone konie. Potem odwrócił się do Accumy.

- Nie, to był kot, jak mówiłem. Rozwaliłem mu kulą łeb.

Accum wbił w niego niedowierzający wzrok.

- Dziwne - rzekł.

Kanonada w parowie przybrała na sile.

- To był duży kot, naprawdę duży, ważył co najmniej z siedem, osiem kilo i gdybym go nie zastrzelił, wyglądałbym teraz jak Clifford.

Accum potrząsnął głową, marszcząc brwi. To wszystko nie miało sensu. Nie tylko sam atak, ale i przesadnie nerwowa reakcja Slaughter'a. Wyglądał jak strzęp człowieka. Zgoda, nie spał przez większą część nocy i został zaatakowany, ale na miłość boską, w końcu tylko przez kota! To jeszcze nie powód, żeby oczy komendanta miały taki wyraz, jaki miały. A z drugiej strony... Wpadł do rowu, myślał, że skończy jak Clifford. Prawdopodobnie nie bał się tak od wyjazdu z Detroit. Zapomniał, jak to jest, i teraz był zły, że dał się wystraszyć zwykłemu kotu. Accum dotąd w ogóle nie przypuszczał, że Slaughter zna uczucie strachu. Dopiero teraz

przyszło mu to do głowy. Popatrzył na komendanta ze współczuciem i jego sympatia dla niego wzrosła.

- Mówiłeś, że Clifforda zagryzł pies - powiedział Slaughter.

- Zgadza się.

- Wiec czemu mnie zaatakował kot?

Od strony parowu wciąż dochodziły odgłosy strzałów.

- Nie wiem. Pokaż mi lepiej to zadrapanie.

Slaughter odsunął wyciągniętą rękę lekarza.

- Sam je przemyłem. - Zadrapanie nie wyglądało ładnie; długie i głębokie, pokryte świeżym strupem, biegło przez cały policzek. - Stary Markle na wszelki wypadek kazał mi trzymać w domu dobrze zaopatrzoną apteczkę. Jeszcze w czasach, kiedy hodowałem konie.

- Może warto założyć szwy?

- Nie, nie ma potrzeby. Powinienem był od razu ci się pokazać, ale chciałem jak najprędzej znaleźć się w domu.

Jasne, rozumiem aż nazbyt dobrze - pomyślał Accum. Nie chciałeś, żeby ktokolwiek widział, jak się trzęsiesz ze strachu.

Usłyszał z daleka warkot silnika i odwróciwszy się, zobaczył radiowóz zjeżdżający ze zbocza czerwoną gliniastą drogą.

36

Slaughter też patrzył na nadjeżdżający samochód: widział, że z przodu siedzą Rettig i Hammel, a kiedy podjechali bliżej, dojrzał jeszcze jedną osobę z tyłu, mężczyznę w szarym, pomiętym garniturze, o równie szarej i pomiętej twarzy.

Kiedy radiowóz zatrzymał się i wszyscy trzej wysiedli, mężczyzna zarzucił sobie na ramię magnetofon i aparat fotograficzny. Slaughter nie widział go od dziesięciu lat i przez ten czas przybysz bardzo się zmienił. Włosy miał zszarzałe, przyprószone siwizną...

Komendant zbiegł z werandy i ruszył gościom naprzeciw.

- W kuchni jest piwo, poczęstuj się - zawołał do Accum. - Zaraz wracam.

- Zaczekaj, mam jeszcze parę pytań.

- Później.

Szedł w stronę szarego człowieka z aparatem. Rettig i Hammel nawet nie spojrzeli w kierunku parowu, ale przybysz stał ze zwróconą tam twarzą, nasłuchując strzałów.

- Zrobiliśmy wszystko, co pan kazał - powiedział Rettig. - Nic nie dało.

- Tak jak się spodziewałem. - Patrząc na mężczyznę o szarej twarzy, Slaughter wyciągnął rękę. - Gordon Dunlap!

- A więc pan go zna? - spytał Rettig. - Mówił nam...

- Tak, znam. Witaj, Gordon. Kopę lat.

Dziennikarz uśmiechnął się.

- Nathan.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Miałem w związku z tobą kilka telefonów - oznajmił komendant.

- Parsons?

- Tak. Skąd się tu wzięłeś?

- Przyjechałem pociągiem.

- Nie to miałem na myśli.

- Wiem. Możemy chwilę porozmawiać?

Slaughter zwrócił się do Rettiga:

- Idź, zamień parę słów z Accumem, dobrze?

Rettig obrzucił go wzrokiem i ruszył w kierunku werandy, biorąc ze sobą młodego policjanta. Slaughter zerknął na Dunlapa.

- Kto ci tak obił gębę?

- Miałem drobną sprzeczkę. A kto podrapał twoją?

- Kot.

Z parowu wciąż dochodziła kanonada.

- Nathan, możesz mi powiedzieć, co się tam dzieje?

- Ćwiczenia strzeleckie.

Dunlap spojrział na niego pytającym wzrokiem.

- Mamy taki zwyczaj. W sobotę zapraszam podwładnych na piwo i potrawę z chili, ale najpierw idą za stodołę, postrzelać trochę do celu. W niektórych małych miastach się tego nie wymaga, ale ja uważam, że policjanci powinni ćwiczyć strzelanie przynajmniej dwa razy w miesiącu. Ci, którzy dzisiaj pełnią służbę, przyjadą w przyszłym tygodniu. I tak na zmianę. Chcesz zobaczyć?

Dziennikarz przez chwilę nie odpowiadał; Slaughter pomyślał, że pewnie nie ma ochoty. Zdziwił się więc, kiedy dawny przyjaciel rzekł nagle:

- Jasne.

- No to chodźmy.

Ruszyli w kierunku stodoły. Slaughter zauważył, że Dunlap ściągnął w zamyśleniu brwi.

- Nathan, jednej rzeczy nie rozumiem. Dlaczego rzuciłeś Detroit?

- Och, chyba zmęczyło mnie życie w wielkim mieście. Chciałem spróbować czegoś innego, spokojniejszego.

- Potter's Field?

- Równie dobre miejsce jak każde inne. Mam konie. Wiem, że może to brzmi dziwnie, ale czuję się tu szczęśliwy. - Byli już blisko stodoły. - O czym chciałeś porozmawiać?

- Sam dobrze nie wiem - powiedział Dunlap.

- Słucham?

Stanęli; strzały rozlegały się teraz całkiem blisko.

- Nathan, wiele się zmieniło, odkąd cię ostatni raz widziałem.

- Dziesięć lat to kupa czasu.

- Nie o to chodzi... Posłuchaj, będę z tobą szczery. Zawsze byłem. Przeszedłem coś w rodzaju załamania nerwowego. Nie rozumiem, co się stało, ale straciłem ten pęd, który mnie pchał do działania. Nie mam właściwie żadnego celu.

Slaughter zeszytywniał. Ty też? - pomyślał, ale nic po sobie nie pokazał.

- Jak ci pomóc? - spytał.

- Nie wiem. To wszystko nie trzyma się kupy. Prześladowuje mnie sen, który... Wiesz, byłem tu już kiedyś. W grudniu siedemdziesiątego pierwszego. Tam na górze hipisi założyli obóz. - Wskazał w kierunku gór.

- Tak, słyszałem. To było jeszcze przed moim przyjazdem.

- Zrobiłem o nich reportaż, którego nigdy nie wydrukowano. Właśnie po tym zacząłem się obsuwać. Wczoraj, kiedy rozmawiałem z Parsonsem, dowiedziałem się, że miało tu jeszcze miejsce morderstwo, o którym nie wiedziałem, a teraz ten człowiek, Clifford...

- Skąd o nim wiesz?

- Nadal wykonuję swój zawód. Pytałeś, skąd się tu wzięłem. Nie jestem pewien. Sam chciałbym wiedzieć. Jechałem pociągiem do Seattle. Kiedy się tu zatrzymał, nie miałem wyboru. Musiałem wysiąść. Nie mam pojęcia, co tu robię. Szukam dla siebie wymówki. Wiesz, co jest najdziwniejsze? Ten sen, koszmar, jakby mnie przyzywa.

- Co ci się śni? - spytał Slaughter, myśląc o własnych nocnych zmorach.

- Proszę, nie pytaj.

- Pijesz?

- Ciagle.

- Nie przejmuj się tak. Słuchaj, muszę teraz iść do moich ludzi. To nie potrwa długo i będziemy jeszcze mogli porozmawiać.

Dunlap kiwnął głową.

- Chciałbym tylko wiedzieć, co ja tu, do cholery, robię.

Minęli stodołę i huk wystrzałów znów przybrał na sile. Idąc po twardym, zbitym czerwonym pyłe ujrzeli pięciu mężczyzn ubranych w dzinsy i koszule z podwiniętymi rękawami, którzy stali na skraju parowu, mierząc z rewolwerów do metalowych puszek ustawionych po drugiej stronie. Parów miał mniej więcej sześć metrów szerokości, a puszki znajdowały się półtora metra od jego krawędzi, u podnóża niewielkiego nasypu. Trzech mężczyzn skończyło strzelać i zaczęło ponownie ładować broń, spoglądając na zbliżających się Slaughtera i Dunlapa.

- Jak idzie? - zapytał Slaughter i pozostali dwaj policjanci, którzy jeszcze strzelali, odwrócili się do niego, szczerząc zęby.

- Mamy nadzieję, że to piwo jest tak zimne, jak pan obiecał.

- Kłamałem. Jest zimniejsze.

Roześmiali się.

- Przyda się kilka nowych puszek - zauważył Slaughter, widząc, że te, które dotąd służyły za cel, mają więcej dziur niż metalu i trzymają się tylko na nitczkach złączeń.

- Uznaliśmy, że kiedy rozwalimy je do końca, będziemy mogli powiedzieć, że zasłużyliśmy na piwo.

- Sto strzałów na łebka. Nie mniej.

- Ale pan, szefie, jakoś się tu z nami nie udziela.

- Ja już swoje dzisiaj wystrzelałem.

- Jasne, jasne. - Wciąż się uśmiechali.

Slaughter spojrział na Dunlapa, potem na nich i wzruszając ramionami, sięgnął po rewolwer.

Dunlap cofnął się instynktownie, obserwując Slaughtera, który podszedł do swoich ludzi, trzymając w zgiętej w łokciu ręce wymierzoną w niebo broń. Wbił wzrok w puszki po drugiej stronie parowu, skoncentrował się, stanął w rozkroku i opuścił wolno prawe ramię, uważnie mierząc w cel. Miał rewolwer kalibru 357, z uniwersalnym bębenkiem na naboje zwykle i magnum. Był to wyrób firmy Ruger, z karbowaną kolbą leżącą jak ulał w potężnej dłoni komendanta i kurkiem, który trzeba było odvodzić przy każdym strzale. Slaughter

uważał jednak, że obecność kurka zwiększa celność strzałów, gdyż wystarczy bardzo lekko naciskać na spust. Tak jak teraz. Rozległ się huk i puszka podskoczyła do góry; Slaughter poczuł odrzut w całym ciele, ale już ponownie odwodził kurek i naciskał na spust, a potem jeszcze raz i jeszcze, sześć razy pod rząd. Echo strzałów zlewało się w jedno, puszka tańczyła z brzękiem i przy ostatnim strzale rozpadła się. Ręka Slaughtera pracowała tak szybko, że ledwo można było nadążyć wzrokiem za ruchami jego palców; wiedział, że się popisuje, by spełnić oczekiwania podwładnych, którzy - jak zawsze - nagrodzili go śmiechem i aplauzem. Wzruszył ramionami, wysypał łuski z wysuniętego na bok bębena i schował je do kieszeni.

- Macie jeszcze parę rund do wystrzelania - powiedział, pokazując wypełnione do połowy pudełka z nabojami u ich stóp. - Piwo się oziębia. Tylko zanim stąd pójdziecie, zbierzcie wszystkie łuski.

- Pewnie, szefie - zawołali i znów zaczęli strzelać do podziurawionych jak rzeszoto puszek.

Slaughter podszedł do Dunlapa stojącego przy stodole; ruszyli razem w stronę domu.

- Jesteś świetny jak kiedyś - powiedział dziennikarz.

- Staram się utrzymać formę. Wcale nie żartowałem. Chodzę tam i ćwiczę przed ich przyjściem. Czasem strzelam razem z nimi. Przeważnie jednak siedzę na werandzie i witam gości. Okazuje się, że mam duszę dżentelmena z zachodu. To jedna z rzeczy, których się dowiedziałem o sobie, odkąd tu jestem.

Dunlap uśmiechnął się. Dobry znak. Najwyraźniej nie zauważył nerwowości Slaughtera i nie zorientował się, że policjanci przyjechali nie tylko postrzelać, ale również porozmawiać o zaistniałych kłopotach. Komendant nabił rewolwer.

- Co ci się śni? - spytał.

- Powiedziałem, że nie chcę o tym mówić.

- Uspokój się. W Detroit ci pomogłem, kiedy byłeś w opałach; teraz też spróbuję.

Z uśmiechem wszedł z chrzęszczącego żwiru na werandę i już miał zaproponować Dunlapowi puszkę piwa, kiedy podbiegł do niego Accum.

- Rettig powiedział mi, że ten kot wciąż leży w rowie. Muszę wiedzieć, czy cię ugryzł.

- Nie. Sam o tym pomyślałem. Po powrocie do domu zdjąłem ubranie i obejrzałem się dokładnie, ale mam jedynie to zadrapanie na policzku.

- A więc tylko cię podrapał, nie ugryzł? - upewnił się Accum.

- Czy to wygląda na ugryzienie? Nie, jestem pewien, że mnie nie ugryzł.

- Tak czy owak, chciałbym obejrzeć sobie tego kota. Koty nie atakują ludzi.

- Czasami się zdarza. Kiedy pracowałem w Detroit, dobrze poznałem ich pazury i

zęby, bo w opuszczonych czynszówkach często się trafia na zdziczałe kociska. Rozumiem jednak o co ci chodzi; w razie potrzeby mogą się bronić, ale nie rzucają się na ludzi same z siebie.

Zapadło milczenie. Slaughter popatrzył na Dunlapa, który przysłuchiwał się uważnie rozmowie. Zobaczył, że zarówno Rettig, jak i nowy policjant też mu się przyglądają.

- Panowie, przedstawiam wam Gordona Dunlapa, dziennikarza. Przed laty spotkaliśmy się w Detroit. Napisał kiedyś o mnie artykuł, po tym jak uratowałem mu życie. - Zwrócił się do Dunlapa. - Gordon, mamy tu pewien problem, ale wolałbym, żebyś to zatrzymał dla siebie. Mógłbym cię poprosić, żebyś wszedł do środka i napił się piwa, ale zacząłbyś podejrzewać, że coś przed tobą ukrywamy i tylko bardziej byś węszył. Więc pozwolę ci zostać. Historia obozu w górach, to twoja sprawa. Ale to, o czym my tu mówimy, musi zostać między nami.

- Jasne. Rozumiem, że masz swoje powody.

- Zaraz je poznasz. - Slaughter westchnął ciężko i spojrzał na Accuma. - Załadowałem naboje magnum, zanim wszedłem na łąkę. Jak mówię, strzelając do kota rozwalilem mu łeb. Nie jestem patologiem, ale wiem, że jeśli chce się sprawdzić, czy zwierzę miało wściekliznę, bada się wycinki mózgu.

- Zgadza się.

- No więc mózg tego kota jest rozpryskany po całej łące. Cholera, jeśli nawet uda ci się znaleźć jakieś resztki, będą tak zanieczyszczone, że nie dasz rady przeprowadzić żadnych badań.

Zacisnął mocno szczęki. Opanuj się - powiedział sobie. Przy strzelaniu trochę się odprężył, ale kiedy poruszono ten temat, znów poczuł macki strachu.

- A więc już wiesz - zwrócił się do Dunlapa. - Wścieklizna. Teraz sam rozumiesz. Gdyby wieść rozeszła się po mieście, wybuchłaby panika.

Twarz Dunlapa zrobiła się szara jak popiół.

- Clifforda zagryzł wściekły pies? - spytał.

Slaughter spojrzał na niego uważnie.

- Dobry z ciebie dziennikarz, to ci muszę przyznać. Na razie mamy tylko podejrzenia.

- Zwrócił się do Accuma: - Jesteś pewien, że to pies rozharatał mu gardło, a nie kot?

- Już mówiłem.

- Ładny klops, co? - Slaughter wbił wzrok w podłogę. - Chyba napiję się piwa. Kto jeszcze ma ochotę?

- Dobra myśl - powiedział Dunlap. - Ja bardzo chętnie.

- I ja - dodał Rettig.

- Przyniosę kilka puszek. - Slaughter wstał i wszedł do domu.

37

Chryste, co się ze mną dzieje? - pomyślał Slaughter, którego znów opanowała drżączka, ledwo drzwi się za nim zamknęły. Jestem bliski załamania nerwowego. Rzuca się na mnie kot, a ja robię w gacie ze strachu. Co się stało? Po prostu się go nie spodziewałem. Jesteś słaby i miękki, taka jest prawda. W Potter's Field nie miałeś dotąd nic do roboty. A teraz, ledwo pojawiły się kłopoty, od razu straciłeś głowę.

Nie, to nieprawda. Nie obijałem się. Cały czas sumiennie wykonuję swoje obowiązki.

Sam wiesz, że kłamiesz. Może i w swoim mniemaniu wykonywałeś dobrą robotę, ale odkąd zaczęły się problemy, widzisz chyba, że tylko ślizgasz się po powierzchni. Do cholery, nie wiem, po co zostałem komendantem. Oczywiście, że wiesz. Ta pustka w środku. Sklep spożywczy. Chciałeś pokazać, że się jeszcze do czegoś nadajesz.

Była to prawda.

Sklep spożywczy. Detroit. Sześć lat temu. Nawałnica śnieżna w lutym. O północy Slaughter skończył wreszcie służbę. Wyjątkowo męczącą, bo obrzydliwa pogoda działała ludziom na nerwy i było znacznie więcej wezwań niż zwykle. Cały dzień interweniował w gwałtownych kłótniach domowych i przerywał pijackie bójki w barach. Kiedy wracał do domu, warunki jazdy były tak złe, że musiał wyęźać uwagę, by nie spowodować wypadku. Nagle przypomniał sobie, że żona dzwoniła na posterunek, kiedy go nie było, i zostawiła wiadomość, żeby kupić chleb, mleko, płatki kukurydziane i sok pomarańczowy. Szkoły były zamknięte, więc musiała zostać w domu i opiekować się ich dziewięcioletnimi bliźniakami, więc nie mogła sama zrobić cotygodniowych zakupów.

Omijając zaspę na jezdni, dojrzał przez wirujący śnieg światło w nocnym sklepie. Zarzuciło go przy hamowaniu. Wskoczył z samochodu i wbiegł do sklepu, gdzie ze zdumieniem zobaczył dwóch nastolatków stojących za ladą; jeden z nich pogryzał chrupki ziemniaczane, a drugi ładował sobie do kieszeni pieniądze z kasy. Następną rzeczą, jaką Slaughter ujrzał, były wystające spod lady nogi mężczyzny, zapewne sprzedawcy, oraz kałuża krwi.

Czując zaciskającą się na piersi obręcz, drżącymi rękami zaczął odpinać guziki

płaszcz, żeby wyjąć rewolwer, ale chłopak jedzący chrupki z całym spokojem odłożył torebkę i wziął z lady strzelbę; jego oczy były bez wyrazu, kiedy naciskał spust. Slaughter jęknął, trafiony w brzuch. Potężna siła uniosła go do góry: przeleciał obok półek z towarami i rąbnął plecami w okno wystawowe. Do wtóru tłukącego się szkła, upadł na wznak na pokryty śniegiem chodnik. Poczł paralizujące zimno, ale - co gorsza - jeszcze bardziej paralizującą niemoc. Ze wszystkich sił chciał sięgnąć po rewolwer, lecz ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Śnieg kłuł go w twarz; próbował się poruszyć, ale był bezsilny. Jezu Chryste! Ręce miał ciężkie jak ołów. Z brzucha tryskała mu krew, barwiąc śnieg na czerwono. Boże, o Boże! Ale ból, choć nie do wytrzymania, był niczym w porównaniu z przeraźliwym strachem.

Dwaj chłopcy wyszli niespiesznym krokiem ze sklepu; ze znudzonymi minami stanęli przy Slaughterze i ten, który zabrał z kasy pieniądze, wycelował mu strzelbę prosto w twarz. Nie! - błagał w duchu Slaughter, nie mogąc wykrztusić słowa, nie mogąc złapać tchu. Widział tylko wymierzoną w siebie lufę i zamarł, czekając na strzał, który rozsadzi mu czaszkę.

Naraz, ni w pięć, ni w dziewięć, chłopak jedzący chrupki spytał kolegę, czy jego zdaniem Detroit pokona Toronto w jutrzejszym meczu hokejowym. Nie opuszczając strzelby, kolega stwierdził, że owszem. Wtedy ten pierwszy sprzeciwił się, mówiąc, że Toronto ma większe szansę, co doprowadziło do kłótni na temat lojalności wobec miejscowej drużyny. W gęstym śniegu Slaughter patrzył zmartwiałym z grozy na wymierzoną w siebie broń.

Nagle lufa znikła. Chłopcy tak się zaangażowali w dyskusję, że odeszli, nie zwracając na niego uwagi, nie dbając o to, czy żyje, czy umarł. Kiedy się oddalali, ten niosący strzelbę oparł ją sobie o ramię, lufą do góry, i zanim zniknęli w nawałnicy, Slaughter, tracąc przytomność, widział, jak lufa zamienia się w kij hokejowy.

Przejeżdżający wóz patrolowy znalazł rannego Slaughtera. Spędził tydzień na intensywnej terapii, a potem jeszcze miesiąc w szpitalu, gdzie dochodził do siebie po dwóch ciężkich operacjach. Lekarze powiedzieli mu, że cudem nie umarł z powodu szoku i utraty krwi. Uważali, że uratował go gruby płaszcz, który osłabił siłę strzału. Inaczej śrut wy-patroszyłby mu wnętrzności.

Po wyjściu ze szpitala dostał miesiąc urlopu, a potem czasowe zajęcie przy biurku, żeby nie musiał od razu wracać do niebezpiecznych obowiązków. W tym okresie regularnie odwiedzał policyjnego psychologa. Ale to nie pomogło. Chociaż Slaughter robił, co mógł, żeby ukryć prawdę, zajście w sklepie załamało go nerwowo. W nocy męczyły go koszmary: bał się iść spać z powodu powracającego obrazu spowitych śniegiem nastolatków mierzących do niego ze strzelby. Niespodziewanie na ich nogach pojawiały się łyżwy, na twarzach maski, a strzelba zamieniała się w kij hokejowy. I równie niespodziewanie ten kij roztrzaskiwał mu

głowę. Po kilka razy w nocy Slaughter budził się z krzykiem. Kiedy w końcu zdecydowano się tytułem próby powierzyć mu znów patrolowanie, wzdrygał się za każdym razem, gdy głos z radiostacji wysyłał go wraz z kolegą na miejsce przestępstwa. Stopniowo jego stan się pogarszał, musiał ponownie wziąć urlop, ale - niestety - nie tylko jego nerwy uległy rozsypce.

Rozsypce uległo też jego małżeństwo. Całą winę, choć niezamierzenie, ponosił on, nie potrafił bowiem opanować napadów furii. W końcu żona nie mogła znieść nieustannego napięcia i poprosiła go o rozwód. Rozgoryczony, nie na nią, ale na siebie, wyraził zgodę. Dlaczego nie? - myślał ponuro. Co jej po mnie? Nawet dzieci zaczęły się mnie bać. Nie potrafię poradzić sobie sam z sobą, więc jaki pożytek może mieć ze mnie rodzina? Wkrótce potem, zagubiony i zdesperowany, postanowił zostawić za sobą przeszłość i przenieść się do Wyoming, do na chybił trafił wybranego Potter's Field, gdzie po pewnym czasie znów podjął się roboty policyjnej, bo tylko to umiał. Jednakże koszmar nocny powracał; trzeba było pięciu lat życia w sielskiej dolinie, żeby wreszcie odzyskał spokój.

Ale teraz stał w obliczu innego koszmaru i gnębiło go okropne przecucie, że czeka go coś jeszcze gorszego niż to, co przeżył w Detroit. Tam, w sklepie spożywczym, spotkał zło. Próbował zaleczyć niszczące skutki spotkania, ale bez powodzenia. Choć wychodził ze skóry, żeby odzyskać poprzednią pewność siebie i wiarę we własne siły, nie wiedział, jak się zachowa, kiedy przyjdzie mu się zmagać z czymś, co może się okazać jeszcze większym złem. Bał się, że nie będzie w stanie pokonać strachu.

Stał w swojej małej schludnej kuchni, patrząc na dwa pojemniki z lodem wypełnione puszkami piwa. Miał ochotę sięgnąć po jedną z nich od razu. Ale gdyby wyszedł na werandę z otwartą puszką w dłoni, byłoby to publiczne okazanie słabości; jeśli nawet nie w oczach czekających na zewnątrz mężczyzn, to w swoich własnych. Podniósł pojemnik, minął kanapę w saloniku i pchnął drzwi na werandę.

Nawet na niego nie spojrzeli, koncentrując się na przyniesionym pojemniku i jego zawartości. W swoistym rytuale wszyscy naraz otworzyli puszki i podnieśli je do góry jak do toastu, po czym przyłożyli do ust.

- No więc, co proponujesz? - zwrócił się Slaughter do Accuma; piwo zimnym, kojącym strumieniem wlewało mu się do gardła. Miał nadzieję, że przyniesie mu odrobinę odprężenia.

- Cóż, mimo wszystko chciałbym zobaczyć tego kota. Uprzedź swoich ludzi, żeby mieli oko na zwierzęta, których zachowanie wyda im się dziwne. Powiem w szpitalu, żeby mnie zawiadamiano, jeśli zgłosi się ktoś pogryziony. - Accum spojrział w dół na puszkę. - Niestety, niewiele możemy zrobić, dopóki nie zdarzy się następny wypadek.

- Jeżeli się zdarzy - powiedział Rettig, który milczał od dłuższego czasu.

- Racja. Nie "dopóki" ale "jeżeli"... Zawsze jest jakaś nadzieja. - Slaughter czuł, jak piwo przyjemnym chłodem rozlewa mu się po żołądku.

- Nie czekajcie, aż pies czy kot zaczną toczyć pianę z pyska. Takie objawy występują stosunkowo późno - poradził Accum. - Zwracajcie uwagę, czy zwierzę nie atakuje bez powodu, nie wykazuje irracjonalnej agresywności.

Slaughter nagle coś sobie przypomniał.

- Już to mówiłeś - rzekł.

- Słucham?

- Mówiłeś to samo o zdziczałych psach z gór.

Zapadła cisza. Nie tylko na werandzie, ale i naokoło. Ach tak - uświadomił sobie komendant. Jego podwładni przestali strzelać. Chowając broń, wyłonili się zza stodoły; żartując między sobą i zacierając ręce, podeszli do werandy.

- Ktoś umarł? - spytał jeden z nich.

- Nie. Ale mamy pewien problem.

- Pozbieraliśmy puste łuski.

- Dobrze. Naładujcie je. Mogą się nam przydać.

Przystanęli.

- Muszę zajrzeć do koni. Chodźcie ze mną, dowiecie się wszystkiego po drodze - powiedział Slaughter, schodząc z werandy.

- Właściwie nie mam wiele do powiedzenia - usłyszał głos Rettiga i odwróciwszy się zobaczył, że policjant rozmawia z Dunlapem.

Rettig najwyraźniej dostrzegł jego spojrzenie.

- Jest pan pewien, że mogę z nim mówić o obozie?

- Możesz, możesz; co to ma teraz za znaczenie, do cholery!

Staraj się lepiej trzymać nerwy na wodzy - powiedział sobie Slaughter, odchodząc z grupą policjantów w stronę koni.

Rettig patrzył za odchodzącymi. Chociaż komendant pozwolił mu opowiedzieć dziennikarzowi o morderstwie w obozie, trochę się przed tym wzdragał. Pamiętał, jak starano się zachować wszystko w tajemnicy. Miasto miało dość kłopotów, dość złej prasy; rada miejska spotykała się na tajnych sesjach, żeby omawiać to, co

się wydarzyło. Parsons był wówczas burmistrzem - był nim do dziś - i wszyscy przyznali mu rację, że o morderstwie najlepiej jak najmniej mówić i pisać. Obawiano się, że wrócą hipisi, znów zjadą się dziennikarze, i kłopoty zaczną się od początku. Proces odbył się bez rozgłosu; wieść o nim nie wydobyła się poza dolinę, mieszkańcy miasteczek położonych po drugiej stronie gór wykazali zrozumienie, i wszystko wróciło do normy. Chociaż sprawa podlegała kompetencjom policji stanowej, niezależnej od władz miasta, ta poszła im na rękę, zdając sobie sprawę, że życie całej doliny jest ściśle związane z życiem miasta. Rettigowi, który wówczas pracował w policji stanowej, kazano trzymać gębę na kłódkę. Nie wprost, rzecz jasna, ale wyraźnie dano mu do zrozumienia, że ma milczeć. Od siedmiu lat nie myślał o tej sprawie, ale pamiętał o dawnych zakazach; dlatego trudno mu było się teraz przełamać.

- Naprawdę niewiele mogę dodać - rzekł. - Wie pan właściwie wszystko. Byłem w obozie bardzo krótko, szukałem chłopaka, który uciekł z domu.

- A czerwona Corvette? Widział ją pan? - spytał Dunlop.

- Co takiego?

- Czerwoną Corvette, klasyczny model z pięćdziesiątego dziewiątego, tę, którą jeździł Quiller.

- Słyszałem o tym wozie. Ale go nie widziałem. Tylko mikrobus i małą ciężarówkę, to wszystko. Czerwonej Corvette w obozie nie było. Inaczej bym ją zapamiętał.

- Więc co się z nią stało, do cholery?

Rettig spojrzał na dziennikarza.

- Sprawdziłem i, o ile wiem, Quiller nikomu jej nie sprzedał - wyjaśnił Dunlap. - A na pewno zabrał ją w góry. Więc co z nią zrobił?

- Kto to wie? Mówię panu, co widziałem. Gdybym szukał Corvette, może bym ją znalazł. Ale ja szukałem chłopca.

- I znalazł go pan?

- W końcu tak. Choć zajęło mi to sporo czasu. Przeszukałem obóz i las w pobliżu. Gdybym nie poszedł się odlać, pewnie bym chłopca nie znalazł. Siedział w dole obok latryny, w dole, który wykopali na nowe szambo. Był potwornie brudny, to dobrze pamiętam. I bardzo wystraszony, ale nie powiedział ani słowa o swoich przejściach w obozie. Najbardziej bał się ojca. Kiedy sprowadziłem go na dół, do naszych radiowozów, nie chciał wsiąść razem z nim. Musieliśmy ich przewieźć oddzielnie.

- A co Quiller miał do powiedzenia?

- Słucham?

- Quiller.

Rettig wzruszył ramionami.

- Nikt go nawet nie widział - rzekł.

- Jak to? Szukał pan chłopaka po całym obozie i nawet nie zobaczył pan Quillera?
- Nikt z naszych go nie widział.
- Ciekawe, gdzie się ukrył? I po co?
- Pojęcia nie mam. Może był gdzieś głębiej w lesie. Co za różnica?
- Żadna - przyznał Dunlap, marszcząc brwi. - Ale nie lubię zagadek.

39

- Warren!

Usłyszała jego krzyk i wpadła z salonu do kuchni. Przez osiatkowane drzwi zobaczyła, jak pędzi w stronę domu przez podwórko.

- Warren!

Trzymał się za rękę. Ujrzała krew, wielką ranę, więc pchnęła drzwi i wybiegła mu naprzeciw. Wciąż krzyczał.

- Warren! Powiedz, co się stało!

Tuląc syna do siebie, widziała, jak krew synka barwi jej rękaw na czerwono i czuła, jak łzy kapiące mu po policzkach wsiąkają jej w bluzkę.

Krzyczał cały czas.

- Warren! Proszę cię, przestań! Musisz...

- Szkło!

- Co...

- Szkło!

- Pokaż mi, co za szkło!

Patrzyła na niego, patrzyła na krew. Nie bardzo się orientowała, co robić. Wiedziała tylko, że musi zatamować krwawienie. Ale czym się tak skaleczył? Czy bardzo głęboko?

- Pokaż mi, co za szkło - powtórzyła.

Wskazał dłonią na koniec podwórka. Utkwiła wzrok w blaszanej beczce stojącej po drugiej stronie alejki, przy domu starca. Ujrzała krew na jej krawędzi i pobiegła w tę stronę. Tak uporczywie wpatrywała się w beczkę, że nie zauważyła ciężarówki, zabawki synka, porzuconej przy krzakach; potknęła się o nią i upadła jak długa na wyłożoną kamieniami ścieżkę, zdzierając sobie skórę z obu dłoni. Poderwała się jednak błyskawicznie i, kulejąc, dopadła beczki.

- O Boże, ile krwi!

Pokrywała wszystko w beczce: zardzewiałe puszki, kawałki szkła, zwęglone resztki śmieci, które starzec w niej spalał, dopóki miasto tego nie zabroniło. Warren najwyraźniej wspiął się na stojące przy beczce cegły, żeby wyciągnąć coś ze środka, po czym stracił równowagę i rozharatał sobie rękę o szkło.

Odwróciła się do synka. Ściskając skaleczoną rękę, biegł w stronę drzwi kuchennych; zawołała go, ale znikł już w domu. Rzuciła się za nim, przecięła alejkę, minęła krzaki, wpa-trzona w kłamkę, która rosła jej w oczach; wreszcie chwyciła ją, szarpnęła i znalazła się w kuchni. Dostrzegła krew na posadzce; pobiegła jej śladem przez korytarz, wpadła do łazienki, ale synka tam nie było. Gdzie się podział?! Cofnęła się korytarzem i zajrzała do pokoju dziecięcego. Warren siedział na łóżku i płakał; pościel była czerwona od krwi. Podeszła do niego. Mniejsza o pościel. Chwyciła prześcieradło, owinęła rękę syna i pociągnęła go w stronę łazienki.

- Nie!

- Muszę umyć ranę, zobaczyć, czy jest głęboka.

- Nie dotykaj!

Krzyczał, kiedy odwijiała zakrwawione prześcieradło i podtykała jego rękę pod kran. Odkręciła wodę.

Zaczął wyć.

Woda była za gorąca. Odkręciła drugi kran; poleciała letnia. Kobieta zaczęła wycierać dłoń syna, ale krew lała się tak obficie, że nie mogła dojrzeć rany; wreszcie zdołała zmyć brud i ciemne skrzepy krwi... Boże, co za paskudne skaleczenie! Głęboka, szeroka rana o poszarpanych brzegach. O mój maleńki! Nagle poczuła na sobie jego ciężar i zanim na niego spojrzała, wiedziała, że zemdłał.

40

Poczuł coś dziwnego. Nie chciał tu być, próbował z powrotem wślizgnąć się w mrok, ale zapach był coraz silniejszy; zamrugał, wzdrygając się przed jaskrawym światłem, które zalało go ze wszystkich stron. Po chwili ujrzał pochylonego nad nim obcego mężczyznę w białym fartuchu. Wtedy rozplakał się.

- Warren, już wszystko w porządku. Głos matki; obrócił się w jej stronę. Zobaczył ją.

Obok niej stał ojciec. Mieli takie miny, jakby się gniewali.

- Mamusiu, ja...

- Już wszystko w porządku, Warren. Nie bój się, kochany. Pan doktor się tobą zajął.

Przeniósł wzrok na obcego mężczyznę; rękaw białego fartucha znaczyły cętki krwi. Mężczyzna trzymał w dłoni otwartą plastikową fiolkę; to z niej dobywał się dziwny zapach. Warren nie przestawał płakać. Mężczyzna był młodszy i szczuplejszy niż lekarz, który go zwykle badał, a piegi na jego twarzy wyglądały tak samo jak cętki krwi na rękawie. Chłopiec nie mógł powstrzymać łez.

- Ciii, wszystko będzie dobrze, syneczku. Jesteśmy u pana doktora. Nic ci nie będzie.

Warren powoli zdał sobie sprawę, że leży na stole, przykryty białym prześcieradłem. W ręce nie miał czucia. Kiedy ją podniósł, zobaczył, że wygląda jak biała maczuga, zabandażowana tak dokładnie, że nie tylko nie mógł poruszyć palcami, ale nawet ich nie widział.

- Wciąż jest w szoku. Trochę potrwa, zanim dojdzie do siebie - dobiegł go głos lekarza.

Ktoś otarł mu oczy. Podniósł wzrok. Matka. Uśmiechała się. Więc jednak nie była na niego zła. Ciekawe, jak się tu znalazł?

- Warren, możesz nam opowiedzieć, jak to się stało?

Odwrócił głowę w stronę lekarza, usiłując sobie przypomnieć, co wcześniej obmyślił.

- Szkło - odparł wolno.

- W beczce?

- Tak, skaleczyłem się o nie.

Ojciec zacisnął pięść.

- Podam tego starucha do sądu! - zawołał.

- Harry. Proszę cię, uspokój się - powiedziała matka. Udało się! Słuchał dalej ich głosów.

- Wyjaśnię ci, Warren, co zrobiłem - rzekł lekarz. - Zszyłem ci rękę. Założyłem szwy. Nie wolno ci zdejmować bandaża, rozumiesz?

- Rozumiem. Takie szwy, jak mamusia, kiedy szyje sukienkę?

Uśmiechnęli się nieznacznie.

- Bardzo podobne. Rana była zbyt głęboka, żeby mogła zagoić się sama. Więc wzięłem kawałek takiego sznurka, tyle że to nie jest zwykły sznurek, nazywa się katgut, i zszyłem brzegi rany.

- I już zawsze będę miał ten sznurek?

- Nie. Mniej więcej za tydzień zdejmę szwy i ręka będzie jak nowa. Pozostanie ci

blizna - lekarz spojrział na rodziców - ale ponieważ jeszcze przez wiele lat będziesz rósł, z czasem prawie całkiem zniknie. Musisz jednak pamiętać, że nie wolno ci nadwerężyć ręki. Gdybyś podniósł coś ciężkiego, albo zwinął dłoń w pięść, szwy mogłyby się rozejść. Więc bądź bardzo ostrożny. Jak będziesz chciał coś podnieść, poproś mamusię albo tatusia, żeby zrobili to za ciebie.

- Czy będą za mnie słać łóżko?

- Pewnie - powiedział ojciec. - I nawet nie odejmę ci za to nic z kieszonkowego.

Warren uśmiechnął się. Tak, udało się; począł niezdarnie wycierać łzy zabandażowaną ręką, jednocześnie usiłując dźwignąć się ze stołu.

- Zaczekaj, pomogę ci.

Matka. Po chwili siedział ze spuszczone nogami.

- Wszystko powinno być dobrze - powiedział lekarz. - Mogą go państwo zabrać do domu. Kiedy znieczulenie miejscowe przestanie działać, proszę zacząć mu podawać te pastylki. I zadzwonić do mnie, gdyby coś było nie tak. Ale myślę, że wszystko będzie w porządku. W przyszły poniedziałek proszę go przywieźć na zdjęcie szwów.

- A co z bandażem?

- Trzeba zmieniać co wieczór. Na początku, należy bandaż namoczyć, i broń Boże nie odrywać na siłę, bo można uszkodzić szwy.

- Czy mamy czymś smarować ranę?

- Wystarczy maść opatrunkowa. Zrobiłem chłopcu zastrzyk przeciwtężcowy, więc nie powinno być żadnych komplikacji.

- Świetnie. Dziękujemy panu doktorowi.

- Bardzo dziękujemy. - Głos ojca.

- Dobrze, że przywieźli go państwo tak szybko. Mocno krwawił.

Coś jeszcze mówili, ale Warren nie słuchał. Rozglądał się po gabinecie, patrzył na metalowe szafki i różne lśniące przyrządy, i chociaż nie chciał się do tego przyznać, kręciło mu się w głowie. O mało nie spadł ze stołu.

- Ostrożnie, młodzieńcze. Chyba czas zawieźć cię do domu.

Mimo że ręka zaczynała go piec i swędzieć, czuł się szczęśliwy. Udało się. Podziękował lekarzowi, tak jak kazała matka, nawet podał mu swoją zdrową dłoń do uściśnięcia, po czym wyszedł z rodzicami z gabinetu. Dopiero gdy znalazł się w nie znanym sobie holu, przekonał się, że nie był w tym gabinecie lekarskim, do którego zwykle chodził na badania. Zobaczył pielęgniarki i starca na wózku. Zrozumiał, że jest w szpitalu, i zdziwił się, że rodzice go tu przywieźli, bo choć rana była głęboka, nie sądził, że to coś poważnego.

Pielęgniarki uśmiechnęły się do niego. Potem z rodzicami przeszedł przez drzwi, które same otworzyły się z sykiem i skierowali się do samochodu.

Ojciec trzymał go za zdrową rękę. Fajnie, że nie był zły, mimo że matka musiała zadzwonić do niego do pracy, żeby po nich przyjechał. Wszystko udało się nawet lepiej, niż Warren oczekiwał. Przez całą noc obmyślał, jak by tu ukryć fakt, że został ugryziony przez szopa. Ręka mu spuchła, rana wyglądała paskudnie. Aż skręcał się z bólu. Kiedy matka przysłała go obudzić na śniadanie, naciągnął kołdrę na głowę, że niby jeszcze chce pospać. Ale wiedział, że matka niedługo znów zajrzy do pokoju. Więc leżał i nasłuchiwał; kiedy zorientował się, że przeszła do salonu, wstał i jakoś zdołał się ubrać. Tak go bolało, że nogi mu dygotały, a raz się potknął i upaskudził rękaw krwią. Ale miał już obmyślony plan; wymknął się kuchennymi drzwiami i pobiegł do beczki. Najgorsze było, kiedy przechylił się nad nią, żeby nakapać trochę krwi na kawałki szkła. Oderwał zakrwawioną szmatę i popatrzył na spuchniętą, rwącą rękę oraz ohydny, poszarpaną ranę pokrytą brudem i zaschlą krwią. Wzdrygnął się, po czym przytknął dłoń do obtłuczonej szyjki butelki. Tylko tyle zamierzał zrobić, ale stracił równowagę i nagle szkło wbiło mu się głęboko w ranę. Jeszcze nigdy nie czuł tak potwornego bólu.

Nie mógł przestać krzyczeć.

41

- Skąd się tu wziąłeś?

- Przyjechałem samochodem.

Dunlap parsknął śmiechem. Jechali radiowozem Slaughtera w stronę miasta.

- Nie, pytam poważnie - rzekł.

- Nie chcę o tym mówić.

- Odpowiedź w moim stylu. - Dunlap przechwycił spojrzenie Slaughtera.

- Ręce ci drżą.

- Przyzwyczailem się.

- Potrzebujesz sobie golnąć jednego?

- Dwa.

- Powinieneś wozić ze sobą butelkę.

- Wożę. Zostawiłem w hotelu. Chciałem być dzielny.

- Tak z tobą źle?

- Jeszcze gorzej. Nie żartowałem.

- Co to za sen, który cię męczy?

- Najpierw mi powiedz, jak się tu znalazłeś.

Slaughter popatrzył na dziennikarza. Przez moment milczał. Jego oczy miały dziwny wyraz.

- Spotkała mnie przykra przygoda - odezwał się wreszcie. - Po niej wysiadły mi nerwy.

Dunlap wiedział, jak trudno było jego rozmówcy zdobyć się na to wyznanie.

- Liczę na twoją dyskrecję - dodał komendant.

- Tak, rozumiem.

- Nie chcę się wdawać w szczegóły, ale ta przygoda mnie odmieniła. Żona się ze mną rozwiodła.

- Zdradzałeś ją?

- Nie, nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Po prostu miała cię dość?

- Właśnie.

- Moja pewnie też wkrótce wystąpi o rozwód.

- Z tego samego powodu?

- Tak.

- Bo pijesz?

- Między innymi.

- Potem odszedłem z policji. Pewnego wieczoru usiadłem przy kuchennym stole i zapytałem sam siebie, gdzie chciałbym zamieszkać.

- I wybrałeś Potter's Field?!

- Poczekał. Rozłożyłem mapę. Od dawna marzyły mi się góry. I konie biegające na wolności. Nigdy nie byłem w górach, nigdy nie widziałem stada koni. Ale w moich oczach symbolizowały wszystko to, czego pragnąłem. Najpierw sprawdziłem, które stany są górzyste. A potem zacząłem się zastanawiać, w którym jest najwięcej koni.

- I uznałeś, że w Wyoming?

- Tak. A potem zamknąłem oczy i położyłem palec na mapie.

- I trafiłeś w Potter's Field?

- Są ludzie, którzy wybierają sobie miejsce w jeszcze głębszy sposób.

- A czy ja co mówię?

- Wiem. Wyjechałem nazajutrz i zakochałem się w tej miejscinie. Na początku miałem

niewielu problemów. Usiłowałem hodować konie i gówno mi z tego wyszło. Ledwo się obejrzałem, a znów byłem gliną. Ale tutaj mogę sam kierować własnym losem, żyć jak chcę. Sprawy są proste, nie muszę wchodzić w żadne układy. Jestem wolny. No, a co z tobą?

- Ech, chyba byłem zbyt ambitny. Chciałem wciąż udowodniać, jaki jestem dobry. I nie zdołałem sprostać własnym oczekiwaniom.

- A może nie próbowałeś, bo wolałeś chlać?

Dunlap wzruszył ramionami.

- Jajko czy kura, bez różnicy. Wylądowałem tutaj. Wszystko jedno, jak to się stało, ale ostatecznie wylądowałem tu, w tej dziurze. Tylko się nie obraż, że tak określam Potter's Field.

- Może powinieneś się poddać? I też osiąść w tej dziurze?

Dunlap roześmiał się.

- Nie, mówię poważnie - rzekł Slaughter. - Są o wiele gorsze miejsca. Czasem człowiek trafia akurat tam, gdzie powinien żyć.

- Albo w takie miejsce, na jakie zasługuje. Nie mogę się nadziwić, Nathan, że spotkaliśmy się właśnie tu. Cieszę się, że znów cię widzę, ale nie podoba mi się to, co się ze mną dzieje.

42

Powąchało but. Nagle cofnęło się i przysiadło na zadku, bo duszący skurcz chwycił je za gardło. Kiedy skurcz minął, ponownie wbiło oczy w but. Czekalo; miało ochotę jeszcze raz pochylić się nad butem, ale rozmyśliło się i podbiegło do sterty odzieży w rogu. Niebieska, sztywna, choć zabłocona i wilgotna, podobnie jak but. Znów poczuło ten sam bolesny skurcz gardła; rozgniewane, uderzyło stos odzieży i warknęło.

Nie opodal leżał inny but, ciemny, wytarty z wierzchu tak, że znaczyły go jasne plamy; szedł od niego zapach ludzkiego potu i woń skóry zwierzęcia, z której był wykonany. Powąchało but z bliska, po czym złapało skórę zębami i potrząsnęło głową, wymachując butem na boki. Ale zawadziło głową o wiszące wyżej ubrania, więc, rozdrażnione, zaczęło je szarpać. Zaczepiło o kieszeń, pociągnęło mocniej i kilka sztuk odzieży spadło mu na głowę. Przeżalone, nic nie widząc, zaczęło warczeć i szamotać się, żeby wydostać się spod szmat; wreszcie zrzuciło je z siebie. Pociągnęło nosem. Poczuło nieprzyjemną woń mydła i środków chemicznych; warknęło głośniejszym głosem, wgryzło się w materiał i potrząsnęło głową. Materiał rozdarł

się, gdy wtem usłyszało z korytarza coraz bliższe odgłosy. Obróciło się i utkwilo wzrok w drzwiach. Były wciąż zamknięte. Dźwięki umilkły. Znow zaczęło szarpać materiał i warczeć.

Rozległ się chrobot. Spojrzało na drzwi i zobaczyło, że klamka się porusza. Naprężyło się, wciąż trzymając w zębach materiał. Klamka nadal się poruszała. Potem drzwi się otworzyły i do środka weszła kobieta. Puszczając materiał, wyszczerzyło zęby i warknęło na nią. Wciągnęła raptownie powietrze.

- Warren?

Skoczyło jej do gardła. Przerazona, cofnęła się, uderzając łokciem w drzwi. Zatrzasnęły się, blokując jej wyjście. Przywarła plecami do futryny, starając się nacisnąć ręką klamkę, kiedy znow rzuciło się na nią. Uskoczyła w bok, w stronę komody, żeby uniknąć ataku.

- Warren!

Ale tylko warknęło, obracając do niej głowę.

- Warren!

Zaczęła kopać, ciskać w nie zdjęcia stojące w ramach na komodzie, wreszcie drąc się wniebogłosy, wskoczyła na łóżko. Ale zanim zdążyła pewnie stanąć, odbiło się od podłogi i uderzyło w nią całym ciałem; straciła równowagę i spadła, tak mocno waląc plecami o deski podłogi, że na moment zaparło jej dech. Było na niej, zbliżało zęby do jej krtani. Wrzasnęła i zaczęła bronić się rękami. Poczulo ciosy na głowie, szyi. A potem poczuło na wargach słony smak krwi i żółć podeszła mu do gardła. Otarło usta, żeby pozbyć się słonego smaku, po czym rozgniewane kłapnęło zębami tuż przy twarzy leżącej. Ale krótka przerwa w ataku wystarczyła jej, by chwycić się stołu przy łóżku i podnieść z podłogi. Zamachnęła się nogą. Ujrzało zbliżający się but; w porę odsunęło w bok głowę, po czym wbiło zęby w łydkę kobiety. Wrzasnęła; wierzgała nogą, próbując ją oswobodzić, ale trzymało mocno, warcząc przez zaciśnięte zęby. Nagle poczuło w ustach ten sam słony smak co wcześniej. I znow żółć podeszła mu do gardła, więc puściło nogę wrzeszczącej kobiety. A potem poczuło silne uderzenie w ramię i zobaczyło przed sobą turlającą się po podłodze lampę z kloszem. Zaskowyczało, oszołomione bólem. Kobieta nie czekała, co będzie dalej, tylko rzuciła się do drzwi. Skoczyło za nią, warcząc, ale zdążyła wypaść na korytarz i zatrzasnąć drzwi za sobą.

Chwyciło klamkę i zaczęło nią szarpać. Waliło w drzwi całym ciałem. Wiedziało, że kobieta jest po drugiej stronie; słyszało jej krzyk. Klamka nie chciała ustąpić. Jak przez mgłę zdało sobie sprawę, że kobieta trzyma klamkę i ciągnie drzwi do siebie, więc nie ma jak jej dopaść. Co więcej, poczuło się nagle zagrożone. Bało się, że wkrótce nadejdą inni i je złapią. Musi uciec. Odwróciło się od drzwi i od razu zobaczyło drogę ucieczki: otwarte okno z

drucianą siatką, przez które można było zeskoczyć na werandę i znaleźć się na wolności. Wzięło rozpęd i z całej siły uderzyło głową w siatkę. Skaleczyło sobie policzki o cienkie druty, ale siatka ustąpiła; wyleciało na zewnątrz i spadało w dół, a weranda unosiła mu się na spotkanie... Ciemność. Ból. Potrząsnęło głową, znów czując w ustach słony smak krwi. Ale odzyskało wzrok i plując, charcząc, żeby pozbyć się nieprzyjemnego smaku i opanować podchodzącą do gardła żółć, przeskoczyło poręcz i ruszyło biegiem w kierunku krzaków.

Za sobą usłyszało wołanie:

- Warren!

43

Slaughter przejął wiadomość, kiedy byli na przedmieściach. Sięgnął szybko po mikrofon.

- Potwierdzam odbiór, Marge. - Włączył syrenę i migacz na dachu, po czym zerknął na Dunlapa. - Z wypiciem kieliszka będziesz musiał zaczekać.

Wcisnął gaz do dechy i pomknęli wzdłuż domów, a potem skręcili w jedną z bocznych ulic. Ludzie przystawali i gapili się, zaintrygowani wyciem syreny policyjnej. Slaughter koncentrował się na drodze; raz skręcił dosłownie w ostatniej chwili, żeby objechać chłopczyka w wózku. Cholera, jeśli nie będziesz uważał, to pędząc do jednego dzieciaka, zabijesz drugiego. Zwolnij. Jeśli będziesz tak gnał, możesz w ogóle nie dojechać.

Ale nie mógł oderwać stopy od pedału gazu. Ręce mu drżały z napięcia, kiedy usiłował wypatrzeć, czy nikt nie schodzi na jezdnię z krawężnika albo nie wyłania się pomiędzy samochodów stojących wzdłuż ulicy. Przemknął obok znaku stopu tuż przed maską samochodu jadącego z prawej, po czym skręcił w najbliższą przecznicę i już z oddali dojrzał tłum na chodniku oraz gęsto zaparkowane pojazdy; gromadka kobiet na trawniku otaczała wysoką zapłakaną kobietę.

Gapie zauważyli radiowóz. Slaughter wyłączył syrenę i migacz. Musiał zwolnić, bo przez jezdnię przechodzili kolejni ludzie, kierując się w stronę zbiegowiska. Zatrzymał wóz przed domem, równoległe do zaparkowanego wzdłuż krawężnika samochodu, zgasił silnik i sięgnął po kapelusz. Z naprzeciwka jechała półciężarówka firmy hydraulicznej. Kierowca hamował. Slaughter wysiadł i ruszył pędem przez trawnik. Gdy zerknął przez ramię na półciężarówkę, zobaczył, że z szoferki wyskakuje wysoki mężczyzna i biegnie w tę samą

stronę; domyślił się, że to mąż zapłakanej kobiety. Dotarli na miejsce równocześnie i zaczęli przepychać się do płaczącej. Slaughter, choć nie oglądał się za siebie, czuł, że Dunlap jest tuż za nim.

Kobieta padła w ramiona męża.

- Peg, co się stało?

- Rzucił się na mnie.

- Kto? - spytał Slaughter, podchodząc do niej.

- Warren - odpowiedziała, łkając i z trudem łapiąc oddech.

Przynajmniej znał imię winnego.

- Co się pani stało w nogę?

Wszyscy spojrzeli na broczącą krwią ranę.

- Ugryzł mnie.

- Kto?! - zapytał mąż.

- Warren! Nie mogłam się od niego uwolnić!

- Gdzie on jest teraz? - zapytał Slaughter.

- Nie wiem. Czołgał się jak jakieś zwierzę!

Slaughter rzucił się w stronę domu. Był to piętrowy budynek z werandą ciągnącą się wzdłuż dwóch ścian: frontowej i bocznej. Komendant domyślił się, że Warren to ten dzieciak, o którym powiadomiła go Marge. Lepiej zajrzeć do środka przez okno - uznał. Jeśli po prostu wejdzie, może zostać niespodziewanie zaatakowany. Minął rosnącą przed domem osikę i wbiegł po schodkach na werandę. Deski skrzypiały pod nim, kiedy zbliżał się do okna salonu, a potem - ponieważ tu nic nie zauważył - kiedy biegł do okien za rogiem. Przy pierwszym nawet nie zwolnił, świadom, że jest to jedno z kilku okien salonu, ale drugie natychmiast zwróciło jego uwagę. Zatrzymał się i wbił wzrok w poszarpaną siatkę. Wyciągnął z kabury rewolwer - broń palna przeciwko kilkuletniemu chłopcu? - i przetykając ślinę, zajrzał do środka. Zobaczył pokój dziecięcy; wszystko w nim było w nieładzie i czerwone od krwi, która znaczyła też deski werandy, poręcz, pobliskie krzaki. Popatrzył w stronę alejki za domem, po czym ruszył z powrotem do frontu.

Kobieta wciąż szlochała w objęciach męża. Dookoła nich stali gapie, przyglądając im się i rozmawiając między sobą.

- Uciekł przez okno swojego pokoju? - zapytał Slaughter.

Nie mogła złapać tchu, więc tylko skinęła głową.

- Pobiegł tą alejką za domem?

- Nie wiem. Usłyszałam hałas, a kiedy weszłam do pokoju, jego już nie było.

Dlaczego on to zrobił?

- Jeszcze nie wiem.

- Dlaczego mnie ugryzł? - Znow zaczęła szlochać niepoohamowanie.

Slaughter szybko podjął decyzję i pognął do radiowozu.

- Marge, mamy problem. Chłopiec przeszedł załamanie nerwowe czy coś w tym rodzaju. Rzucił się na matkę, a potem uciekł z domu. Chcę, żeby szukali go wszyscy.

- Jest zbyt wiele innych wezwań!

- Nic mnie to nie obchodzi. Ściągnij wszystkie radiowozy. Niech przyjadą pod ten adres, który mi podałaś. I jeszcze jedno. Koniecznie zawiadom Accuma.

- Ktoś umarł?

- Nie pytaj, tylko go sprowadź. Nie mam czasu na rozmowy. Połączę się z tobą za kwadrans.

Odwiesił mikrofon. Nie spytał o to matki; z góry wiedział, co mu odpowie, jednakże musiał się upewnić. Wsiadł z radiowozu, spojrzał na stojącego obok Dunlapa, po czym wrócił biegiem do kobiety.

Wciąż kurczowo trzymała się męża.

- Pani Standish. - Przeczytał jej nazwisko na skrzynce na listy. - Pani Standish, proszę mi wybaczyć, wiem, jakie to dla pani trudne, ale muszę zadać pani kilka pytań.

Powoli skierowała na niego wzrok.

Wiedział, że swoim pytaniem ujawni całą sprawę, ale musiał je zadać. Zerknął na zgromadzonych ludzi i odwrócił się do nich plecami.

- Czy pani synek nie skarżył się, że jakieś zwierzę coś mu zrobiło? Że ugryzł go pies albo kot? Nie wspominał o czymś takim?

Popatrzyli na niego oboje.

- Nie rozumiem - powiedziała kobieta.

- Nic go nigdy nie ugryzło - rzekł mąż. - Mówiliśmy mu, że nie wolno mu nawet podchodzić do obcych zwierząt.

- Skaleczył się - oznajmiła kobieta.

Slaughter spojrzał na nią.

- Co mu się stało? - zapytała.

- Nie wiem - odparł. - Proszę mi dokładnie opowiedzieć o tym skaleczeniu.

- Rozciął sobie rękę o kawałek szkła, który leży w tej blaszanej beczce po drugiej stronie alejki - wyjaśnił mąż.

Zaskoczyło to Slaughtera. Był święcie przekonany, że chłopca coś ugryzło.

- Może kilka tygodni temu? Niech państwo sobie przypomną. Czy nic mu się nie stało? Jakiś pies...

- Dziś rano.

- Co?

- Skaleczył się dziś rano. Dlaczego pan tak dopytuje się o psa?

Slaughter nie miał serca powiedzieć im prawdy.

- Były kłopoty ze zdziczałymi psami z gór. Nic ważnego. Potrzebne mi zdjęcie państwa synka. Żeby moi ludzie wiedzieli, jak wygląda.

Miał nadzieję, że udało mu się zmienić temat; popatrzeli na niego i wolno skinęli głowami. Ruszyli w trójkę do domu - oni przodem, on tuż za nimi. Nic już nie rozumiał. Jeśli chłopca nic nie ugryzło, dlaczego zachowywał się tak dziwnie? Może to, co powiedział Marge, było prawdą, może dzieciak rzeczywiście załamał się nerwowo? Może rodzice znęcali się nad nim? Może matka chciała go zbić i dlatego rzucił się na nią, a potem uciekł z domu? No cóż, wszystko się wyjaśni, kiedy go znajdą. Rodzice weszli do środka, ale Slaughter zatrzymał się na werandzie i popatrzył na słońce, które dotarło już niemal do szczytów zachodnich gór. Wkrótce zapadnie mrok; jeśli do tego czasu nie odszukają małego, to tym bardziej nie znajdą go po ciemku.

Zajrzał do salonu. Panowała w nim czystość i porządek. Przecież kobieta, która utrzymuje dom w tak idealnym stanie, to nie jakaś pijaczka znęcająca się nad dziećmi! Ale już raz dał się zwieść pozorom w podobnej sprawie w Detroit i teraz wiedział, że wygląd domu o niczym nie świadczy. Pragnął, by jego ludzie zjawili się jak najprędzej, żeby można było przystąpić do poszukiwań.

Ojciec przyniósł zdjęcie. Niebieskooki, uśmiechnięty blondynek w niedzielnym ubranku. Tak bardzo przypominał Slaughterowi syna, kiedy był w tym samym wieku, że patrząc na zdjęcie, poczuł klucie w sercu. Boże, ale ten dzieciak musi się teraz bać, kryjąc się gdzieś w krzakach - pomyślał. Nie mógł jednak nic po sobie pokazać w obecności ojca chłopca.

- Dziękuję - rzekł tylko. - Zwrócimy je.

- Żona jest zbyt roztrzęsiona, żeby dłużej z panem rozmawiać. Niech pan znajdzie Warrena, dobrze?

Slaughter usłyszał syreny i kiedy się odwrócił, zobaczył dwa zatrzymujące się radiowozy.

- Znajdziemy go, obiecuję. - Umilkł. - Uważam, że pańską żonę powinien zbadać lekarz.

- Wróci do siebie, musi tylko chwilkę odpocząć.

- Chodzi mi o jej nogę. Może wdać się zakażenie.

- Sam zdezynfekuję ranę.

- Niech pan lepiej zawiezie żonę do lekarza - poradził Slaughter. - Dowiem się później, co powiedział. Teraz muszę ruszać.

Kiedy schodził z werandy, trzymając w dłoni zdjęcie, podeszli do niego podwładni.

- Tak wygląda chłopiec, którego musimy znaleźć - oświadczył. - Nazywa się Warren. Na pewno jest wystraszony. Bądźcie jednak ostrożni. To tylko dzieciak, ale rzucił się na matkę; nie chcę, żeby któremuś z was coś się stało.

Popatrzyli na niego, marszcząc czoła, a potem spojrzeli na zdjęcie.

- Wy dwaj sprawdźcie ulice na prawo od domu, wy dwaj na lewo. Ja zbadam alejkę za domem. Pamiętajcie, nie lekceważcie go tylko dlatego, że to dzieciak. Nie wiem, co się dzieje, ale ta sprawa bardzo mi się nie podoba. - Po czym zwrócił się do ludzi na trawniku przed domem: - Wszystko w porządku, proszę państwa. Zajmiemy się tym. Proszę wracać do domów.

Nadal stali bez słowa, wpatrując się w niego.

- Tylko będą nam państwo przeszkadzać.

Ruszył wolno w ich stronę, pokazując rękami, że mają się rozejść; powoli zaczęli odchodzić.

- Wkrótce się państwo dowiedzą o wszystkim. Ale na razie proszę wracać do siebie.

Widząc, że ludzie opuszczają trawnik, skierował wzrok na podwładnych. Właśnie wsiadali do radiowozów. Po chwili tylko on i Dunlap zostali przed domem, nikogo więcej nie było.

- Nie mam czasu odwieźć cię do hotelu.

- Chętnie pojechałbym z tobą.

Slaughter skinął głową.

- Jeśli nic go nie ugryzło, to... - Dziennikarz urwał.

- Właśnie. Cholera wie, co się mogło stać.

Obaj równocześnie zatrzasnęli drzwi i Slaughter wrzucił bieg.

44

Accum usłyszał w dole jakiś hałas i ujrzał wyłaniającego się z rowu psa; zwierzę

zerknęło na niego lękliwie, kładąc po sobie uszy i podkulając ogon, po czym pobiegło przed siebie. Lekarz zobaczył, że psu zwisa z pyska krwawy ochłap. Po powrocie do szpitala sprawdzi w podręczniku, czy się nie myli, ale o ile pamiętał, wścieklizna mogła się przenosić także poprzez mięso zakażonych zwierząt. Nie miał przy sobie broni, nawet nie umiał się z nią obchodzić, ale gdyby był tu teraz komendant, kazałby mu zastrzelić psa.

Należało go albo zastrzelić, albo złapać. Gdyby jednak próbowali go złapać, mógłby im się wymknąć. Lepiej zastrzelić. Bez względu na to, czyj to pies. I bez względu na to, że wolałby przeprowadzać badania na żywym. Bo pies stanowił zagrożenie. Teraz biegł w stronę zagród dla bydła; jeśli był zarażony wścieklizną, mógł wyrządzić straszliwe szkody. Nie, żeby zaczął atakować bydło, za wcześnie na tego rodzaju objawy, ale mógł pozostawić zarazki, choćby pijąc wodę z koryta, a to wystarczyło, żeby krowy też zapadły na wściekliznę. Accum obserwował psa, dopóki nie znikł w krzakach przy jednej z zagród; widział, jak bydło porusza się niespokojnie, zbite w brunatną gromadę. Potem oblizał spierzchnięte wargi i spojrzał na czerwcowe słońce. Dochodziło południe. Czuł pragnienie i był znużony upałem. Marynarkę zdjął w samochodzie; zanim wysiadł, rozluźnił również krawat i rozpiął guzik pod szyją. Teraz podwinął rękawy, po czym zszedł do rowu. Każdy dźwięk wydawał mu się niebywale głośny, choćby skrzypienie suchego piachu pod półbutami - nigdy nie przekonał się do kowbojskich butów, w jakich gustowała większość tutejszych mężczyzn. Garnitury też nosił te same, co na wschodzie. Gdy tylko dojrzał szczątki kota, od razu się zorientował, że przeprowadzanie jakichkolwiek badań będzie czystą stratą czasu: z mózgu nie pozostało prawie nic. Resztki, które udało mu się odnaleźć, były pokryte jajeczkami much i toczyła je zgnilizna. Kot był czarny i duży - dorodny samiec. Nic dziwnego, że Slaughter nie dostrzegł go wcześniej, że zaskoczony natychmiast wypalił. Lekarz żałował jednak, że komendant zabił zwierzę, i to akurat strzałem w głowę. Cóż, teraz nie było na to rady. Ale z kotem coś trzeba zrobić - pomyślał. Trup mógł być zakażony, więc należało go zabrać i zniszczyć.

Wziął się do roboty. Włożył fartuch, gumowe rękawiczki, maskę, i używając ciężkich kleszczy, zaczął zbierać rozrzucone kawałki czaszki i wkładać je do szczelnej plastikowej torby. Zajęło mu to pół godziny. Na końcu wsunął do torby zewłok kota, po czym wrzucił do niej kleszcze. Ale na piachu wciąż widniały ślady zaschłej krwi, a w niej także mogły tkwić zarazki. Accum wrócił do samochodu po łopatę i torbę ługu, które przywiózł w bagażniku. Kwadrans później było po wszystkim: piach zebrany do plastikowego worka, dno rowu wysypane ługiem. Lekarz zawiązał worek, włożył go do drugiego, który też zawiązał, a następnie umieścił w bagażniku. Do trzeciego worka schował torbę ługu, łopatę, fartuch, maskę i rękawiczki, które zdjął bardzo ostrożnie. Zamknął bagażnik, zadowolony z dobrze

spełnionego obowiązku.

Nagle uświadomił sobie, że wokół panuje martwa cisza. Nie słyszał wiatru, warkotu samochodów, odgłosu rozmów; od strony zagród dla bydła też nie dobiegały żadne dźwięki. W końcu jest sobota, to normalne, że panuje spokój - pomyślał. Miał jednak wrażenie, że ktoś go obserwuje. Nic dziwnego. Fartuch, gumowe rękawiczki i maska na twarzy sprawiały, że wyglądał jak przybysz z innej planety. Pewnie wszyscy pochowali się po domach i spoglądają przez żaluzje. Ale kiedy się rozejrzył, w żadnym oknie nie dostrzegł najmniejszego ruchu. Czuł się coraz bardziej nieswojo; czym prędzej wsiadł do samochodu i odjechał.

Skierował się w stronę szpitala. Zerkając w lusterko, zobaczył dwóch roześmianych mężczyzn opuszczających bar "Ostatni przystanek". Potem ujrzał kobietę, która wyszła z domu i wsiadła do samochodu. Gdy znów zerknął w lusterko, dostrzegł w oddali kilku ludzi przy zagrodach dla bydła. Zdawało mu się, że świat zaczął normalnie funkcjonować w chwili, kiedy on wyszedł z rowu. Masz zbyt bujną wyobraźnię - powiedział do siebie. Skup się lepiej na rzeczach, na których się znasz.

Choćby takich jak ta sprawa, która fascynowała go coraz bardziej. Jeśli pominąć kwestię zagrożenia i paniki, która lada chwila mogła wybuchnąć w mieście, dla naukowca stanowiła ona niezwykle interesujące wyzwanie. Czuł się tak, jak niegdyś w Filadelfii; miał przed sobą zagadkę, którą musiał rozwiązać. Tajemnicę, do której należało znaleźć klucz. Przez okno wozu zauważył dorodnego kota, przęcającego się na balustradzie werandy. Potem minął chłopca prowadzącego na smyczy cocker-spaniela. Wystawił łokieć przez otwarte okno, czując, jak podmuch wiatru porusza mu włosy na ręce. Zdziwiło go, że czuje się tak wspaniale. Dziesięć przecznic dalej skręcił na podjazd szpitalny i skierował się w stronę parkingu na tyłach budynku. Pomachał do znajomego pediatry, który właśnie wyjeżdżał, po czym zatrzymał wóz na zarezerwowanym dla siebie miejscu, wysiadł i już miał otworzyć bagażnik, kiedy coś sprawiło, że się zawahał.

Przyzwyczał się tego dźwięku tak bardzo, że dawno przestał zwracać na niego uwagę. Aż do wczorajszego wieczora, bo kiedy rozmawiał ze Slaughterem u siebie w gabinecie, dźwięk wyraźnie zaintrygował komendanta. Oczywiście, ponieważ wiązało się to ściśle z tematem ich rozmowy, pewnie sam również zwróciłby uwagę, choć przyzwyczał się do dźwięku do tego stopnia, że przestał go słyszeć. Ale teraz, mimo że był tak zaprzątnięty swoimi myślami, dźwięk wyrwał go z zadumy, bo brzmiał jakoś inaczej niż zwykle.

Lekarz zatrzymał się z ręką wyciągniętą do bagażnika i obejrzał się. Nawet kiedy odwrócił się całym ciałem w stronę drzew rosnących na skraju parkingu, jego ręka pozostała wyciągnięta i dopiero nagły skurcz mu to uświadomił; wtedy opuścił ją wolno wzdłuż ciała.

Czuł opór mięśni, kiedy - mrużąc oczy - szedł w kierunku drzew. Pracuję tu tyle lat, a jeszcze nigdy tam nie byłem, nigdy nie interesowało mnie, co się za nimi znajduje - pomyślał. Wiedział, że między drzewami biegnie strumień - teraz było to suche koryto, ale wiosną topniejące w górach śniegi zamieniały je w rwący potok. Ponieważ nigdy nie było wiadomo, kiedy to nastąpi, na wszelki wypadek Accum wołał się do strumienia nie zbliżać i oglądał go jedynie z parkingu. Aż do wiosny nic nie ograniczało widoczności, gdyż rosły tu tylko drzewa liściaste. Jednakże teraz, w czerwcu, skupisko drzew przypominało dżunglę: ich gałęzie pokrywały grube, mięsiste liście, a między pniami rosły gęste krzaki, połączone płataniną pnączy. W dodatku drogę do drzew tarasowała zardzewiała siatka.

Accum bał się węży i wszystkiego, co pełza po ziemi, ale teraz myślał wyłącznie o hałasie płynącym zza drzew, więc kiedy wreszcie dotarł do siatki i zobaczył, że kawałek dalej drzewa się kończą i ciągnie się tylko bujna trawa, chwycił się chwiejnego słupa, do którego siatka była umocowana, podniósł nogę i postawił ją na drucie. Pod ciężarem lekarza słup zaczął się przeginać i po chwili złamał się z cichym trzaskiem; ułamana część nie spadła jednak na ziemię, tylko zawisła w powietrzu, podtrzymywana przez siatkę.

Accum zobaczył mrówki - dziesiątki, setki mrówek. Miały gniazdo w zmurszałym słupie i teraz umykały z niego we wszystkie strony, dźwigając na wpół przezroczyste jaja, podobne do ziarenek ryżu. Lekarz cofnął się z odrazą. Ruchliwe, obrzydliwe owady. Poczł swędzenie skóry i niesmak w ustach. Świadom był ironii, że może patrzeć na spalone lub pokiereszowane zwłoki, nawet toczone przez robactwo, i spokojnie je badać, a wzdryga się na widok pierzchających w popłochu mrówek. Może chodzi o element zaskoczenia - pomyślał. W kostnicy zawsze był panem sytuacji, tu natomiast nie wiedział, czego się spodziewać. Jednak dźwięk zza drzew był teraz głośniejszy, więc wszedł na zwałoną siatkę, unikając mrówek, lecz - mimo obrzydzenia - bacznie im się przypatrując.

Czuł, jak gałęzie krzaków czepiają się jego spodni, ale szedł dalej, pochylając się, żeby nie zahaczyć głową o konary. Wkrótce drzewa otaczały go ze wszystkich stron. Porośnięta gęstą trawą ziemia opadała w dół, pnącza oplatały mu kostki. Było wilgotno, ciemno, duszno. Wtem drzewa się skończyły; przed sobą miał koryto potoku. Stał nad jednym z wysokich brzegów: od drugiego oddzielało go suche, piaszczyste dno, z którego gdzieś sterczały kamienie lub wypolerowane przez wodę drewniane pnie. Ujrzał wyraźnie odcisnięte na piasku ślady jakiegoś małego zwierzęcia. Wiodły w stronę brzegu, na którym się znajdował; kierując wzrok ich tropem, zobaczył jakiś ruch zaledwie trzy metry od siebie - była to wiewiórka ziemna, stojąca na tylnych łapkach. Wpatrywała się w niego, po czym nagle czmychnęła do nory pod korzeniem drzewa. Po chwili wystawiła łepkę i znów

wbiła spojrzenie w lekarza.

Accum popatrzył na suche koryto, przełknął ślinę i ostrożnie wysuwając do przodu jedną nogę, ruszył w dół po osypującym się brzegu. Piaszczyste dno było znacznie bardziej miękkie niż się spodziewał; stapał po nim niepewnie, w obawie, że może się zapaść w szlamie po kolana, tym bardziej że po prawej ręce, przy zakolu koryta, ujrzał wśród kamieni starą oponę zakopaną do połowy w mule. Chciał jak najszybciej wdrapać się na drugi brzeg, ale ponieważ tu również ziemia się osuwała, wspinał się wolno, ukosem; w pewnym momencie poślizgnął się i zachwiał, więc odruchowo chwycił za sterczący z ziemi korzeń. Puścił go jednak i spróbował wbiec pod górę; choć upadł na kolana i musiał pomagać sobie rękami, wreszcie mu się udało.

Przez chwilę stał, oddychając ciężko i rozglądając się na boki. Otrzeptał spodnie z ziemi, obejrzał brudne ręce. Dźwięk był coraz głośniejszy; płynął jakby z lewej. Accum ruszył w tamtym kierunku, co krok pochylając głowę lub obchodząc krzaki; nagle zieleń urwała się i wyszedł na otwartą przestrzeń zalaną promieniami gorącego słońca. Przed sobą miał biały drewniany płot biegnący wzdłuż ogródków na tyłach szeregu piętrowych domków.

Już wyciągał ręce, żeby wspiąć się na płot, kiedy zorientował się, że głośny dźwięk rozlega się dwa ogródki dalej. Accum ruszył wzdłuż płotu i nagle zobaczył zwierzę, które dotąd tylko słyszał: tuż obok budy noszącej ślady zębów, przy której na nie strzyżonej trawie widać było obślinione drzazgi i cętki krwi, miotał się zaplątany w łańcuch irlandzki seter. Dźwięk, jaki wydawał, niepodobny ani do szczekania, ani do warczenia, sprawił, że lekarza przeszły ciarki. Dobywający się z głębi krtani niski, przeciągły skowyt nagle przechodził w urywany charkot i gardłowe ujadanie. Accum patrzył na zakrwawiony pysk, toczący gęstą pianę, która spadała płatami na ziemię. Wtem pies przestał gryźć łańcuch i polizał rozległą ranę na tylnej nodze, z której wyzierała kość; jednocześnie łypnął okiem na lekarza. Accum poczuł, jak wszystko się w nim wywraca, i z całej siły zacisnął dłonie na płocie. Miał wrażenie, że widzi przed sobą diabła, ucieleśnienie zła. Później przypomniał sobie, że właśnie tak pomyślał. W pierwszej chwili wydało mu się, że był to idiotyczny osąd, wydany pod wpływem emocji, ale kiedy się zastanowił, zrozumiał, że nie. Po raz pierwszy w życiu bowiem widział coś, z czego było tak wściekle, nie skrywane zło; miał ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie, byleby więcej nie patrzeć na to zwierzę.

Jednakże pobiegł tylko do miejsca, gdzie zaczynała się następna posiadłość, przeszedł na drugą stronę płotu, rozglądając się bacznie, czy tu przypadkiem również nie ma psa, ale ponieważ zobaczył jedynie plastikowy dmuchany basen dla dzieci, przebiegł obok niego, a następnie wzdłuż bocznej ściany domu. Znalazłszy się na chodniku ciągnącym się przed

domkami, ruszył pospiesznie w stronę trawnika przed domem, za którym coraz bardziej zajadle szczekał pies.

Gdyby myślał równie jasno jak zwykle, może przewidziałby, co się wydarzy - zarośnięty chwastami trawnik i dawno nie strzyżone krzaki pomogłyby mu z góry wyrobić sobie opinię o właścicielu domu. Ale myślał tylko o tym, żeby jak najprędzej z nim pomówić. Złapał się chwiejnej poręczy i wbiegł po schodkach na ganek. Nacisnął dzwonek, ale nie słyszał, czy zabrzączał, bo telewizor, którego dźwięki dochodziły przez otwarte okno, zagłuszał wszystko. Nawet ujadanie psa. Accum ponownie nacisnął dzwonek. Drewniane drzwi frontowe były wprawdzie otwarte, lecz wejście zagradzała siatka - lekarz starał się przez nią dojrzeć, czy w słabo widocznym salonie ktoś jest. W końcu uznał, że dzwonek nie działa. Kiedy w domu rozległy się brawa i gwizdy, zaczął walić pięścią w ramę siatki i wołać:

- Jest tam kto?!

Walił tak mocno, że trzęsła się cała rama; wreszcie dostrzegł jakiś ruch, jakby jaśniejszą plamę odrywającą się od ciemnej kanapy, i ktoś podszedł do drzwi. Był to tęgi, nieogolony mężczyzna, nagi do pasa. Trzymał otwartą puszkę piwa.

- O co chodzi? - zapytał.

- Pański pies...

- Tak, wiem, suka ciągle szczeka.

- Trzeba ją zbadać.

- Po cholere? Obiecałem sąsiadom, że jakoś ją uciszę. Kupiłem już specjalną obrozę.

- Słucham?

- Taką z bateriami. Jak pies szczeka, zostaje porażony prądem.

Accum wybałuszył oczy.

- A pan kim jest? - spytał mężczyzna.

- Lekarzem sądowym.

- Mieszka pan tu w sąsiedztwie?

- Nie, ja...

- No to pilnuj pan, cholera jasna, swoich interesów!

Accum nie wiedział, jak wyjaśnić mężczyźnie, o co mu chodzi. Szarpnął siatkę i wszedł do środka.

- Kurczę, gdzie się pan pchasz?!

- Muszę skorzystać z telefonu.

- To idź pan do sklepu na rogu, tam jest automat.

- Nie mam czasu!

Znów rozległy się brawa. Obchodząc blokującego mu drogę mężczyznę, lekarz zobaczył w głębi salonu stojący naprzeciw kanapy telewizor. Na ekranie dwóch bokserów okładało się pięściami.

- Oj, panie, bo stracę cierpliwość!

- Pański pies ma wściekliznę!

- Gównu, była szczepiona. To przez tę obrożę tak szaleje. Szamocząc się, znaleźli się na środku pokoju.

- Muszę zadzwonić po weterynarza!

- Jeśli zaraz pan stąd nie wyjdiesz, będziesz musiał dzwonić po karetkę!

Ale lekarzowi udało się wyrwać mężczyźnie i dobiec do telefonu przy kanapie.

- Stój pan!

Accum już wykręcał numer.

- Sam tego chciałeś, kochasiu. Pamiętaj tylko, że cię uprzedzałem!

- Pogotowie weterynaryjne - powiedział kobiecie głos w słuchawce.

Obracając głowę, Accum ujrzał zbliżającą się ku jego twarzy zaciśniętą na puszcze rękę. Świadom był też, że druga ręka chwytą go za gors koszuli, by nie mógł uskoczyć. Natomiast ciosu, który rozkwasił mu nos i sprawił, że poleciał do tyłu, w ogóle nie poczuł. Słyszał tylko czyjeś jęczenie i przez wirujące płyty czerni próbował odgadnąć, co znaczą szaleńcze brawa.

45

Skuliło się za klatką z jeleniami, obserwując brązowo-biały radiowóz, który dojechał do końca alejki, na moment się zatrzymał, po czym ruszył dalej w kierunku basenu. Na samą myśl o wodzie chwyciły je mdłości; wyłoniło się z ukrycia, żeby upewnić się, czy radiowóz się oddalił. Widok ludzi skaczących z trampoliny i rozbryzgujących wodę oraz chlapiących się dzieci sprawił, że musiało odwrócić wzrok, by powstrzymać się od torsji. Przy huśtawkach i zjeżdżalniach bawiły się dzieci pod opieką kobiety. Śmiały się. Do klatki zbliżała się para starców. Jelenie, spłoszone, już dawno odsunęły się na drugą stronę. Patrzyły na intruza, a kłęby drżały im nerwowo; jemu również przeszkadzała ich obecność, w takim samym stopniu, co ludzi. Te ich rogi... Pragnęło tylko samotności, zaszyć się gdzieś w bezpiecznym miejscu, opanować bolesne skurcze wstrząsające całym ciałem. Kiedy para starców doszła do

klatki, pobiegło przez krzaki w górę zbocza. Jak przez mgłę pamiętało, że na wierzchołek wzgórza wiodą skosami drewniane schody; odnalazło je i zaczęło się wspinać. Blask słońca raził w oczy; musiało je zmrużyć. Raz potknęło się i upadło; podniosło się i pobiegło dalej na czworakach, dysząc i skomlać; przesiąknięty krwią bandaż znaczył schody czerwienią. Kiedy wreszcie znalazło się na wzgórzu, ujrzało wysoki, rozległy budynek. Była to stara rezydencja o wielu pokojach i szerokich, krętych schodach, którą kiedyś zwiedzało z matką. Zachowało w pamięci wspomnienie różnych kątów i ciemnych zakamarków, w których mogłoby się skryć. Oglądając się za siebie, widziało przez zmrużone oczy park w dole i ludzi. Znów skierowało wzrok w stronę rezydencji. Rosły wokół niej drzewa, krzaki; do drzwi frontowych prowadził wysypany żwirem podjazd. Przed wejściem stał samochód. Zaczęło skradać się przez krzaki, posuwać coraz bliżej. Tyle ciemnych pokoi... Nagle drzwi się otworzyły, więc przycupnęło w krzakach. Ze środka wyszli, rozmawiając, mężczyzna i kobieta. Oboje nieśli jakieś pudła.

- Dziś po południu był niewielki ruch. Chyba nikt więcej nie przyjdzie.

- Wieczorem mamy gości, więc muszę wracać do domu.

Zamknęli drzwi. Mężczyzna wyjął z kieszeni klucz.

- Zapomniałam ci powiedzieć. Dzwoniła Ewa, że nie może znaleźć swojego klucza.

- Dam jej rano ten.

- Nie, ona jutro nie może. Chce wpaść dzisiaj coś porobić, więc po prostu nie zamykaj drzwi.

- A jak jacyś wandalę...

- Ona już tu powinna być. Na pewno za chwilę się zjawi.

- Jak uważasz.

Zeszli z ganku.

Czekało, skulone w krzakach, obserwując, jak wstawiają pudła do bagażnika wozu.

- Podrzucę cię.

- Nie, dziękuję. Chętnie się przejdę. Kiedy masz następny dyżur?

- Dopiero za dwa tygodnie, w niedzielę po południu.

- Mnie przypadło prowadzenie zebrań.

- No to do zobaczenia.

Mężczyzna skinął głową i ruszył podjazdem. Kobieta wsiadła do samochodu i po chwili zrównała się z mężczyzną. Nacisnęła klakson. Mężczyzna pomachał jej, po czym i on, i pojazd zniknęli z pola widzenia.

Na wszelki wypadek odczekało jeszcze chwilę, po czym wyłoniło się z krzaków i

pobiegło w stronę ganku. Zanim weszło na schody, skuliło się i obejrzało za siebie; kilkoma susami dopadło drzwi, nacisnęło klamkę i znalazło się w środku.

Ciche, ciemne wnętrze pachnące stęchlizną. Pamiętało ten długi, szeroki hol, większy niż salon w domu, oraz te stoły; na jednym leżała sterta papierów, obok niej stało pudełko, do którego zwiedzający wrzucali datki.

Po obu stronach pogrążonego w półmroku holu ciągnęły się pokoje ze staroświeckimi meblami; na ścianach wisiała broń, mapy i stare fotografie w owalnych ramkach. Przez chwilę nasłuchiwało, ale w rezydencji panowała idealna cisza. Ruszyło przed siebie. Trafiło do obszernego pomieszczenia, w którym mieścił się najdłuższy stół, jaki kiedykolwiek widziało na oczy - przy stole stały ciężkie krzesła z wysokimi oparciami, a na nim talerze, kieliszki oraz niepojęta wprost ilość noży, widelców i łyżek, zupełnie jakby za moment miało się rozpocząć wielkie przyjęcie. Czuło, że wokół stołu krążą duchy, ale - o dziwo - nie bało się; przeciwnie, była to krzepiąca myśl. Na piętro prowadziły kręte schody; obok nich zobaczyło podobną do klatki windę. Matka wyjaśniła mu kiedyś, jak ta winda działa, w jaki sposób podnosi się, choć nie ma silnika. Należało ciągnąć za wiszącą linę, która przechodziła przez system bloczków, a której drugi koniec umocowany był do dachu windy. Ale drzwi zastawione były deską. Zresztą i tak by do windy nie wsiadło. Te wszystkie metalowe pręty... Ohydna pułapka.

Kilka metrów dalej zatrzymało się niepewnie, słysząc skrzypienie podłogi. Ale nie; zaskrzypiała pod jego ciężarem. W budynku nie było nikogo innego. Zastanawiało się, dokąd iść: w górę po schodach, czy do piwnicy. Nie, w piwnicy też będzie się czuło jak w pułapce. Zaczęło więc wolno wspinać się na piętro.

Zamarło w bezruchu, bo nagle otworzyły się frontowe drzwi. Kiedy obróciło się, ujrzało sylwetkę mężczyzny rysującą się na tle boleśnie rażącego blasku dnia. Był to ten sam mężczyzna, który przed kilkoma minutami znikł za zakrętem zwirowanego podjazdu. Więc dlatego nie było żadnego ostrzeżenia, choćby warkotu samochodu podjeżdżającego pod drzwi. Syknęło, kiedy mężczyzna zaczął do niego podchodzić.

- Tego właśnie się spodziewałem, ale ona uparła się, żeby nie zamykać drzwi. Wynoś się stąd, szczeniaku!

Syknęło głośniejsze.

- Jak się nazywasz? Mów, bo zaraz zadzwonię na policję.

Wydało z siebie krótkie warknięcie. Mężczyzna zatrzymał się, marszcząc brwi.

- Tylko bez wygłupów! Zejdź tu na dół natychmiast!

Jeszcze jeden krok i mężczyzna był przy schodach. Wyciągnął rękę i wtedy na niego

skoczyło, całym ciężarem uderzając go w pierś. Poleciał do tyłu i upadł na parkiet.

- Cholera jasna! - zaklął. Zorientowawszy się, że będzie chciało przemknąć w stronę otwartych drzwi, rzucił się w bok i zatarasował drogę.

Ujrzało jego odsłoniętą szyję i skorzystało z okazji, wbijając w nią zęby.

- Chryste Panie!

Szamotali się. Poczulo w ustach krew. Znów miało ochotę zwymiotować. Nie dlatego, że słony smak był nieprzyjemny, bo nawet miał w sobie coś pociągającego, nie mogło jednak wytrzymać tego potwornego drapania w gardle. Gryzło i przełykało, choć coraz bardziej zbierało mu się na torsje.

Powoli traciło dech.

Mężczyzna ścisnął je za gardło. Czulo narastającą pustkę w klatce piersiowej. Zaczęło się wić, skręcać.

- Uspokój się, gówniarzu!

Oderwało zęby od szyi mężczyzny i warcząc, usiłowało wbić je w ręce zaciśnięte na swoim gardle. Chciało wgryźć się w nadgarstek, ale udało mu się chwycić jedynie rękaw marynarki i poczuło w ustach obrzydliwy, ostry smak dymu tytoniowego. Nagle mężczyzna wsunął pod nie nogę i z całej siły pchnął kolaniem. Poleciało wysoko w górę i grzmotnęło z hukiem w parkiet; potoczyło się po nim i walnęło plecami w nogę stołu.

Kierował nim już wyłącznie zwierzęcy instynkt. Poderwało się na czworaki i szykowało się do kolejnego skoku. Mężczyzna tymczasem zdołał się pozbierać i wstać. Mierzyli się wzrokiem.

Nagle mężczyzna zauważył krew na marynarce. Dotknął dłonią szyi.

- O Boże!

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że krwawi. Podnosząc do szyi obie ręce, zaczął się cofać. Potknął się.

Skoczyło, ale nie dało rady przewrócić mężczyzny; poleciał tylko kilka kroków dalej do tyłu.

- O Boże! O Boże! - powtarzał. Nagle zorientował się, że ma za sobą otwarte drzwi. Znalazł się przy nich jednym susem, a kiedy skoczyło na niego, kopnął je z całej siły, trafiając butem w ramię. Upadło na ziemię, lądując na obolałym ramieniu. Zaczęło się czołgać w głąb domu, nie przestając warczeć.

Warczało teraz nie tyle na mężczyznę, co na zbliżający się alejką samochód. Patrząc przez zmrużone oczy, ujrzało, jak auto wjeżdża na podjazd. Był to inny wóz. Za kierownicą siedziała inna kobieta. Warcząc, ruszyło tyłem do schodów. Ramię miało niesprawne. Przy

schodach podniosło się. Warczało, przegięte na bok. Kiedy usłyszało otwierające się drzwi samochodu i zobaczyło, że mężczyzna obraca głowę w stronę podjazdu, zebrało się w sobie i resztkami sił zaczęło się wspinać po krętych schodach. Wreszcie znalazło się na piętrze i przycupnęło przy balustradzie, niewidoczne z dołu, nasłuchując w napięciu.

- Panie Cody!

Rozległy się szybkie kroki na schodkach wiodących do wejścia.

- Boże, pańska szyja! Och, panie Cody!

- Szybko! Proszę wejść i zadzwonić na policję i po karetkę!

Słyszało, jak mężczyzna opiera się całym ciężarem o ramę drzwi i jak jego głos staje się coraz bardziej chrapliwy.

- Tylko niech pani uważa, na schodach jest dzieciak, cholera wie, co...

Obróciło się w stronę korytarza.

46

Było już coraz wyżej. Raz o mało nie zaatakowała je sfora psów, ale zawarczało i wtedy stanęły, kładąc uszy po sobie; zaczęły węszyć i cofać się bojaźliwie. Kiedy udało, że rzuca się na nie, rozpierzchły się, uciekając w krzaki. Widząc ich podkulone ogony i lękliwe spojrzenia, przez moment rozkoszowało się poczuciem triumfu. Potem popatrzyło na las dzielący je od pokrytych śniegiem szczytów w oddali i, jakby zahipnotyzowane bielą, znów pięło się w górę.

47

Willie usłyszał drapanie dochodzące zza drzwi piwnicy. Przez całą noc pił z bratem. Poderwali dwie dziewczyny i sprowadzili je ze sobą do domu. Ale kiedy się przed chwilą obudził, nikogo nie było. W salonie panował potworny bałagan; puszki po piwie, butelki i poduszki wały się po podłodze, dywan znaczyły czarne, wypalone petami dziury. Na stole leżały frytki, których nie dojadł dwa dni temu. Roześmiał się na myśl, co by powiedziała

żona, gdyby nagle wróciła. Potem poszedł wyjąć z lodówki puszkę piwa i wtedy właśnie usłyszał drapanie do drzwi piwnicy. W pierwszej chwili pomyślał, że jakieś zwierzę dostało się do środka, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież zabił wszystkie okna deskami. A innego wejścia z zewnątrz do piwnicy nie było. Nagle zorientował się, co jest grane. Brat chce mu zrobić kawał! Specjalnie schował się z dziewczuchami w piwnicy, żeby go przestraszyć, kiedy się obudzi. Uśmiechając się szeroko, Willie otworzył drzwi i zobaczył dziewczynę.

- Cześć, malutka.

Ale uśmiechała się jakoś tak dziwnie, a z warg spływała jej krew. Zmarszczył brwi. Zrobiła krok w jego stronę; najpierw wydało mu się, że się skaleczyła, potem zaczął żałować, że nie ma w ręce czegoś solidniejszego od puszki piwa, a potem w ogóle przestał myśleć. Długie, ostre paznokcie, które podziwiał ubiegłego wieczoru, przejechały mu po gardle, po oczach. Potknął się i upadł, uderzając głową w zlew. Usłyszał, jak dziewczyna otwiera szufladę, w której trzymał noże.

48

- Słuchaj pan, musisz mi pomóc.

Accum zamrugnął, usiłując skupić wzrok na twarzy pochylonego nad nim mężczyzny z gołym torsem. Z telewizora dobiegał głos spikera podającego wiadomości.

- Gdzie...?

- Cholera, sam mnie pan sprowokowałeś. Ale nie chciałem rąbnąć pana tak mocno.

Lekarz przypomniał sobie, co się zdarzyło. Głowa bolała go, gdy nią poruszał, a wargi i nos wydawały mu się jakieś dziwne, nie jego. Kiedy przysunął do nich rękę, przekonał się, że są spuchnięte, bez czucia. Na palcach zobaczył ślady krwi. Jęknął.

- Chodzi o moją sukę. Musisz mi pan pomóc.

- Co się stało?

- Nie rusza się. Tylko leży i patrzy na mnie.

- Jezu, niech się pan do niej nie zbliża!

- Nie zbliżam się. Boże, trzeba było słuchać pana od początku! Rano mnie polizała.

Czy mogę się od tego zarazić?

Accum spróbował wstać.

- Kiedy? - spytał.

- No, rano. Zachowywała się jeszcze zupełnie normalnie.

- Niech pan umyje ręce! Mam nadzieję, że nie dotykał pan ust. Lizła pana po rękach?

Ma pan na dłoniach jakieś skaleczenia?

- Nie pamiętam.

- Jak to?

- Skaleczeń nie mam. Nie pamiętam, czy mnie lizła i czy dotykałem ust.

- Proszę natychmiast umyć ręce. - Wysilek związany z rozmową sprawił, że Accumowi zakręciło się w głowie, więc przez moment się nie ruszał. - Najlepiej jakimś środkiem dezynfekującym, a potem niech pan dobrze wypłucze usta. I zmieni ubranie.

Zacisnął palce na poręczy kanapy, żeby podnieść się z podłogi. Poleciał do tyłu. Nabrał powietrza i spróbował jeszcze raz. Wreszcie udało mu się wstać. Krawat i przód koszuli miał całe we krwi. Zdenerwowało go to do tego stopnia, że wróciły mu siły.

- Szybko, umyj pan ręce - polecił.

Nagle zdał sobie sprawę, że to właśnie jedna z tych brudnych rąk rozbiła mu wargę i rozkwaślała nos. Wypadł na korytarz i wepchnął się do łazienki, w której gospodarz właśnie odkręcał kran.

- Najpierw ja - powiedział. - Muszę umyć twarz.

Opłukał twarz wodą, a następnie namydlił ręce i zaczął ją nimi szorować. Poczul ból, ale szorował dalej. Patrzył na krew, która mieszała się z mydlinami i ściekała mu z rąk do wody znikającej w otworze umywalki. Wreszcie chwycił ręcznik i tak mocno tarł nim twarz, że wkrótce cały zakrwawił.

- Gdzie jest spirytus! - zawołał, grzebiąc w szafce za lustrem. - Spirytus albo kamfora!

Właściciel domu otworzył szafkę pod umywalką. Obaj jednocześnie ujrzeli butelkę kamfory. Accum chwycił ją pierwszy, potrząsnął, wyjął z niej korek i przyłożył go do policzka, raz, drugi, trzeci, po czym zniecierpliwiony przechylił głowę nad umywalką i polał kamforę prosto na twarz. Płyn palił mu pokierszowane wargi, a ostry, słodkawy zapach wdzierał się w nozdrza. Prychnął kilka razy. Wysilek sprawił, że zabrakło mu sił; osunął się na kolana.

- Chryste, jest pan równie szalony jak moja suka!

- Wiem, co robię. Niech pan też umyje ręce, twarz, i wypłucze usta, tak jak panu mówiłem.

Powoli podniósł się z klęczek. Właściciel psa stał przy umywalce, energicznie mydląc ręce. Accum ogarnęła złość.

Cholera, przez tego kretyna może będę musiał poddać się serii zastrzyków! - pomyślał. Potykając się, ruszył korytarzem do kuchni. Wyrzął przez okno i zobaczył sukę, która leżała na ziemi, z pyskiem pokrytym pianą zmieszaną z krwią. Pysk miała rozchylony, oczy patrzyły tępo w jeden punkt.

Ten widok mu wystarczył. Chwiejnym krokiem doczłapał do telefonu.

Musiał się zebrać w sobie, żeby wykręcić numer. Rozległ się dzwonek, ale nikt nie podnosił słuchawki. Rany, dlaczego nie odbierają? Sobota. Spojrzał na zegarek. Nic dziwnego, o tej porze nikogo już nie ma. Otworzył książkę telefoniczną na spisie weterynarzy. Były podane również numery domowe. Zaczął kręcić.

Tym razem ktoś podniósł słuchawkę.

- Poproszę doktora Owensa.

- A kto mówi? - spytał kobiecy głos.

- Lekarz sądowy.

- Przykro mi, nie ma go w domu. Powiem, żeby do pana oddzwonił... Nie, chwileczkę, właśnie przyszedł.

- Doktor Owens przy aparacie - odezwał się męski głos.

- Mówi Accum. Znalazłem sukę, która moim zdaniem ma wściekliznę.

- Jest pan pewien?

- Nie, ale na to mi wygląda. Tyle że właściciel nałożył suce taką obrozę, która ją kopie prądem, ilekroć pies szczeka, więc może to wywołało podobne objawy. Może chodzi o porażenie słoneczne, o nosówkę czy jakieś inne choróbko? Nie wiem. Niech pan przyjedzie jak najprędzej.

49

Niewidomy przerwał parzenie herbaty. Jego suka znów warczała. Podobnie jak dwa dni temu, kiedy był z nią w nocy na spacerze. Nagle zdjął go strach. Ktoś musiał zakraść się do domu, gdy wyszedł z psem do parku. Cofnął się w stronę szafek.

- Jest tu kto?

Pies nadal warczał.

Niewidomy podniósł rękę.

- Jestem starym człowiekiem. Weźcie, co chcecie, ale nie róbcie mi krzywdy.

Pies był blisko; niewidomy liczył na to, że jego czworonożny przyjaciel rzuci mu się na pomoc. Czekał na odgłos wystrzału albo uderzenie siekiery, a kiedy to nie nastąpiło, zrozumiał, że w domu nie ma nikogo obcego, że pies warczy na niego, i zaczął się modlić.

50

Dunlap przytrzymał się tablicy rozdzielczej, kiedy radiowóz z piskiem opon skręcił w boczną ulicę; minęli basen i pomknęli dalej pod górę, aleją wiodącą między szpalerem drzew. Dziennikarz zerknął na Slaughtera, który podnosił do ust mikrofon.

- Tu Nathan, Marge. Już prawie jestem na miejscu. Koniecznie przyślij mi ludzi. Co z karetką?

- Jest w drodze.

- To dobrze.

Dunlap spojrzał na park rozpościerający się za drzewami. Kiedy znów popatrzył przed siebie, drogą zakreślała; zobaczył wierzchołek wzgórza i stojącą na nim rozległą dwupiętrową rezydencję, w której oknach odbijały się ostatnie promienie słońca. Półkolisty, wysypany żwirem podjazd prowadził do okazałego ganku z dwiema kolumnami.

Slaughter gwałtownie zahamował, wzbijając tumany pyłu. Dunlap wysiadł pierwszy, a Slaughter, wkładając kapelusz, moment później. Ich buty skrzypiały na kamiennych stopniach, gdy wchodzili po schodach na ganek.

Dwóch policjantów zwróciło się do komendanta.

- Dzieciak jest na pierwszym piętrze - powiedział jeden z nich.

- Albo na drugim - rzucił Slaughter. - Skąd macie pewność, że w ogóle tu jest?

- Niech pan spyta tych ludzi.

Dunlap spojrzał tam, gdzie wskazał policjant, i zmarszczył czoło. Tuż za drzwiami siedział na posadzce mężczyzna w zbroczonej krwią koszuli, przyciskając obie ręce do rany na szyi.

- Co z karetką? - spytała stojąca obok rannego kobieta.

- Jedzie. Jest pani pewna, że chłopiec skrył się w budynku?

- Pan Cody... to jest właśnie pan Cody... powiedział, że dziecko wbiegło na górę, kiedy zatrzymałam samochód na podjeździe.

- Tamten wóz należy do pani?

Skinęła głową.

- Niech go pani lepiej przestawi. Zaraz będzie tu spore zamieszanie.

Zanim skończył mówić, na podjeździe pojawił się radiowóz. Tuż za nim nadjechała karetka z włączoną syreną.

- Trzeba wynieść tego człowieka na zewnątrz. Może pan iść samodzielnie?

Mężczyzna słabo skinął głową i podciągnął nogi, żeby wstać z posadzki.

- Chwileczkę, pomogę panu. - Slaughter zwrócił się do dwóch policjantów: - Pilnujcie drzwi.

Pomógł wstać mężczyźnie i ruszył z nim przez ganek do schodków. Zobaczył biegnących sanitariuszy. Z radiowozu wysiedli dwaj policjanci i też rzucili się biegiem w ich stronę.

Z budynku wyszła kobieta i wzięła rannego pod drugi łokieć.

- Czy z pierwszego piętra można się wydostać inaczej niż po schodach? - spytał ją komendant.

- Z tyłu rezydencji jest parterowy budynek dla służby. Ale wątpię, żeby chłopiec zdołał skoczyć z okna na dach, nie robiąc sobie krzywdy.

- A te drzewa wokół rezydencji? Żadna gałąź nie sięga okna?

- Nie pomyślałam o tym. Nie wiem - przyznała.

- Idźcie na tył - polecił Slaughter świeżo przybyłym policjantom. - Pilnujcie, żeby nikt nie opuścił rezydencji. Szukamy dzieciaka.

- Dzieciaka?

- Tak. Pilnujcie, żeby nie wydostał się z budynku po gałęzi albo skacząc na dach domku dla służby.

Slaughter przekazał rannego mężczyznę sanitariuszom. Zobaczył, że wpatrują się w krew na jego koszuli i rękach.

- Ugryzł go dzieciak - wyjaśnił, po czym zwrócił się do kobiety: - Stąd ta rana, prawda?

Skinęła głową. Sanitariusze wybałuszyli oczy.

- Ugryzł mnie - wymamrotał ranny mężczyzna gardłowym, chrapliwym głosem.

Dunlap, który wciąż czuł się nietego, odwrócił wzrok z obawy, że widok pokieszerowanej szyi mężczyzny wywoła w nim mdłości.

Znów rozległo się wycie syreny i na podjazd, wzbijając tumany pyłu, wjechały na pełnym gazie dwa następne radiowozy. Slaughter ruszył pospiesznie w ich stronę.

Dunlap stał pośrodku całego zamieszania. Ręce mu drżały. Tęsknił za kieliszkiem jak rzadko kiedy. Miał niemal ochotę krzyknąć. Nie wygłupiaj się! Szukałeś tematu na dobry

reportaż, to go masz. Jeszcze nie bardzo wiedział, co się dzieje, ale nie ulegało wątpliwości, że sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Jeśli przez własną słabość zmarnuje okazję, tak jak wiele innych w życiu, tylko siebie będzie mógł winić. Napijesz się - powiedział do siebie. Ale na razie weź się w garść. Zanim zapadnie zmrok, powinno być po wszystkim.

Czyżby? A może to dopiero początek? Zobaczył, że dwaj sanitariusze wsuwają nosze z rannym do karetki. Kobieta właśnie przestawiała swój samochód, a Slaughter stał obok radiowozów, rozmawiając z policjantami, którzy przyjechali przed chwilą.

Dunlap odwrócił się w stronę rezydencji, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć policjantów na ganku. To wszystko było ponad jego siły, nie wiedział, czy długo wytrzyma. Wstrząsały nim coraz silniejsze dreszcze. W końcu podszedł do kobiety, która wysiadała z przeparkowanego samochodu.

- Co to za gmach? - spytał.

- Rezydencja Baynarda.

- Czyja?

I tak Dunlap wysłuchał historii o Baynardzie, który niegdyś był najbogatszym człowiekiem w okolicy. W 1890 roku.

- Hodował bydło w całej dolinie. Postawił ten dom, właściwie pałac, kiedy ożenił się z kobietą z południa.

Mówiła płynnie, bez zastanowienia, jakby powtarzała tę historię już wiele, wiele razy. Dunlap zafascynowany słuchał o tym, jak Baynard sprowadził z południa deski, meble, nawet krzaki, żeby jego żona czuła się tu jak w swoich rodzinnych stronach. Potem któregoś lata żona pojechała na południe, odwiedzić rodzinę, i albo rzeczywiście umarła, albo porzuciła męża, a on wymyślił bajeczkę o jej śmierci, żeby ukryć prawdę.

- Nie wiadomo. Staraliśmy się odszukać jakiś zapis o jej śmierci, ale bez skutku. Jeśli go porzuciła, miała ku temu powody. Rzadko bywał w domu; albo jeździł w interesach, albo do Waszyngtonu, bo był również senatorem. Poza tym krążyły plotki o dziwnych przyjęciach, jakie urządzano na drugim piętrze. Ale powiedział wszystkim, że umarła, i nikt tego nie kwestionował. A on wrócił tu i od tego czasu nigdy nie opuszczał domu.

Opowiedziała dziennikarzowi o tym, jak ludzie mówili, że Baynard całymi dniami chodził po domu, od pokoju do pokoju. Kiedy umarł, lekarz stwierdził zgon na skutek zawału, ale wszyscy twierdzili, że Baynard po prostu zapił się na śmierć! I jeszcze jedna rzecz: krążyła plotka, że sam zabił żonę, bo powiedziała mu, że go opuszcza. Apodyktyczny senator wpadł w taką furję, że żona była martwa, zanim w ogóle zorientował się, że ją tknął. Ukrył ciało i pograżył się w rozpacz. W końcu popełnił samobójstwo, lecz rodzina skrzętnie ukryła

ten fakt.

- Ale to tylko plotki. Niczego nie zdołano dowieść. Kilka lat temu próbowano zbadać, co się stało z jego żoną, ale nie trafiono na najmniejszy ślad.

- Skąd pani tyle o tym wie, przecież to się wszystko działo tak dawno temu!

- Należę do Towarzystwa Historycznego Potter's Field.

- Nie rozumiem co...

Zaczęła wyjaśniać:

- Teraz dom stoi pusty. Baynard miał dwóch synów. Mieszkali tu po jego śmierci i zarządzali majątkiem. Po nich dom odziedziczyły jego wnuki, ale ponieważ nie miały pieniędzy na podatki spadkowe, przekazały rezydencję miejscowym władzom. Wnuki Baynarda nie są bogatymi ludźmi. Mieszkają w zwykłych domach u stóp wzgórza, blisko basenu. Nasze towarzystwo przywróciło rezydencję do stanu pierwotnego. Kanalizacja jest dokładnie taka sama, jak pod koniec stulecia. Nie ma elektryczności, po zmroku trzeba używać świec albo latarni.

Ładne rzeczy, brakuje tylko burzy z piorunami!

Na burzę się nie zanosilo, ale zauważył, że za chwilę zacznie zmierzchać. Pomarańczowy krąg słońca prawie cały schował się za szczyty gór. Wkrótce wokół rezydencji zrobi się zupełnie ciemno - pomyślał. Poszukiwania chłopca trzeba będzie prowadzić przy świetle latarek, reflektorów samochodowych, a może nawet świec i latarni, o których wspomniała kobieta. Poczul, że włos jeży mu się na głowie.

- Czyje to dziecko? - spytała kobieta.

- Nie wiem - odparł i ruszył znużonym krokiem do Slaughtera, który wciąż rozmawiał z policjantami.

- Potrzebujemy sieci - usłyszał, kiedy się zbliżył.

- Sieci?

Pytanie zadał Rettig; obok niego stał ten sam młody policjant, z którym rano jechali do domu komendanta. Dunlap miał wrażenie, że od tego czasu minęło już wiele dni.

- Tak, sieci. A co, myśleliście, że będziemy go walić pałami? A może strzelać do niego?

- Ale skąd wziąć sieci?

- Sprawdźcie w sklepie ze sprzętem sportowym i wędkarskim, a jeśli tam nie mają, to wypożyczcie siatkę do chwytania zwierząt z tego małego zoo przy parku. Rettig, to twoje zadanie. A wy macie pilnować domu z prawej i z lewej.

Trzej policjanci popatrzyli na Slaughtera, po czym ruszyli biegiem w kierunku

rezydencji.

- Poczekajcie - powstrzymał ich.

Odwrócili się.

- Dajcie kluczyki panu Dunlapowi. Włączy reflektory i oświetli budynek.

Przenieśli wzrok na dziennikarza, który zaskoczony poleceniem, odruchowo wyciągnął rękę. Jeden z policjantów dał mu kluczyki, które wyjął z kieszeni. Dunlap spojrział na nie. Były ciepłe. Przez chwilę stał z wyciągniętą ręką, czekając na dalsze komplety kluczyków, ale wnet zdał sobie sprawę, że przecież Rettig będzie potrzebował wozu, żeby pojechać po sieci. Trzeci radiowóz należał do Slaughtera, a czwartym i piątym przybyli policjanci, którzy już pilnowali rezydencji. Popatrzył niepewnie za trzema policjantami, którzy znów ruszyli w stronę budynku. Po chwili rozdzielili się: dwaj skrzyli w prawo, jeden w lewo. Nagle poczuł, jak Slaughter wsuwa mu w dłoń swoje kluczyki.

- Wiesz, co masz robić? - spytał komendant.

- Chyba tak. Przetawić wozy, żeby światła padały na okna.

- Włącz silniki, żeby nie wyładować akumulatorów. Zapal też reflektory przy lusterkach bocznych.

- A co z samochodem tej kobiety?

- To samo.

Dunlap skinął głową i ruszył biegiem do radiowozów. Nie miał trudności z rozpoznanie samochodu Slaughtera, a wóz Rettiga, z włączoną na pełny regulator syreną, właśnie się oddalał podjazdem. Dziennikarz podszedł do radiowozu, przy którym jeszcze przed chwilą stał samochód Rettiga, wsiadł do środka, znalazł właściwy kluczyk i zapalił silnik. Pomyślał, że Slaughter równie dobrze mógł zlecić włączenie świateł któremuś z podwładnych, ale specjalnie wybrał jego, żeby dać mu jakieś zajęcie.

I słusznie, bo dziennikarz od razu poczuł się lepiej. Oddychał szybciej, był skoncentrowany, palenie w żołądku mniej mu przeszkadzało. Zadowolony, że nie sterczy bezczynnie jak kołek, podjechał pod rezydencję i ustawił wóz tak, by jak najlepiej oświetlić budynek. Następnie zaczął szukać odpowiedniego przycisku, żeby włączyć reflektor. Znalazł go z boku obudowy; po chwili jaskrawe światło zalało prawą połowę budynku aż po drugie piętro.

Wysiadł pospiesznie, pobiegł do wozu Slaughtera i zrobił to samo, tym razem oświetlając lewy bok rezydencji. Kobiety, która przyglądała się jego manewrom, nie musiał instruować. Sama wsiadła do swojego samochodu i przestawiła go po raz drugi, oświetlając wejście. Słońce schowało się za górą i park w dole spowiła szarość, ale rezydencja była

dobrze widoczna w blasku reflektorów, który w dodatku odbijał się od okien; policjanci nie musieli się potykać w mroku.

Dunlap usłyszał warkot zbliżającego się samochodu. Z początku sądził, że to kolejny radiowóz, ale pojazd nie miał ani migacza, ani włączonej syreny. Kiedy się zatrzymał, dziennikarz zobaczył w środku mężczyznę i kobietę. O Chryste!

- Gdzie jest Slaughter? - spytali go, kiedy wysiedli.

- Gdzieś w pobliżu.

W tym samym momencie Slaughter wyłonił się z rezydencji i stanął na ganku oświetlonym blaskiem reflektorów. Dojrawszy mężczyznę i kobietę, ruszył szybko w ich kierunku. Oni rzucili się ku niemu biegiem.

- Nie powinni byli państwo przyjeżdżać. A w ogóle skąd się państwo dowiedzieli, że on tu może być? - spytał.

Dunlap widział, że komendant jest zły.

- Nasz sąsiad łapie wasze pasmo. Znalazł pan Warrena?

- Nie. Podobno jest na górze. - Slaughter wskazał okna na piętrze. - Niech państwo wracają do domu i czekają na wiadomość.

Nic innego nie mógł im powiedzieć. Dunlap pomyślał, że Slaughter, skąpany ostrym blaskiem reflektorów, wygląda, jakby się nagle postarzał o kilkanaście lat. Policzki miał obwisłe, oczy podkrążone. Chryste, on wcale nie był zły. Był wystraszony.

- Dlaczego się schował? Niech mi pan pozwoli wejść i z nim porozmawiać - poprosiła kobieta.

- Nie, to nie byłoby zbyt rozsądne. - Slaughter rozgarnął butem żwir. - Niech pani lepiej zostawi wszystko nam.

- Słyszał pan moją żonę. Idziemy na górę!

- Nie mogę na to pozwolić.

- Tak się tylko panu wydaje!

Zamierzali pobiec do wejścia, ale Slaughter zastąpił im drogę.

- Reflektory, wozy policyjne! Wystraszycie mi tylko dzieciaka! - oburzył się mężczyzna.

- Nie chciałem wam o tym mówić, ale chyba nie mam wyboru. Wasz syn zaatakował człowieka. Mężczyzna ten o mało się nie wykrwawił.

Kobieta zamarła w pół kroku.

- O mój Boże - szepnęła.

Jej mężowi zapało dech.

- Leży w karetce. Proszę iść go zobaczyć; zrozumie pani, dlaczego nie mogę wpuścić państwa do środka.

Małżonkowie odwrócili się w stronę karetki, którą wskazał Slaughter; akurat w tym momencie przez tylne drzwi wysiedli sanitariusze i zamknęli je szybko za sobą.

- Zrobiliśmy, co było w naszej mocy! - zawołał jeden z nich.

Slaughter skinął mu głową. Sanitariusze okrążyli biegiem karetkę i wsiedli do szoferki. Silnik zawarczał, włączyły się światła i syrena, po czym wóz pomknął półkolistym podjazdem w kierunku ulicy.

Dunlap patrzył na karetkę, dopóki nie znikła mu z oczu. Kiedy obrócił głowę, zobaczył, że kobieta płacze.

- Proszę mnie posłuchać. Naprawdę powinni państwo wrócić do domu - powiedział Slaughter.

- Chcę tu zostać.

Komendant podniósł ręce, po czym opuścił je bezradnie.

- To niech państwo przynajmniej czekają w samochodzie. Proszę włączyć światła i ustawić wóz tak, żeby padały na dom. I bardzo proszę nie przeszkadzać nam w pracy. Mamy pełne ręce roboty. Będziemy uważać, żeby chłopcu nie stała się krzywda. Obiecuję.

Kobieta szlochała, podtrzymywana przez męża. Kiwnęli głowami i ruszyli wolno do samochodu.

I wtedy usłyszeli. Usłyszeli to wszyscy. Matka, ojciec, Slaughter, Dunlap i policjanci przy domu zadarli głowy, wpatrując się w okna na piętrach.

Gdzieś w głębi domu, nie wiadomo, na którym z dwóch pięter, coś wyło. Dźwięk przypominał wycie psa, kojota lub wilka, ale był znacznie bardziej przerażający i posepny; gardłowy, dudniący. Chwilami nieco cichł, przechodząc w ujadanie, a potem znów przybierał na sile.

Mrożące krew w żyłach dźwięki płynęły przez jakiś czas, odbijając się echem od ścian rezydencji. Dunlap czuł, jak ciarki przechodzą mu po grzbiecie. Nagle wycie urwało się i, jeśli nie liczyć miarowego warkotu pracujących silników samochodowych, zaległa cisza.

- Co to było, u licha? - spytał szeptem jakiś męski głos.

- Chyba wolę nie wiedzieć - odparł inny.

Slaughter, a tuż za nim Dunlap, popędzili do frontowych drzwi domu.

Chwyciło zwłoki za kostki i zaczęło je wlec przez kuchnię. Kiedy ciągnęło je w dół po schodach, głowa uderzała rytmicznie o stopnie. Wreszcie znalazło się w piwnicy; wołało przebywać w mroku. Nabierając w płuca cuchnące pleśnią powietrze, dociągnęło trupa do dwóch innych, które leżały obok siebie w rogu. Jedne zwłoki były męskie, drugie żeńskie. Nowe, też męskie, położyło obok kobiety. Czuło zapach krwi unoszący się nad zwłokami, widziało pokiereszowane szyje i twarze, a także nóż sterczący z brzucha trupa, którego właśnie przywlekło z kuchni. Warknęło bez powodu i wytarło ręce o sukienkę. Tak, tak było lepiej. Teraz nie musiało już wychodzić, a wkrótce miała zapaść noc. Czując zawrót głowy, przycupnęło przy trzecich zwłokach. Zanurzyło palec w krwi i oblizało go, drapiąc się po swędzącej ranie na ramieniu, w miejscu, gdzie wczoraj ugryzł je kot.

52

Accum szarpnął drzwi na tyłach kliniki i wszedł do pracowni. Na stole ujrzał psa, który leżał na gumowym prześcieradle. Przy stole stał Owens w fartuchu i w masce na twarzy.

Weterynarz odwrócił głowę. Nawet się nie przywitał, tylko rzekł:

- Zanim go tu wniosłem, już nie żył.

Accum spojrział na niego zdumiony.

- Przecież niedawno miotał się i rzucał! Minęły dwie godziny i już nie żyje? Paraliż powinien trwać znacznie dłużej.

- Ma pan rację. Ale to może być coś innego. W tamtej szafce znajdzie pan fartuch i maskę.

Accum poszedł je włożyć. Wciągnął także parę gumowych rękawic. Wracając do stołu, słyszał natarczywe brzęczenie świetlówek na suficie.

- Zacznijmy od zdjęcia obroży. - Owens rozpiął klamrę i popatrzył na dziwne urządzenie z bateriami umocowane do rzemienia. - Najchętniej założyłbym to właścicielowi psa!

Rzucił obrożę na bok.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie ludzie mają pomysły. Nie chcą, żeby ich psy szczekały, więc żądają, żebym im wyciął struny głosowe. Najchętniej wyciąłbym je właścicielom. Przynajmniej nie wygadywaliby takich bzdur!

Widoczna nad maską część twarzy poczerwieniała z gniewu. Po chwili weterynarz potrząsnął głową i rzekł:

- Cóż, bierzmy się do roboty. Który z nas będzie ciął? Pan?

- Nie, dziękuję. Pan zna się na tym lepiej. Ja mogę tylko asystować.

- Więc proszę mi podać skalpel.

Cztery szybkie ciecicia i Owens ściągnął skórę z psiej czaszki. Następnie sięgnął po świder i go włączył. Szybkoobrotowym wiertłem wywiercił w czaszce cztery otwory; utworzyły kwadrat. Wtedy wziął piłę elektryczną. Posługując się z wprawą warczącym cicho urządzeniem, zaczął łączyć wywiercone otwory. Ostrze wchodziło w czaszkę nie za płytko i nie za głęboko, akurat w sam raz; po chwili podważył wycięty kawałek kości.

- Tak, mózg jest obrzęknięty i ma zmienioną barwę. Widzi pan te zaróżowienia? Typowe objawy. Ale czasem występują i przy nosówce. Trzeba wyjąć mózg i pobrać wycinek.

Accum podał skalpel, potem kleszcze; wkrótce mózg leżał w szklanej waniencie.

- *Cornu ammonis*.

- Zgadza się. - Owens odciął część, którą należało zbadać. - Może pan zająć się przygotowaniem szkiełek podstawowych.

- Mam spreparować wycinek czy tylko wziąć rozmaz?

- Robienie preparatu trwałoby zbyt długo. Wystarczy rozmaz. To, czego szukamy, i tak będzie widoczne.

Accum położył na szkiełku kawałek tkanki i rozsmarował ją równo, po czym rozejrzał się po pracowni.

- Jest przy szafce.

Mikroskop znajdował się w drewnianym pudełku, obok stał słoik barwnika. Accum zabarwił rozmaz, po czym umieścił go pod mikroskopem i spojrział przez okular.

- Widzi je pan? Ciałka Negriego?

Accum nie podnosił oczu znad mikroskopu.

- O co chodzi? Powinny być.

Accum obrócił się do weterynarza i potrząsnął głową.

- Niech pan sam spojrzy - rzekł.

- Ale co? Nie ma ich? Musimy zrobić inne badania?

- Niech pan sam spojrzysz - powtórzył lekarz.

Owens zmarszczył brwi i spojrział przez mikroskop.

Szukał ciałek Negriego, maleńkich, okrągłych, czasami owalnych tworów w cytoplazmie komórek nerwowych występujących w partii mózgu zwanej po łacinie *cornu ammonis*. Według współczesnych teorii, były to albo cząsteczki wirusa wścieklizny, albo zwyrodniała substancja komórek dotkniętych wirusem. Albo jedno i drugie. Ich obecność świadczyła o tym, że ma się do czynienia z wścieklizną.

- Nie rozumiem. Coś jest nie tak. Powinny wyglądać inaczej.

Accum wiedział, co Owens ma na myśli. Obserwował weterynarza, który znów pochylił się nad mikroskopem. Bo ciałka, które sam wcześniej zobaczył, nie były ani okrągłe, ani owskie. Były podłużne, z wgłębieniem z jednej strony.

- Niech to diabli, wyglądają jak fistaszki - powiedział Owens. - Co to może być, do cholery?

- Jakiś pokrewny wirus?

- Jaki? No jaki?

- Nie wiem.

- Pewnie, że pan nie wie, i ja też nie wiem. Znam się na wściekliznie. I daję głowę, że w żadnym podręczniku nie ma ani słowa o czymś, co wygląda w ten sposób.

- Musimy zrobić próbę na przeciwciała.

- Zajmie dwie godziny, a próba na myszach co najmniej tydzień. Muszę wiedzieć, co to jest!

- Na razie trzeba przyjąć, że to wścieklizna. Albo inny wirus, który wywołuje identyczne objawy.

- Możemy przyjąć, co nam się podoba, ale co począć z ludźmi, którzy mogli się zarazić? Takimi jak właściciel psa czy nawet pan? Jeśli to wścieklizna, powinien pan zrobić sobie zastrzyki z surowicy. Ale cholera wie, czy pomogą.

Popatrzyli na siebie. Accum dotknął przez maskę spuchniętej wargi. Nie tyle zapomniał, co starał się nie myśleć o zastrzykach.

- Zrobię - rzekł.

- A jeśli nie będą skuteczne? Albo jeśli pański organizm niewłaściwie zareaguje?

- Jeżeli jestem zarażony, to i tak niedługo umrę. Nie mam nic do stracenia.

Zabrzmiało to niemal jak żart, lecz żaden z nich się nie roześmiał. O ile jednak Accum tylko udawał przed sobą, że zapomniał o grożącym mu niebezpieczeństwie, nagle zdał sobie

sprawę, że coś bardzo ważnego naprawdę wypadło mu z pamięci. Coś, o czym właściciel psa wspomniał na samym początku i co w podnieceniu uleciało mu z głowy; coś, o czym przypomniał sobie teraz, gdy Owens poruszył temat zastrzyków.

- Powiedział, że pies był szczepiony - rzekł.

- Co?!

- Właściciel powiedział, że suka była szczepiona przeciwko wściekliznie. Właśnie sobie przypomniałem.

- Jak on się nazywa?

Accum wymienił nazwisko.

- Jesteśmy jedyną kliniką weterynaryjną w okolicy, więc sprawdzę w kartotece. Niech pan przygotuje jeszcze parę szkiełek. Może za pierwszym razem zrobiliśmy coś nie tak. Wrócę za chwilę.

Accum spełnił polecenie weterynarza. Kiedy podchodził do mikroskopu, nogi pod nim drżały. Obejrzał kolejno wszystkie rozmazy: było na nich dokładnie to samo, co na pierwszym. Ogarnął go strach.

Owens otworzył drzwi z taką siłą, że lekarz o mało nie podskoczył.

- Nie kłamał - oznajmił weterynarz. - Suka miała pięć lat. Była szczepiona jako szczeniak, a potem regularnie co roku.

- Może szczepionka była skażona? I dlatego...

- Nie wiem, cholera jasna, ale nie spocznę, dopóki się nie dowiem!

- Załóżmy, że szczepionka była w porządku... Czy gdyby suka była bardzo słaba, mogłaby zachorować na wściekliznę w wyniku szczepienia?

- Jeśli pies jest bardzo osłabiony, może się to zdarzyć, lecz zdarza się rzadko, raz na sto tysięcy przypadków. Ale jakim cudem ze szczepionki powstałoby to, co widzimy pod mikroskopem?

- Może mamy do czynienia właśnie z tym jednym przypadkiem na sto tysięcy?

Popatrzyli niepewnie po sobie.

- Dzwonię do komendanta - oznajmił Accum.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer posterunku. Odebrała Marge.

- Muszę rozmawiać z Nathanem.

- Szuka pana.

- Co?

Kiedy powiedziała mu, o co chodzi, przeszły go ciarki.

- Już jadę. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Owensa: - Proszę przeprowadzić

próbę na przeciwności, zrobić fluoroskopię. Wróć, jak tylko będę mógł.

- Co się stało?

Nie było czasu na wyjaśnienia. Accum zrzucił z siebie fartuch, maskę, ściągnął rękawice. Otworzył drzwi i wybiegł w mrok.

53

Znów wyło.

- Co się tam dzieje?

Na chodniku stali ludzie, sąsiedzi, i wpatrywali się w dom.

- To już tak trwa od kilku godzin.

- Nie można go uciszyć?

- Co ze starcem? Przecież to jego pies.

- Jest niewidomy.

- Wiem. Mógł się przewrócić, mogło mu się coś stać.

Ruszyli w stronę werandy.

- Ty zastukaj. Lepiej go znasz.

- Kurczę, widuję go tylko na ulicy.

- Ktoś musi to zrobić.

Mężczyzna skrzywił się, westchnął, po czym wspiął się po schodkach. Nie podobało mu się to wycie, bał się, że starzec nie żyje, że...

Zastukał do drzwi. Wycie ustało. Obejrzał się na sąsiadów.

- No, zastukaj jeszcze raz.

Zastukał, ale bez rezultatu.

- Jest tam kto?

Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte. Podeszedł werandą do okna i zajrzał do środka. Pies odbił się od podłogi i skoczył na niego przez okno.

54

- Jezu Chryste, żeby to wycie wreszcie ustało!

Policjanci stali w świetle reflektorów, trzymając rozwiniętą sieć. Z góry nadal dochodziło wycie.

- A jeśli się na nas rzuci?

- Tylko nie zróbcie mu krzywdy! - upomniał ich Slaughter. - Trzymajcie sieć między nim a sobą. Jak go opląszczecie, nie powinien nam sprawiać żadnych kłopotów.

Slaughter spojrział na Dunlapa z nadzieją, że dziennikarz zdaje sobie sprawę, jak wyważone i rozsądne wydaje rozkazy. Gdyby coś poszło nie tak, nie chciał później czytać artykułu o brutalności policji. Zależało mu na tym, żeby wszyscy jego ludzie wiedzieli, że mają tylko schwytać chłopca. Mrużąc oczy przed blaskiem reflektorów oświetlających ganek, popatrzył na podjazd. Zobaczył rodziców dziecka: wciąż nie wsiedli do samochodu. Zobaczył również kobietę z Towarzystwa Historycznego Potter's Field, radiowozy, które dopiero niedawno włączyły się do akcji, i snop reflektorów kolejnego nadjeżdżającego wozu.

- No, chyba jest nas już dosyć. Zaczynamy. Ale samochód, który właśnie nadjechał, nie był wozem policyjnym. Slaughter rozpoznał go.

- Chwileczkę - powiedział, schodząc z ganku i idąc naprzeciw biegnącemu Accumowi.

- Gdzie byłeś? Szukałem cię... - Dojrzał krew na koszuli lekarza, jego rozbitą wargę. - Co się stało?

- Nieważne. - Accum wziął głęboki oddech. - Szkoda czasu. Słuchaj, mamy do czynienia z wirusem, ale nie jestem pewien, czy rzeczywiście chodzi o wścieklicznę.

- Czy ten wirus jest równie groźny?

- Może nawet groźniejszy. - Accum jeszcze raz odetchnął głęboko. - Działa szybciej. Znalazłem zakażonego psa; pierwsza faza choroby trwała znacznie krócej, niż powinna. Prowadzimy dalsze badania.

- Jak to się ma do tego chłopca na górze?

Accum wzdrygnął się, słysząc wycie dochodzące z budynku.

- To on tak wyje? - spytał; na jego twarzy odmalowały się zdumienie i szok.

- Chyba tak. Może zabłąkał się tam jakiś bezpański pies, ale wątpię.

- Jeszcze jako student widziałem chorego... Ale objawy wyraźnie się różniły. Człowiek zarażony wściekliczną może się miotać, nawet szczekać, może kłapać na kogoś zębami...

- Szczekać?

- Choroba niszczy układ nerwowy, powodując zaciśnięcie krtani. Kiedy chory próbuje mówić, brzmi to jak szczekanie.

- Ale ten dzieciak wyje!

- No właśnie. Objawy się różnią. Ten dźwięk przypomina wycie psa. Poza tym nie słyszałem o ani jednym przypadku, żeby chory na wściekliznę kogoś zaatakował. Wprawdzie autorzy podręczników wspominają o takiej możliwości, ale żaden lekarz, z którymi rozmawiałem, nie zetknął się z tym w praktyce.

- Rodzice chłopca twierdzą, że nic go nie ugryzło.

- Pewnie. A ja właśnie jadę od psa, który był szczepiony na wściekliznę, a teraz leży martwy w klinice weterynaryjnej.

Znów rozległo się wycie. Spojrzeli na wyłaniający się księżyc, który niemal osiągnął pełnię; jego blask oświetlał wzgórze i rezydencję.

- Księżyc! Że też nie pomyślałem o tym wcześniej!

- Co masz na myśli?

- Przynajmniej jeden z objawów się zgadza. Zakażeni wścieklizną czują wstręt do światła. Ich oczy stają się nadwrażliwe. Dlatego chorzy szukają ciemności. Ale blask księżyca działa na nich w dziwny sposób.

- A co robią? Wyją?

- Wściekłe psy tak. A w tym wypadku, zarażony chłopczyk.

- Podobno skaleczył się dziś rano w rękę o kawałek szkła.

- Gdyby zaraził się wścieklizną przy tym skaleczeniu, nie wystąpiłyby jeszcze objawy. Wirus wścieklizny potrzebuje co najmniej tygodnia, żeby się rozwinąć. Ale jeśli ten wirus rozwija się szybciej, a szkło polizało jakieś zakażone zwierzę, to może rzeczywiście... Obejrzą ranę, kiedy go złapiecie.

Wycie przybrało na sile.

- Wyje zupełnie jak szalenciec - rzekł Slaughter.

- Kiedyś uważano, że księżyc może wywoływać obłęd. Stąd wziął się termin lunatyk.

Nagle Slaughter stracił ochotę do dalszej rozmowy.

- Musimy iść do środka. - Zawahał się, po czym ruszył w stronę policjantów czekających na ganku.

- Wezmę torbę.

- Słusznie - rzucił komendant przez ramię, po czym wbiegł po schodach na ganek. -

Wszyscy gotowi?

W napięciu skinęli głowami.

- Tylko pamiętajcie, nie zdejmujcie rękawiczek. Ty, Rettig, trzymaj sieć za jeden koniec. Wy trzej trzymajcie za drugi i pośrodku. Powtarzam, nie wolno skrzywdzić dzieciaka!

Ruszyli. Slaughter obejrzał się, sprawdzając czy dziennikarz słyszał jego słowa. Zobaczył, że Dunlap idzie za nimi.

- Zostań tutaj.
- Chcę wszystko widzieć.
- Nie mam czasu pilnować, żeby ci się nic nie stało.
- Nic się nie stanie.
- Pewnie, bo będziesz grzecznie czekał tu, na ganku.

Dunlap popatrzył bez słowa na komendanta. Stali tak przez moment w blasku reflektorów. Nagle Slaughter pomyślał, że przecież Dunlap to jego przyjaciel.

- W porządku, zaryzykuję - rzekł. - Ale jeśli tylko będziesz się nam plątał pod nogami, natychmiast wracasz na ganek.

- Zgoda. I dziękuję.

Slaughter przyjrzał mu się uważnie, po czym zwrócił się do Accuma, który podszedł do nich z torbą.

- Weź rękawiczki. Przydadzą ci się.
- Mnie też daj - poprosił dziennikarz.
- Ty masz się trzymać za naszymi plecami, więc nie będą ci potrzebne.

Szli obszernym holem w stronę krętych schodów, przy których czekali policjanci z rozpostartą siecią.

- Latarki w pogotowiu?

Skinęli głowami i włączyli latarki, kierując je na schody. Slaughter słyszał oddechy swoich ludzi, czuł zapach ich potu.

Co za idioci zarządzają tą rezydencją, że nie ma w niej elektryczności? Nie miał pojęcia.

- No, do roboty - rzekł.

Ich buty zaszurały o schody; trzymając przed sobą sieć, powoli zaczęli się wspinać w górę.

55

Czekało. Wdrapało się po schodach na ostatnie piętro. Z dołu dochodziły odgłosy kroków, szepty, snopy latarek omiatały ściany. Ludzie jeszcze byli daleko, ale wiedziało, że z

czasem dojdą i tutaj; syknęło gniewnie, rozglądając się za kryjówką. Ale nie zobaczyło - tak jak piętro niżej - drzwi prowadzących do licznych pokoi, a jedynie ogromne pomieszczenie ciągnące się przez całą długość budynku. Nie rozumiało, dlaczego nie ma tu pokoi, choć jak przez mgłę pamiętało, że kiedyś matka tłumaczyła mu, do czego służyło to piętro. Z każdego rogu wychodziły niewielkie występy; mogło się za nimi schować, ale podejrzewało, że od razu je tam znajdują. Potrzebowało czegoś innego. Nagle dojrzało znakomitą kryjówkę, z której w razie czego łatwo mogło rzucić się do ataku. Ruszyło w jej stronę, wpatrując się w zimny blask księżycy wpadający przez najbliższe okno i oświetlający pas wypolerowanej podłogi. Zawyło; nie mogło się powstrzymać, nie było w stanie opanować odruchu; przysiadło, z głową zadartą wysoko do góry, i wyło długo i przeciągle, czując w gardle bolesny ucisk. Zaspokoiwszy potrzebę, pomknęło ku kryjówce. Panował w niej upragniony, dający ulgę mrok. Poczulo się bezpieczne i zamknęło oczy, żeby odpocząły po wpatrywaniu się w zimne, blade światło sączące się z zewnątrz. Oddychało szybko i nerwowo, mimo że mroczna kryjówka działała na nie kojąco. Oblizało wargi, czując na języku niewielkie skrzepy zaschniętej krwi. Przywykło już do jej słonawego smaku; chciało więcej. Ale krew była cieżką; ta myśl sprawiła, że dostało mdłości. Znów zaczęło wyć.

56

Zatrzymali się na schodach na pierwszym piętrze.

- Wdrapał się wyżej.

- Może - rzekł Slaughter.

- Sam słyszałeś, skąd dobiega wycie.

- Tak, ale może oprócz dzieciaka w domu jest również pies. Trzymajmy się planu. Ty, Gordon, skoro tak bardzo chciałeś nam towarzyszyć, świeć latarką w górę. Jeśli dostrzeżesz jakiś ruch, natychmiast wołaj.

- O to się nie martw. Jak tylko coś zobaczę, zacznę się tak wydzierać, że uszy wam spuchną.

Slaughter spojrzał na niego uważnie.

- Żałujesz, że przyszedłeś?

- Skądże!

- Bardzo ci musi zależeć na tym artykule.

- Fakt.

Slaughter zobaczył, że snop światła z latarki dziennikarza chybotze się.

- Wóda czy nerwy?

- Sam nie wiem.

Slaughter wyjął mu latarkę z dłoni.

- Przepraszam, ale to jest zbyt ważne. Masz. - Wręczył ją Accumowi. - Świeć nią tak jak Gordon, tylko trzymaj ją mocno. Nie gniewasz się? - spytał dziennikarza.

Dunlap wzruszył ramionami. Slaughter nie miał czasu dopytywać, czy go uraził. Zwrócił się do podwładnych:

- Dobra, pójdziemy korytarzem i sprawdzimy kolejno wszystkie pokoje. Nie sądzę, żebyśmy go znaleźli na tym piętrze, ale wolę się upewnić.

Trzymając przed sobą rozpostartą sieć, ruszyli mrocznym korytarzem. Kiedy dotarli do pierwszej pary drzwi, po lewej i po prawej stronie, zatrzymali się i spojrzeli na Slaughtera.

- Sprawdźcie pokój po lewej. Ja zostanę na korytarzu i będę pilnował drzwi po prawej.

Wstrzymując oddech, weszli powoli do środka. Ale nie znaleźli nic. Oświetlali latarkami kąty, wnętrza szaf, zaglądali pod stare łóżka z baldachimem i moskitierą... Bez skutku. Wyszli i w ten sam sposób zaczęli sprawdzać pozostałe pokoje na piętrze. Kilka sypialni, pokój dziecinny oraz gabinet pana domu, urządzone tak jak przed stu laty: na ścianach wisiała broń, mapy i dagerotypy, a przy biurku stał fotel, który wyglądał, jakby stary Baynard przed chwilą z niego wstał. W środku jednak nie było nikogo poza nimi. Wyszli na korytarz i wrócili tam, gdzie czekał Accum z latarką skierowaną w górę schodów.

- Teraz już wiemy, że dzieciak jest na drugim piętrze - powiedział Slaughter.

Policjanci ustawili się z siecią przy schodach i zaczęli się wspinać. Snopy światła z ich laterek krzyżowały się pod najdziwniejszymi kątami na ścianach i suficie. Szli z ociąganiem, jakby się bali, że lada moment niewielki chłopiec rzuci się na nich z furją, ale bez przygód dotarli na drugie piętro i oświetlili obszerne pomieszczenie.

- Co tu było? - spytał Slaughter; jego głos zadudnił w pustej sali.

- Nigdy pan nie zwiedzał rezydencji? - zdziwił się Rettig.

- Zamierzałem, ale zawsze brakowało mi czasu.

- Sala balowa - wyjaśnił Rettig. - Żona Baynarda pochodziła z południa. Nie podobali jej się tutejsi ludzie i ich obyczaje. Była przyzwyczajona do balów, przyjęć, bankietów. Baynard kazał zbudować taki dom, żeby czuła się w nim jak w rodzinnych stronach. Sala balowa była ukoronowaniem całości. Przynajmniej raz w miesiącu Baynard wydawał wielkie przyjęcie. Bywali u niego co bogatsi ranczerzy z całej okolicy, wpływowi obywatele

miasteczka, a także kongresmani i senatorzy. Ci ostatni przyjeżdżali koleją na jego koszt, a na stację wysyłał po nich powóz. Sprowadzał nawet orkiestrę z Denver. Goście ucztowali, tańczyli, a także...

- Co także? - spytał Slaughter, rozglądając się po ciemnym pomieszczeniu, oświetlonym tylko blaskiem latarek; poczuł skurcz żołądka.

- Opowiadał mi o tym dziad ze strony ojca, nie wiem, czy to prawda. Mówił, że na tych przyjęciach dochodziło do różnych ekscesów.

- To znaczy?

- Widzi pan ten balkon na końcu? - Głos Rettiga zadudnił głucho. - Tam właśnie grała orkiestra. Muzycy siedzieli za tą grubą balustradą, żeby nie podglądali, co się dzieje na sali. Widzi pan w rogach i na środku ścian te niby występy, niby przepierzenia?

- Dodatkowe wsporniki?

- Zgadza się. A widzi pan przy nich te miękkie ławeczki?

- Tak.

- Wiec może to tylko plotki, ale mój dziad twierdził, że na przyjęciach zamieniano się żonami, po czym pary udawały się właśnie za te wsporniki. Podobno znajdowały się tam zamaskowane drzwi prowadzące do ukrytych pokoi, w których goście mogli się zabawiać do woli.

- Naprawdę tak było?

- Dziadka ani razu nie zaproszono na przyjęcie, więc tylko powtarzał plotki. A ukrytych drzwi nigdy nie znaleziono.

- Czyli to jednak plotki. Bo prędzej czy później ktoś z bywalców wypaplałby prawdę.

- Już by go więcej nie zaprosili.

- Czy żona Baynarda pozwalałaby na takie rzeczy? Myślałem, że to dama z południa.

- Miała jak najgorszą opinię. To raczej Baynard musiał przymykać oczy, żeby ją przy sobie zatrzymać. Potem wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Żona poznała faceta, który odpowiadał jej pod każdym względem. Niektórzy powiadali, że z nim uciekła. Inni, że Baynard ją zabił. Ale nie znaleziono ciała.

- Więc pewnie straszy tu po nocach, co? Bardzo ładnie, że nas uraczyłeś tą historią, ale teraz skup się na tym, co mamy robić. Gordon, zostań tu z doktorem Accumem. Zaczniemy od tego końca sali. Gdyby chłopcu udało się prześlizgnąć między nami, krzyczcie głośno. Gotowi?

Kiwając głowami, policjanci ruszyli wolno, żeby przeszukać róg po prawej stronie. Zajrzeli za wspornik i obstukali boazerię w nadziei, że trafią na ukryte drzwi. Potem przeszli

do kolejnego rogu, a następnie posuwali się wzdłuż ściany na drugi koniec sali.

- Na razie nic, ale zostały jeszcze do sprawdzenia dwa rogi i balkon. Wkrótce złapiemy dzieciaka. Tylko, na miłość boską, bądźcie ostrożni.

Nie znaleźli go jednak ani w jednym, ani w drugim rogu po przeciwnej stronie sali.

- Dobra, musi być na balkonie.

Ruszyli w górę po wąskich schodach. Było za ciasno, by mogli pomieścić się obok siebie w czwórce. Widząc to, Slaughter zatrzymał ich.

- Poczekajcie.

Przystanęli, wdzięczni za moment zwłoki.

- Rettig, trzymaj się z tyłu. Wy trzej idźcie przodem.

Rettig odetchnął z ulgą. Pozostali trzej popatrzyli z napięciem do góry, oświetlając sobie drogę latarkami.

- A może ukrył się na belkach stropu?

Obrócili głowy w stronę sali balowej.

- Jak by się tam wdrapał?

I gdy tak stali, spoglądając za siebie, zaczęło się. Z góry rzuciła się ku nim wściekła warcząca postać. Zanim ją ujrzeli i zastawili jej drogę, przeleciała obok nich i z rozpędu walnęła Rettiga w pierś; policjant upadł pod jej ciężarem i stoczył się ze schodów na posadzkę sali balowej. Pozostali policjanci odskoczyli z krzykiem; dwóch się przewróciło. Slaughter słyszał ryk Rettiga i zwierzęce warczenie; kiedy Rettigowi udało się podnieść, komendant ujrział wczepioną w niego postać. A potem zobaczył, że policjant z uciepionym do szyi ciężarem nie jest w stanie utrzymać równowagi; zatoczył się i huknął plecami w najbliższe przepierzenie. Boazeria pękła z głośnym trzaskiem.

- Gdzie on jest?! Gdzie?! - krzyczeli policjanci z siecią.

- Tu, tu! - wrzeszczał Rettig. - Mam go!

Kierując snopy światła na miękką ławkę obok przepierzenia, zobaczyli, że Rettig leży na niej i mocije się z niewielką, wczepioną w niego sylwetką. Zaczęli przymierzać się do zarzucenia sieci.

- Chryste, ściągnijcie go ze mnie! - krzyknął Rettig i z taką siłą walnął napastnika kolanem, że zrzucił go z siebie.

Warcząca postać spadła na podłogę. Policjanci błyskawicznie zarzucili sieć. Wreszcie go mieli. Szamotał się, wymachiwał rękami, kopał, ale z każdym ruchem zaplątywał się coraz bardziej. Slaughter przepchnął się przez swoich ludzi i zobaczył, że przekręcają chłopca na brzuch, a potem znów na plecy, żeby owinąć go siecią. Teraz malec nie mógł się z niej

wydostać. Bezsilny, gryzł zębami sznur i starał się kasać policjantów, kiedy zbliżali ręce do jego twarzy.

Slaughter wyprostował się. Obok siebie zobaczył Accuma. Lekarz postawił na ziemi torbę i szybkim ruchem wyjął z niej strzykawkę.

- Trzymajcie mocno!

- Bez obawy, na pewno go nie puścimy.

Accum wyjął ampułkę, wbił w nią igłę i pociągnął dok, żeby napęlić zbiornik strzykawki. W świetle latarki podniósł strzykawkę igłą do góry i wcisnął tłok, aż z igły trysnął płyn.

- Podciągnijcie mu rękaw - powiedział do Slaughtera.

- Żartujesz chyba. Jak?! Przecież jest ciasno owinięty siecią!

- No to oderwijcie kawałek koszuli. Muszę widzieć, gdzie wbijam igłę.

Slaughter wsunął palce przez otwory sieci i rozerwał chłopcu rękaw. Zrobił to pośpiesznie, w obawie, że dzieciak zdoła go jakoś ugryźć.

Accum przetarł skórę wacikiem umoczonego w spirytusie i pochylając się niżej, wbił igłę.

Kiedy wciskał tłok, rozległ się głośny skowyt. Lekarz wyprostował się.

- Za chwilę się uspokoi.

- Co to za cegły? - spytał ktoś.

Slaughter obrócił się. Zbyt wiele działo się równocześnie.

- O czym ty...

Spojrzał tam, gdzie Rettig huknął plecami w boazerię. W miejscu, gdzie pękła, zobaczył w blasku latarki cegły. Rettig wciąż siedział pochylony na miękkiej ławeczce, trzymając się za szyję.

- Nic ci nie jest? Ugryzł cię?

Rettig obmacał się. Nabrał powietrza, charknął, przełknął linę, znów nabrał powietrza. Potrząsnął głową, ocierając rękawem usta.

- Nie, tylko mi od tego upadku zaparło dech. - Spróbował wstać, ale zabrakło mu sił i ponownie opadł na ławkę. Zaraz mi przejdzie. O jakie cegły chodzi?

- Te za tobą.

Rettig, wciąż oddychając z trudem, obrócił głowę.

- Nie wiem, skąd się wzięły. - Znów przełknął. - Tu nie powinno być żadnych cegieł.

Kiedy wcześniej obstukiwałem tomiejsce, dźwięk wydał mi się trochę inny, jakby wspornik był solidniejszy od pozostałych.

- I co z tego? - spytał ktoś.

- Teraz wiemy, gdzie się podziała żona Baynarda.

Wszyscy zamilkli.

Slaughter zorientował się, że Dunlap stoi obok niego. Patrzyli obaj na chłopca, który leżał na posadzce, owinięty w sieć. Już się nie miotał.

- Taki mały dzieciak, a tyle z nim kłopotów. Cholera, jakoś nie zdawałem sobie sprawy, że będzie taki mały.

Przez chwilę przyglądali się chłopcu.

- Trzeba jak najszybciej zawieźć go do szpitala - powiedział Accum. - Ty, Nathan, i pan, panie Rettig, też przyjeźdźcie. Muszę was sobie dobrze obejrzeć.

- Nawet mnie nie dotknął - zaprotestował Slaughter.

- Zapomniałeś o zajściu z kotem? Jeśli ten wirus działa jak wirus wścieklizny, najwyższy czas zacząć serię zastrzyków. Panu, panie Rettig, może się upiec, jeśli nie został pan ugryziony.

- Ale kot mnie nie ugryzł, tylko podrapał! - bronił się komendant.

- Chcesz ryzykować?

Slaughter potrząsnął głową; nie chciał.

- No właśnie. Ale nie przejmuj się, nie ty jeden będziesz kluty. Ja też.

- Przecież ciebie nic nie ugryzło!

- Wiem, ale ta rozbita warga trochę mnie niepokoi. Wolę nie ryzykować. Panowie, chłopiec już nic wam nie zrobi. Możecie go stąd zabrać, tylko nie zbliżajcie rąk do jego twarzy.

Policjanci popatrzyli na Slaughtera, który skinął głową. Jeden z nich wziął chłopca za nogi, drugi za ramiona, i podnieśli go z posadzki.

- Chryste, prawie nic nie waży.

- Mówiłem: taki mały dzieciak, a tyle z nim kłopotów. Aż mi się...

Czując niesmak i pustkę w środku, Slaughter patrzył, jak niosą chłopca w kierunku schodów.

- Unieś koniec sieci, zanim ktoś się przewróci - powiedział do najmłodszego z policjantów i podążył za nimi.

Oświetlając drogę latarką, schodził za nimi po schodach. Wkrótce znaleźli się na pierwszym piętrze i ruszyli dalej na parter. Slaughtera dobiegł warkot włączonych silników radiowozów, a po chwili przez otwarte drzwi uderzył go blask reflektorów; w ich świetle ujrzął rodziców chłopca i kobietę z Towarzystwa Historycznego, którzy stali obok policjanta.

- Chwileczkę - powiedział jeden z niosących, zmieniając uchwyt na ramieniu chłopca.
- W porządku, już trzymam.

Doszli do końca schodów i skierowali się holem do wyjścia.

- Rettig, powiedz tej pani z Towarzystwa Historycznego, co odkryliśmy na górze.
Chociaż te cegły jeszcze o niczym nie świadczą.

- A właśnie, że świadczą.

- Wszystko jedno. I przepraszam, że uszkodziliśmy boazerię.

Kiedy znaleźli się na ganku, podbiegli do nich rodzice chłopca.

- Co mu jest?!

- Nic, zrobiłem dziecku zastrzyk uspokajający - wyjaśnił Accum. - Właściwie to mały miał szczęście. Ale niech się państwo do niego nie zbliżają, nie chcę, żebyście się zarazili. Mogą go państwo odwiedzić w szpitalu.

Nie dawali się przekonać.

- To zwykła ostrożność - wtrącił Slaughter. - Nie bardzo wiemy, z czym mamy do czynienia. Umieście go w moim wozie, na tylnym siedzeniu - polecił policjantom.

- Najpierw rozłóżcie koc - poradził Accum. - Spalimy go w szpitalu.

- Aż tak trzeba uważać?

Accum popatrzył na komendanta bez słowa.

- Mam koc w samochodzie, zaraz przyniosę - powiedział ojciec chłopca.

- Świetnie. Znakomicie. Przyda nam się pańska pomoc.

Podeszli do radiowozu. Slaughter otworzył tylne drzwi, a ojciec, który zdążył przybiec z powrotem, ułożył koc na siedzeniu.

- Dziękuję - powiedział Slaughter. - Wiem, jakie to musi być dla pana ciężkie... Jakie ciężkie dla obojga państwa - poprawił się, spoglądając na matkę chłopca, która stała zapłakana przy radiowozie.

Wsunęli chłopca na tylne siedzenie. Accum zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Przez dłuższy czas tkwił tak, pochylony nad chłopcem. Kiedy wreszcie cofnął głowę, Slaughter - mimo że przy wozie było ciemno - spostrzegł, że twarz lekarza jest potwornie blada.

- Musimy pomówić.

- Co się stało?

- Chodźmy na bok.

Slaughter patrzył zdziwiony, jak lekarz odchodzi w stronę drzew. W końcu, zaintrygowany, ruszył za nim.

- Co się stało? - powtórzył.

- Ja... go zabiłem.

- Co?!

- Powinienem być skojarzyć. - Accum otarł twarz z potu.

- Na miłość boską, gadaj po ludzku!

- Dałem mu środek uspokajający. Powinienem być skojarzyć jedno z drugim! Ta suka, którą znalazłem... Wezwałem do niej weterynarza i on też od razu zrobił jej zastrzyk.

- Co z tego?

- Pies był już sparalizowany. Ten zastrzyk wystarczył, żeby go uśmiercić. Chłopiec też przestał oddychać!

- Rany boskie!

- Teraz rozumiesz? Nie bardzo wiem, jak ten wirus działa, ale wiem już, że jest bardzo szybki. Chłopiec pewnie był o krok od paraliżu. Zastrzyk wszystko przyspieszył. Zwolnił przemianę materii do tego stopnia, że nastąpiła śmierć!

- Nie możesz...

- A właśnie, że mogę, do cholery! Powinienem być o tym pomyśleć! Zabiłem go! - zawołał lekarz ochrypłym głosem.

Oczy miał zaciśnięte i dygotał na całym ciele. Slaughter spojrzał w stronę radiowozu i zobaczył, że ojciec chłopca zagląda na tylne siedzenie.

- Nie widzę... Coś jest nie tak! - krzyknął mężczyzna.

Slaughter patrzył na płaczącą kobietę, na jej męża, który wskoczył do samochodu. Ogarnął wzrokiem swoich podwładnych, radiowozy, rezydencję oświetloną blaskiem reflektorów. Zobaczył, jak kobieta, z którą rozmawiał Rettig, biegnie do budynku. Obok siebie miał trzęsącego się jak osika Accum. Świadom, że wysoko na niebie świeci księżyc, poczuł, że świat zaczyna mu się walić. Nagle coś w parku na dole zawyło do księżyca. Dunlap stał z boku i robił zdjęcia. Slaughter nie miał nawet siły się na niego zdenerwować. Flesz dziennikarza raz po raz przemieniał noc w dzień.

CZEŚĆ DRUGA

57

Slaughter był pijany. Wrócił do domu dopiero o pierwszej, po czym wyszedł na moment, żeby sprawdzić, czy z końmi wszystko w porządku. Potem, stojąc na oświetlonej werandzie, popatrzył na pojemnik z ciepłą wodą i na puste puszki po piwie. Nie miał czasu ich rano sprzątnąć. Za wiele się działo. Teraz też ich nie sprzątnął, tylko zerknął na ciemne niebo, po czym wszedł do środka i zapalił światło, minął pojemnik stojący na podłodze w kuchni i sięgnął do szafki, w której trzymał whisky. Na ogół nie pijał mocnych trunków, ale ta noc była wyjątkowa, Chryste Panie, naprawdę wyjątkowa, więc nawet nie chciał się trudzić wyjmowaniem szklanki. Wiedział jednak, że picie prosto z butelki byłoby nadmiernym uleganiem słabości; musiał narzucić sobie jakieś granice. Wziął więc nie tylko butelkę, ale i szklankę, po czym wyciągnął z zamrażalnika kilka kostek lodu, napełnił szklankę po brzegi i w trzech szybkich haustach wypił jedną trzecią zawartości.

Poczuł się, jakby ktoś zdzielił go obuchem. Oparł ręce o zlew i pochylił się nad nim; krztusząc się, czekał, aż trunek ułoży mu się jakoś w żołądku. Czując, jak skręcają mu się kiszki, zdał sobie sprawę, że od rana nic nie jadł; nie zdziwiłby się, gdyby zaraz zwymiotował. Wkrótce jednak skurcze minęły i mógł swobodnie oddychać, jedynie silny dreszcz wstrząsał raz po raz jego ciałem, jakby w ten sposób organizm chciał się uwolnić od palenia w trzewiach.

Przez chwilę stał oparty o zlew. Potem dolał sobie wody do szklanki i ruszył do pogrążonego w półcieniu salonu. Wcześniej usiłował się porozumieć z Marge, ale nie zastał jej ani na posterunku, ani w domu. Miał ochotę zadzwonić jeszcze raz, ale było za późno: nie chciał jej budzić. Czuł jednak potrzebę, żeby z kimś porozmawiać. Przed oczami wciąż miał obraz zapłakanej matki chłopca i jego ojca, który też płakał i przeklinał policjantów, w kółko powtarzając, że uprzedzał ich, że to małe dziecko, więc muszą uważać, by nie wyrządzić mu krzywdy. Najgorsza była szamotanina z ojcem.

- Proszę go nie ruszać!

- Ale to mój syn!

- Nic mnie to nie obchodzi! Może się pan od niego zarazić! Pańska żona już pewnie jest zakażona po tym ugryzieniu!

Dwóch policjantów musiało wreszcie siłą odciągnąć ojca od tylnego siedzenia radiowozu. A Dunlap przez cały czas robił zdjęcia. Chryste, co za paskudny wieczór. Kiedy wreszcie Slaughter zebrał się, żeby pogadać z Dunlapem, dziennikarza nigdzie nie było. Dawny przyjaciel wiedział, kiedy się zmyć - bał się, że komendant skonfiskuje mu film. Slaughter sam nie wiedział, czy wyrwałby dziennikarzowi z rąk aparat, ale był do tego stopnia przerażony i zdenerwowany tym, co się stało, że prawdopodobnie tak by postąpił. Może więc dobrze, że Dunlap odszedł i że nie mógł wyładować na nim złości. Zresztą, niewiele się już wtedy działo. Rodziców chłopca odwieziono do domu, Accum pojechał z ciałem do kostnicy, a policjanci zamykali posiadłość na noc; dopiero rano mieli się zjawić, żeby obejrzyć cegły za boazerią. Slaughter stał samotnie w mroku przy radiowozie, patrząc na rezydencję, kiedy gdzieś z dołu, z parku, znów doleciało go wycie; pomijając strach, był zbyt zmęczony i zniechęcony tym wszystkim, żeby zejść na dół i sprawdzić teren. Jak na jeden wieczór miał dość wrażeń, a czuł, że jeszcze wiele się zdarzy, zanim w mieście zapanuje spokój. Na razie pragnął tylko odpocząć i napić się, żeby zapomnieć o całej sprawie.

Ale nie mógł wypić za dużo, bo rano czekało go kilka rozmów. Z Dunlapem, Parsonsem, Accumem, z radą miejską. Bóg wie, z kim jeszcze. Ciekaw był, jak sobie poradzi. Nie miał wątpliwości, że rada miejska zażąda, by podał się do dymisji. Accum pewnie też straci pracę. Cholera, mniejsza o pracę; Accumowi mogą nawet zakazać wykonywania zawodu! Uznają ich obu winnymi, zarzucą im niedbalstwo, niedopatrzenie obowiązków służbowych. Ojciec chłopca zapewne wystąpi do sądu, będzie się domagał odszkodowania.

Accum odjechał ze zwłokami. Slaughter żałował, że mu na to pozwolił.

- Zrozum, muszę wiedzieć! - błagał go przyjaciel.

Zresztą, czy mogło to teraz zaszkodzić? Przecież chłopiec i tak nie żył. I nie było czasu, żeby ściągnąć innego specjalistę, który by wykonał sekcję. Musieli jak najprędzej zdobyć informacje o wirusie.

Sącząc whisky, pomyślał z nadzieją, że może Accum odkryje, iż przyczyną zgonu było coś innego, niż zaaplikowany przez niego środek uspokajający.

Ale czy rada miejska uwierzy Accumowi?

Albo ja - pomyślał. Czy ja uwierzę? Czy ufam mu do tego stopnia?

Tak - odpowiedział sam sobie.

W tym momencie zadzwonił telefon. Sięgając po słuchawkę miał nadzieję, że to Marge.

- Tak, słucham?

Nikt się nie odezwał.

- Tak, słucham? - powtórzył, ale nie usłyszał żadnego dźwięku; przemknęło mu przez myśl, że może dzwoni Accum lub ojciec dziecka. - Jest tam kto?

Popatrzył na słuchawkę i wreszcie odłożył ją na widełki. Zresztą nawet gdyby ktoś się odezwał, musiałby przerwać rozmowę, bo od pastwiska przy stodole dobiegły go odgłosy koni. Przez siatkę w otwartym oknie słyszał ich rzenie, prychanie i szybki, nerwowy stukot kopyt. Odstawił szklanke i podniósł się z fotela. Od wypitego alkoholu zakręciło mu się w głowie; musiał chwilę odczekać, zanim ruszył do drzwi. Wchodząc do domu zgasił światło na werandzie, więc teraz ponownie je zapalił, rozejrzał się i zszedł po schodkach, kierując się w lewo, do stodoły. Coś było nie tak; przez chwilę nie wiedział co, po czym nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy żadnych owadów, nawet świerszczy, od których zawsze roiło się krzakach i trawie. A przecież cykały, kiedy podjechał radiowozem, i później, kiedy poszedł zajrzeć do koni.

A teraz panowała głucha cisza, przerywana tylko nerwowym rzeniem koni. Żałował, że nie wziął z domu strzelby; na szczęście miał w kaburze rewolwer i wiedział, że jeśli uda mu się cokolwiek dojrzeć w mroku, odległość będzie tak niewielka, że z rewolweru też nie spudłuje. Ale pewnie nic nie zobaczy. Konie czasami zachowywały się w ten sposób, jeśli czuły obecność węża albo słyszały kojota czy inne zwierzę skradające się brzegiem parowu za stodołą. Często wystarczyło przemówić do nich spokojnym tonem albo oświetlić krzaki latarką i przepędzić intruza. Ale że pił, zapomniał również latarki; może w tym stanie w ogóle nie powinien był wychodzić. Biorąc pod uwagę to, co działo się w ostatnim czasie, konie prawdopodobnie nie zachowywały się tak nerwowo bez powodu.

Mimo że księżyc świecił jasno, Slaughter otworzył drzwi i zapalił wszystkie światła stodoły. Zarówno od frontu, jak i z tyłu budynku znajdowały się lampy: oświetlały skraj parowu, pastwisko obok stodoły i drogę do domu. Mrużąc oczy, komendant popatrzył na konie: galopowały na prawo, a potem z rzeniem zawracały w lewo. Właściwie biegały w kółko, tak jakby z obu stron wyczuwały zagrożenie; chociaż były kilka metrów od płotu, przy którym stał, widział ich przerażone spojrzenia i rozedrgane chrapy.

- Co u licha...?

Nie zdawał sobie sprawy, że zaklął głośno, i dźwięk własnych słów, w połączeniu z nerwowym rzeniem koni sprawił, że o mało nie podskoczył. Jeszcze nigdy nie widział, żeby jego wierzchowce zachowywały się w ten sposób. Jeżeli coś im przeszkadzało, zawsze chwilę prychały, ale potem przenosiły się na inną część pastwiska i znów spokojnie skubały trawę. Teraz jednak oba zdradzały oznaki paniki: prychały, rzucały łbami, galopowały w kółko jak oszalałe. Zamierzał przejść przez płot i je uspokoić, kiedy nagle przyszło mu do głowy, że

mogą być zarażone. Nagła zmiana zachowania... Tak, to mógł być objaw. Nie chciał ryzykować.

Ale jakie miał wyjście? A może po prostu zdenerwowała je obecność jakiegoś zwierzęcia? Miał nadzieję, że tak. Kochał oba konie; byłoby straszne, gdyby musiał je zastrzelić. Na co czekasz - ponaglił sam siebie. Świadom, że jego niechęć wynika z lęku, jaki wzbudziły w nim wydarzenia ostatnich dwóch dni, wziął głęboki oddech, wyciągnął broń z kabury i ruszył wzdłuż płotu w stronę parowu.

Silne lampy oświetlały teren na odległość pięćdziesięciu metrów od stodoły. Slaughter widział wyraźnie czerwoną glinę, krzaki rosnące na skraju parowu oraz drzewa po jego drugiej stronie. Obejrzał się w obawie, że coś mogło zacząć się za stodołą, i dopiero gdy się przekonał, że nic nie rzuci się na niego od tyłu, ruszył wolno do krzaków.

Na dnie parowu nie było nic oprócz czerwonej gliny oraz głazów i gałęzi, które sam tam wrzucił, żeby zapobiec erozji. A mimo to czuł, że coś tam jest. Konie na polu nadal prychały i biegały nerwowo; nie bardzo wiedział, co robić. Gdyby to była zwyczajna letnia noc, nie wahałby się przed zejściem na dno i wdrapaniem się na przeciwległy brzeg, żeby sprawdzić krzaki. Bo niby co takiego mogło mu się przytrafić? Ale teraz patrzył na wszystko inaczej. Każde żywe stworzenie było podejrzane. Miał jednak przed oczami swoje przerażone konie; nie mógł znieść myśli, że cierpią, musiał im jakoś ulżyć, więc ruszył na dół i nagle usłyszał trzask gałęzi. Rozległ się na lewo, w krzakach po drugiej stronie, gdzie nie docierał już blask lamp. Slaughter wdrapał się z powrotem na brzeg parowu i zmrużył oczy, żeby przebić wzrokiem ciemności. Odciągnął kurek rewolweru; nie wiedział, czy zwierzę, pod którego łapą trzasnęła gałąź, podeszło bliżej, czy się wycofywało. Po chwili znów usłyszał trzask, jeszcze bardziej na lewo, i przez moment czuł ulgę, że zwierzę się oddała. Ale potem usłyszał kolejne trzaski: jeden w tym samym miejscu co poprzednio, a drugi bardziej na lewo, i zrozumiał, że w krzakach jest więcej zwierząt. Zamarł; musiał walczyć ze sobą, żeby nie rzucić się do ucieczki, tak jak jego konie. Opanuj się. To tylko kojoty. Tak? To dlaczego, do cholery, wstrzymujesz oddech? Kiedy znów usłyszał trzask, w dodatku jeszcze bliżej, zareagował instynktownie: strzelił. Przez ułamek sekundy widział chudy, pokryty sierścią kształt, który czmychnął w krzaki. Potem mignął mu drugi, trzeci; kiedy coś włochatego przemknęło nagle o metr od niego, z wrażenia chyba krzyknął, ale sam nie był pewien. Usłyszał jakiś hałas z dna parowu, inny zza stodoły, i rzucił się biegiem wzdłuż płotu, gnając co sił w nogach do domu. Przez chwilę konie galopowały obok niego po drugiej stronie ogrodzenia, po czym nagle skrzyły na środek pastwiska.

Slaughter pędził dalej, wciąż słysząc za sobą hałasy. Nie oglądał się, tylko pruł przed

siebie, choć serce waliło mu jak młot; wreszcie doleciał do domu, zatrzasnął drzwi i zamknął je na zasuwę. Pobiegł przez salon do kuchni i tam też zamknął drzwi; następnie pozamykał wszystkie okna, zaciągnął zasłony, a potem, z trudem łapiąc oddech, chwycił za telefon.

- Halo? Kto...

- Rettig, obudź się. Mówi Slaughter. Weź Hammela i przyjeżdżajcie tutaj.

- To pan, szefie? Co się... Która godzina?

- Rettig, nie zadawaj głupich pytań, tylko się zbieraj i przyjeżdżaj!

- Na posterunek?

- Nie, do mnie do domu. Pospiesz się! Potrzebuję pomocy.

Odłożył słuchawkę. Nie mógł znieść coraz głośniejszego rżenia koni. Podszedł do okna wychodzącego na pole i podciągnął zasłonę, żeby sprawdzić, czy nic im się nie dzieje. Ale zanim wyrzął przez okno, zadzwonił telefon; przez chwilę stał bez ruchu, z ręką na zasłonie, patrząc na aparat. To pewnie Rettig, niech go cholera. Dlaczego po prostu nie przyjeżdża? Przeszedł przez pokój i chwycił słuchawkę.

- Rettig? Wskakuj do wozu i przyjeżdżaj! - ryknął. - Na co jeszcze czekasz?

Ale w słuchawce panowała martwa cisza.

- Co to za wygłupy?! - wrzasnął, a że nikt nie odpowiedział, cisnął słuchawkę na widelki.

I w tej samej chwili dobiegło go z werandy jakieś drapanie. Raptem zdał sobie sprawę, że rzy tylko jeden koń. Obrócił się twarzą do drzwi wejściowych, trzymając w pogotowiu rewolwer. Zerknął w stronę odsłoniętego okna, ale nic nie zobaczył. I rżenia też już nie słyszał. Podbiegł do okna przy drzwiach, żeby je odsłonić i wyjrzeć na zewnątrz. Drapanie ucichło. Slaughter stał nasłuchując, ale dokoła panowała głucha cisza.

58

Dunlap odłożył słuchawkę. Był w pokoju hotelowym; siedział za biurkiem nad notatkami, przed nim leżał aparat fotograficzny i magnetofon. Kończyły mu się papierosy. Popatrzył na półlitrową butelkę whisky, którą zostawił rano. Cierpiał katusze, ale dotąd nie złamał danej sobie obietnicy, że nie będzie więcej pił. Oczywiście, obiecywał to sobie setki razy, ale teraz zamierzał wytrwać. Wrócił do hotelu pieszo. Zobaczył, jak sprzed rezydencji odjeżdżają rodzice chłopca, a potem lekarz sądowy ze zwłokami, i zdał sobie sprawę, że

Slaughter zaraz będzie chciał z nim odbyć zasadniczą rozmowę. Bo on, Dunlap, widział za dużo. W dodatku zrobił mnóstwo zdjęć: zrozpaczonych rodziców, zwłok, lekarza sadowego, któremu wina tak wyraźnie malowała się na twarzy, że można by go skazać na podstawie samego zdjęcia. Dziennikarz orientował się, że nadużył przyjaźni łączącej go z komendantem, wiedział, że Slaughter czuje się zagrożony i wykorzystany; dlatego właśnie oddalił się pośpiesznie. Tak znakomitego materiału nie miał od wielu, wielu lat - od czasu poprzedniego pobytu w Potter's Field. Jeśli sytuacja się pogorszy, co jego zdaniem było nieuniknione, będzie to materiał na jeden z dziesięciu najlepszych reportaży roku - dlatego wołał nie ryzykować. Biegł przez całą drogę do hotelu. Trzęsącymi się palcami wyjął z aparatu film i zaczął się rozglądać za miejscem, gdzie mógłby go ukryć. Wszystkie kryjówki w pokoju wydały mu się zbyt oczywiste. Wyszedł na korytarz i wsunął rolkę filmu za obraz na ścianie. Za innym schował kasety, którą wyjął z magnetofonu. Miał na niej nagrane głosy wszystkich uczestników akcji - od chwili, kiedy wszedł za policjantami na salę balową, aż do momentu, kiedy zrozpaczeni rodzice oskarżyli lekarza o zabójstwo ich syna. Tak, wszystko było nagrane, wszystko sfotografowane, i nie zamierzał oddać nikomu tak cennych materiałów. Slaughter pewnie się zjawi, żeby mu je zabrać; nic z tego!

Wrócił do pokoju, zamknął drzwi na zasuwę, i wtedy jego wzrok padł na butelkę whisky. Podszedł do niej i zdjął nakrętkę, po czym zawahał się. Nie, właśnie przez picie wyładował w tej dziurze. Przez picie zniszczył wszystkie swoje szanse. Ale tej nie zniszczy, tę wykorzysta w pełni. Od rana nie wziął do ust ani kropli alkoholu; po raz pierwszy od lat wytrzymał tak długo. A skoro wytrzymał już tyle godzin, może pocierpieć jeszcze trochę. *Aby do rana, aby do rana...* Kiedyś była taka piosenka; przypomniał sobie jej melodię i nagle roześmiał się głośno. Wytrzymać jedną godzinę, potem drugą... Tak właśnie udaje się rzucić picie ludziom, którzy należą do Anonimowych Alkoholików, prawda? Przecież wytrzymam godzinę...

Znów się roześmiał, ale ręce mu drżały. Postawił butelkę przy telewizorze i wyszedł z pokoju do łazienki. Rozebrał się i wziął prysznic; pomogło. Gorące strugi wody spłukały z niego napięcie, ale wewnętrzności wciąż się skręcały i nadal miał ochotę sobie golnąć. Wiedział, że trunek może sprawić, że poczuje się jeszcze gorzej, ale i tak chciał go wlać w siebie. Alkohol nęcił go, a zarazem odstręczał. W końcu Dunlap włożył czyste ubranie. Nie wiedział dlaczego. Powinien pójść spać, ale naszła go ochota, żeby wybrać się na spacer. Usiadł jednak przy biurku i zabrał się za sporządzanie notatek, żeby na gorąco uzupełnić to, co zarejestrowały magnetofon i aparat. Palił i spisywał swoje wrażenia, chaotycznie, bez specjalnego porządku, po prostu przelewając na papier to, co kotłowało się w głowie. Ręka

tak bardzo mu drżała, że prawie nie był w stanie odczytać własnego pisma. Może powinien pociągnąć choć łyk? Żeby zlikwidować to drzenie, móc pisać normalnie... Nie. Odwrócił wzrok od butelki i pisał dalej, od czasu do czasu zapalając kolejnego papierosa.

Wreszcie uznał, że musi się przespać. Zgasił światło i wyciągnął się na łóżku. Czuł, że jego ciałem wstrząsają dreszcze, że wszystkie mięśnie ma napięte; skupił się i rozluźnił najpierw stopy, potem nogi, tułów, zbliżał się do głowy... Może był bardziej znużony niż sądził, a może takie powolne rozluźnianie mięśni było równie skuteczną metodą na zaśnięcie jak liczenie od miliona wstecz lub recytowanie w myślach bezsensownych wierszy, w każdym razie zapadł w sen, zanim doszedł do głowy. Obudził się zaledwie pół godziny później i z trudem pohamował krzyk. Kiedy zorientował się, że siedzi na łóżku, zlany potem, wstał i zapalił światło. Ujrzał owady wlatujące przez okno. Oparł się o ścianę i potarł czoło. Znów widział we śnie ten sam powtarzający się obraz, dziwną, półludzką, półzwierzęcą postać z jelenimi rogami, mającą w sobie coś z kota, wilka, diabli wiedzą z czego jeszcze. Groteskowa broda, skrzycone ciało, uniesione łapy, okrągłe ślepie wlepione w jego oczy... Obrzydliwa zjawa posiadała hipnotyczną, magiczną moc; miał wrażenie, że czeka na niego, przywołuje go do siebie i że kiedyś naprawdę ją zobaczy. Był przerażony snem, jego zagadkowością. Co się ze mną dzieje? Jeśli ta zmora nie przestanie mnie nawiedzać, skończę w szpitalu. I to nie w zwykłym szpitalu, ale dla wariatów. Coś trzeba zrobić.

Musiał z kimś porozmawiać, ale nie wiedział, do kogo mógłby zadzwonić. Wreszcie w książce telefonicznej znalazł Slaughtera. Zaczął wybierać numer. Trochę się bał tego, co usłyszy. Nie bardzo wiedział, w jaki sposób złagodzić niechęć, jaką Slaughter musiał do niego żywić. Kiedy rozległ się sygnał, miał ochotę się rozłączyć, ale komendant szybko podniósł słuchawkę.

- Tak, słucham?

Po chwili powtórzył to samo; Dunlap stał jak sparaliżowany, nie potrafiąc wydusić z siebie słowa.

- Jest tam kto? - spytał Slaughter.

Dunlap odłożył słuchawkę. Zachowałem się jak krety - pomyślał. Co się ze mną dzieje? Ale wiedział, dlaczego tak postąpił, choć nawet przed samym sobą nie chciał się do tego przyznać. Po prostu wstydził się tego, co zrobił; dręczyły go wyrzuty sumienia. I co zamierzasz? - zapytał się w myślach. Oddać mu taśmę i te znakomite zdjęcia? Zrezygnować z napisania artykułu? Nie, oczywiście, że nie. Więc zapamiętaj to sobie, do cholery. Jeśli nie chcesz być przegrany, daj sobie spokój z wyrzutami sumienia. To nie twoja wina, że dziecko umarło. Twoim zadaniem jest wszystko opisać. Jeśli chcesz się wstydzić, to się wstydź, ale

masz napisać artykuł i basta. Musisz oddzielić uczucia od pracy. Uczucia są luksusem, na który cię nie stać.

Wiedział, że ma rację, ale nadal wpatrywał się w telefon. Może zniszczył ich przyjaźń, ale mimo to musiał pogadać ze Slaughterem, który mógł mu całkowicie odciąć dostęp do informacji. Odczekał z dziesięć minut, zanim sięgnął po słuchawkę i znów wykrecił numer. Tym razem telefon dzwonił dłużej. Kiedy Slaughter wreszcie podniósł słuchawkę, był wyraźnie zły.

- Rettig? Wskakuj do wozu i przyjeżdżaj! Na co jeszcze czekasz?

Dunlap nie odezwał się.

- Co to za wyglupy?!

Dziennikarz odłożył słuchawkę. Nie mógł rozmawiać z komendantem, kiedy ten był taki wściekły. Odłożył to na rano. Przeglądając notatki, wypalił ostatniego papierosa, po czym zrobił coś, czego nigdy dotąd nie robił - nie robił, bo nie miał dość odwagi. Wciąż roztrzęsiony, mimo że zbudził się już jakiś czas temu, zaczął szkicować wpatrzoną w niego, skręconą postać, którą ciągle jeszcze miał przed oczami. Rysował niemal wbrew sobie, jakby coś go do tego zmuszało, jakaś siła, a on był tylko biernym narzędziem.

Kiedy skończył i spojrzał na szkic, miał wrażenie, że wciągają go w siebie ślepie, które narysował. Wpatrywał się w nie, nie mogąc odwrócić wzroku. Czuł, że do jego umysłu wsącza się jakiś mrok. Nie poddał się od razu. Walczył przez kilka minut - przynajmniej tyle miał na swoje usprawiedliwienie - ale opór malał, aż wreszcie całkiem znikł. I tak wytrzymałem bardzo długo, udowodniłem, że mogę wytrwać cały dzień - pomyślał, sięgając po butelkę.

59

Accum rozpostarł palcami rozbitą wargę i wbił w nią igłę. Zapieкло. Poza tym za szybko chyba wcisnął tłok, bo poczuł, jak warga raptownie pęcznieje. Całe szczęście, że wstrzymał oddech i nie nacisnął tłoku za wcześnie, bo wtedy prysnąłby sobie do ust, a ciecz na pewno miała ohydny smak. Była to surowica przeciwko wścieklicznie, wytworzona z krwi osób szczepionych przeciw tej chorobie. Miała pomóc jego organizmowi wytwarzać niezbędne przeciwciała, i w połączeniu z innym zastrzykiem, dawała mu największe szansę na zwalczenie zarazków; oczywiście pod warunkiem, że surowica w ogóle była skuteczna przeciwko temu wirusowi. Skrzywił się, wyciągając igłę. Odłożył strzykawkę, rozpiął i

spuścił spodnie, po czym sięgnął po drugą, którą przygotował wcześniej, i wbił ją sobie w pośladek. W niej również znajdowała się surowica przeciwko wściekliznie. Kolejny zastrzyk czekał go jutro o tej samej porze. Ale świadomość, że na dziś już koniec, nie była żadną pociechą, bo wiedział, że skoro już teraz krzywi się przy wyciąganiu strzykawki, to jutro będzie cierpiał o wiele bardziej. Zacznie się najgorsze: już nie zastrzyki z surowicy, lecz ten drugi rodzaj - szczepionka lecznicza przeciwko wściekliznie. Każdy, kto przechodził serię szczepień, pragnął zapomnieć o tym jak najprędzej. Wynaleziona przez Anglika nazwiskiem Semple szczepionka zawierała wirusy wścieklizny pobrane z mózgu chorych królików, myszy albo szczurów, i zabite następnie przez inkubację w kwasie karbolowym. Martwe komórki wspomagały proces immunologiczny. Chociaż same w sobie były nieszkodliwe, wytwarzały w ustroju odporność czynną i wzmagaly odrzucanie jeszcze nielicznych żywych wirusów wścieklizny. Problem polegał na tym, że nie wystarczał jeden zastrzyk preparatu. Potrzeba było co najmniej czternastu, a najlepiej dwudziestu jeden. Zastrzyki robiło się codziennie w tkankę tłuszczową brzucha. Ponieważ były tak bolesne, a tkanka stawała się coraz bardziej wrażliwa, za każdym razem wbijano igłę w trochę innym miejscu, posuwając się zgodnie ze wskazówkami zegara. Może ktoś potrafi znieść pierwsze pięć lub nawet dziesięć zastrzyków, ale pozostałym towarzyszy potworny ból, jakiego nie życzy się najgorszemu wrogowi.

Accum wiedział, że musi je wykonać. Miał bowiem kontakt - wprawdzie pośredni, przez jej właściciela - z chorą suką i jeśli się zaraził, to bez zastrzyków czekała go pewna śmierć. Istniały tylko dwa znane przypadki, kiedy chorym udało się przeżyć wściekliznę, choć nie do końca wiadomo, czy rzeczywiście byli właśnie nią zarażeni, bo objawy przypominały także zapalenie mózgu. Zdawał sobie sprawę, że zastrzyki mogą nie pomóc, że mogą okazać się nieskuteczne akurat na tę odmianę wirusa, ale przynajmniej ryzyko się zmniejszyło. Nie miał wyboru i już. Nawet sporadyczne ujemne skutki szczepionki, takie jak gorączka lub paraliż, są niczym w porównaniu z pewną śmiercią. Oczywiście, rozpoczęcie serii zastrzyków wcale go nie uspokoiło. Wiedział przecież, że suka została zaszczepiona jeszcze przed zetknięciem się z wirusem, a i tak zdechła.

Nie uśmierzyło to również jego smutku. Myślał o chłopcu leżącym na stole w kostnicy, o tym, że powinien był przewidzieć, jaki skutek może wywołać środek uspokajający. Myślał o rodzicach chłopca. Czy kiedykolwiek zrzuci z siebie brzemię winy? Wciąż słyszał krzyk matki. Cóż, zamierzał dowiedzieć się wszystkiego o wirusie. Kiedy skończy badanie, będzie go znał lepiej niż te, z którymi się stykał w ciągu wielu lat pracy. Kiedyś cieszył się sławą znakomitego anatomopatologa. Było to na wschodnim wybrzeżu, zanim się załamał. Teraz udowodni, jaki z niego doskonały fachowiec. Dobra. Myślisz, że taki jesteś

genialny? To nie gadaj tyle, tylko bierz się do roboty. Udowodnij.

Podciągnął spodnie i zapiął pasek, myśląc o próbach, jakie przeprowadzi, po czym wyszedł z gabinetu. Owens miał się wkrótce zjawić, przywieźć mózg suki, żeby mogli porównać go z wycinkami pobranymi podczas sekcji. Ale zanim weterynarz przybędzie, on, Accum, wykona prostą próbę na ciałka Negriego. A potem przeprowadzi bardziej złożoną, w której rozmaz pobrany z mózgu zostaje potraktowany fluoryzującą surowicą przeciwko wścieklicznie, a następnie zbadany pod mikroskopem do obserwacji w nadfiolecie. Żeby móc studiować objawy, jakie wywołuje wirus, wszczepi kilku ledwo urodzonym myszom tkankę z mózgu chłopca. Zrobi też zdjęcie wirusa, posługując się mikroskopem elektronowym: bez względu na to, co to za wirus, chce go dokładnie obejrzeć. A kiedy otworzy ciało chłopca, dowie się, dlaczego paraliż następuje tak szybko i dlaczego środek uspokajający miał taki skutek.

Idąc korytarzem widział, jak przyglądają mu się pielęgniarki. Wieść rozeszła się błyskawicznie; cały szpital pewnie huczy. Patrzyły na człowieka, którego błąd okazał się zgubny dla pacjenta. Opanuj się - powiedział sobie. Może patrzą, bo boją się zarazy, o której nikt nic nie wie. A może dlatego, że widzą twoją ponurą minę. Nie zamierzał pytać, dlaczego się na niego gapią, ale lepiej dla nich, żeby pilnowały własnych spraw i nie wchodziły mu w drogę.

Zbliżając się do mieszczącej się w podziemiach szpitala kostnicy, myślał o Slaughterze; komendant też powinien poddać się serii zastrzyków, podobnie jak matka chłopca, mężczyzna, którego ugryzł ten chłopiec, oraz właściciel suki. Wiele było spraw, którymi nie zdążył się zająć. W dodatku musiał się wyspać i coś zjeść, bo od rana nie miał nic w ustach. No dobrze, najpierw przeprowadzi sekcję, a potem załatwi resztę. Mając do pomocy Owensa, znajdzie wolną chwilę, żeby zadzwonić do wszystkich i kazać im się stawić na zastrzyki. Ale na razie pragnął tylko jednego - dowiedzieć się, co konkretnie zabiło chłopca.

Dotarł do końca schodów, otworzył drzwi i wszedł do pierwszego pomieszczenia. Umył ręce i włożył maskę, rękawiczki oraz fartuch. Na wszelki wypadek nasunął na buty gumowe ochraniacze, po czym wszedł do drugiego pomieszczenia.

Światło jarzeniówek umieszczonych na suficie odbijało się, migocząc, od pokrytych zielonymi kafelkami ścian, od stalowych zlewów i narzędzi. Na wprost wejścia, którym wszedł Accum, stały trzy wyżłobione stoły, jeden za drugim; lekarz skierował wzrok na ostatni, na którym leżała przykryta prześcieradłem niewielka bryła. Powoli, lecz zdecydowanie, ruszył w jej stronę. Powietrze, które wydychał, zaczęło się skraplać wewnątrz maski. Zatrzymał się i delikatnie odciągnął prześcieradło, po czym spojrzał na nagie ciałko wy-

ciągnięte na stole. Takie małe, a takie potłuczone, ile na nim sińców, śladów furii, która nim miotła. Krew zaskrzepła na lekko obrzękniętych, rozchylonych wargach, odsłaniających nadkruszone przednie zęby. Ale te powierzchowne kontuzje nie były istotne. I nie były w stanie zeszpecić niewinnej urody chłopca. Błady blondynek, aniołek z obrazka... Accum po raz pierwszy przeprowadzał sekcję kogoś, kto - choć tylko przez kilka chwil - był jego pacjentem. Na tym polegał cały problem: nigdy nie miał pacjentów. Ale właśnie dlatego został lekarzem sądowym, żeby uwolnić się od odpowiedzialności wobec żywych, żeby w ogóle uniknąć odpowiedzialności. I się dochrapał. Ponoślił winę za śmierć chłopca. Przystanął na chwilę, żeby się uspokoić, zanim sięgnie po skalpel i natnie skórę na czaszce. Odetchnął głęboko, pochylił się niżej, żeby wybrać miejsce, od którego zacznie cięcie, i nagle zobaczył, że oczy mrugają, otwierają się i wpatrują w niego. Nie było w nich śladu niewinności, były stare, doświadczone, i nie odrywały od niego spojrzenia. Kiedy uniosła się ręka, lekarz miał wrażenie, że cały pokój zawirował i przysunął dłoń do zasłoniętych maską ust, żeby stłumić krzyk. Potykając się, cofał się przed podniesioną ręką. Chłopiec usiadł na stole, szczerząc zęby, po czym podkurczył nogi. Accum pomyślał o ostatnich chwilach życia starego doktora Markle'a. Kiedy chłopiec skoczył na niego ze stołu, lekarz odruchowo wyciągnął rękę, żeby go odepchnąć, zapominając o tym, że trzyma w niej skalpel. Ostrze zagłębiło się w gołym brzuchu dziecka. Krew trysnęła na boki.

60

Marge pozostała na posterunku aż do zakończenia akcji w rezydencji Baynarda. Nathan potrzebował tam jak najwięcej ludzi, więc zaproponowała, że zastąpi policjanta, który tego wieczoru miał pełnić dyżur przy radiostacji. Dowiadywała się o przebiegu akcji z rozmów prowadzonych przez radio, a kiedy usłyszała o tym, jak się wszystko skończyło, ledwo zdołała powstrzymać wybuch płaczu. Ale jak by to wyglądało, gdyby ludzie, na których Nathan polegał, załamywali się wówczas, kiedy byli mu najbardziej potrzebni? Nie potrafiła się całkiem opanować, raz po raz ocierała łzy, ale nie odeszła od radiostacji; nadal przekazywała wszystkie polecenia i meldunki. Znała rodziców chłopca, chodziła z nimi do szkoły. Mieszkali zaledwie dwie przecznice od niej i często ich odwiedzała, przynosząc upominki dla ich synka. A teraz on nie żył; nic dziwnego, że łzy napływały jej do oczu. Kiedy wrócił policjant, którego zastępowała, posiedział z nią kilka minut, dopóki nie uspokoiła się

na tyle, żeby prowadzić samochód.

- Musisz się przespać - powiedział, choć oboje wiedzieli, że tej nocy niełatwo będzie jej zasnąć; nie tylko zresztą jej.

Podziękowała mu i zaczęła się zbierać. Spytał, czy nie odprowadzić jej do samochodu, ale pomyślała, że ktoś musi przecież dyżurować przy radiostacji, więc odparła, że sama sobie poradzi. Pięć lat z Nathanem nauczyło ją, jak ważna jest umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji; wiedziała zresztą, że nic jej się nie stanie.

Wyszła na parking za posterunkiem, sprawdziła, czy nikt się nie schował na tylnym siedzeniu, po czym wsiadła i odjechała. Zazwyczaj w sobotni wieczór, tuż przed północą, na ulicach było sporo ludzi, zwłaszcza w pobliżu knajp, bo młodzi kowboje wpadali do miasta na weekend, żeby się trochę zabawić. Tym razem na ulicach nie widziała prawie nikogo, tylko przed jednym barem stało dwóch mężczyzn; popijali piwo z puszek. Ruch na drodze też był niewielki, minęła zaledwie kilka starych gruchotów i parę furgonetek, zupełnie jakby to był wtorek, najspokojniejszy dzień tygodnia, a nie sobota. Nie zdziwiła się; wiadomość szybko się rozeszła. Zresztą, nie tylko miasto miało kłopoty, ale cała dolina. Od rana dochodziły Marge wieści, że na górskich pastwiskach co rusz ktoś znajduje zagryzione bydło; pewnie dlatego kowboje zostali na ranczach, żeby pilnować stad przed drapieżnikami. Jadąc przedmieściami, widziała, że w wielu domach palą się światła, co też nie było normalne, zważywszy na późną porę. Żałowała, że nie miała okazji porozmawiać z Nathanem, ale był bardzo zajęty. Nie chciała siedzieć sama w domu. — Pomyślała o rodzicach chłopca i kiedy dojechała do siebie, nie zatrzymała wozu. Minęła dwie następne przecznice, planując, że jeśli u przyjaciół będzie jasno w oknach, to wstąpi do nich i spróbuje ich jakoś pocieszyć.

Światła oczywiście paliły się, i to we wszystkich oknach. Zobaczyła ciężarówkę firmy hydraulicznej oraz samochód osobowy. Oboje byli więc w domu. Zaparkowała wóz, zastanawiając się, czy nie wolą być sami. Uznała jednak, że powinna ich odwiedzić, że to niemal przyjacielski obowiązek... Wsiadła, zamknęła wóz i weszła na chodnik. Słyszała cykanie świerszczy ukrytych w trawie, kiedy zbliżała się do werandy, na którą wychodziły rozświetlone okna. Pomyślała sobie, że może ktoś z przyjaciół też wpadł pocieszać zrozpaczone małżeństwo, gdy nagle usłyszała dwa podniesione męskie głosy. Potem rozległ się tak przejmujący wrzask, że świerszcze zamilkły i przez moment żaden dźwięk nie zakłócał nocnej ciszy. Wtem drzwi otworzyły się z hukiem i ktoś wybiegł na ganek. Marge poznała sąsiada swoich znajomych. Popatrzył na nią przerażonym wzrokiem.

- Chryste panie, Peg oszalała!

- Co?

W tej samej chwili usłyszała warczenie i, w pierwszym odruchu, miała ochotę zawrócić na pięcie i uciec; zmusiła się jednak, żeby podejść do schodków prowadzących na werandę. Nagle okno salonu pękło z trzaskiem, kawałki szkła posypały się na deski werandy, a przez wybitą szybę wypadły dwie szczipione, walczące ze sobą postacie. Byli to rodzice chłopca: kobieta warczała, drapiąc i gryząc leżącego pod nią męża, który krzyczał, usiłując się oswobodzić. Marge nie bardzo rozumiała, co się dzieje. Wbiegła po schodkach.

- Pomóż mi! Ściągnij ją ze mnie!

- Jak?! Ona oszalała! - zawołał sąsiad.

Marge przypomniało się później, że pomyślała o Nathanie: pragnęła usłyszeć od niego, że dzielnie się spisała, i to w sytuacji, kiedy liczyły się ułamki sekund.

- Sprowadź pomoc! - krzyknęła do sąsiada.

Pchnęła go w stronę schodków, a sama zaczęła się rozglądać za czymś, czym mogłaby odciągnąć lub oszołomić kobietę. Nie zamierzała dotykać jej gołymi rękami z obawy, że pogryzie ją tak, jak gryzła własnego męża, który wciąż wydierał się wniebogłosy. Kiedy wreszcie ujrzała w rogu ganku stosowny przedmiot, którym Warren pewnie bawił się wczoraj, pomyślała, że przecież nie może go użyć. Nie chciała go wziąć do ręki, ale nie mogła dłużej stać bezczynnie i słuchać wrzasków ojca. Wyciągnęła więc rękę i zacisnęła mocno palce, po czym, ślizgając się na kawałkach szkła, podeszła do matki chłopca, podniosła kij baseballowy i - cały czas myśląc o Nathanie - zamachnęła się z całej siły.

61

Slaughter czekał, aż zapalą latarki. Dopiero wtedy wyszedł na werandę.

- Co się dzieje?

- Też chciałbym wiedzieć.

Popatrzyli na niego. Byli ubrani w dżinsy i kolorowe koszule, na biodrach mieli rewolwery w kaburach. Widząc broń w ręce komendanta, wyciągnęli swoją i ruszyli we wskazanym przez niego kierunku, w stronę ogrodzenia.

- Poświećcie.

Snopy z latarek oświetliły pastwisko.

- O co chodzi? - spytał Rettig.

- Nie gadaj, tylko uważaj na plecy. Coś tu było. Wlazło mi na werandę, do cholery!

Slaughter przeszedł przez ogrodzenie, po czym oświetlił je, żeby policjantom łatwiej było się na nie wdrapać. Po chwili szli razem przez pastwisko.

- Na werandę?

- Właśnie.

Wstydził się przyznać, że oddał tylko jeden strzał, a potem uciekł w popłochu do domu i zamknął drzwi na zasuwę. Teraz, w towarzystwie dwóch podwładnych, czuł się znacznie pewniej, choć wciąż był zdenerwowany. Przeszkadzało mu, że zadają tyle pytań.

- Ale co to było? - Usłyszał głos Rettiga.

- Powiedziałem, że nie wiem. Nie widziałem.

- Nawet jak weszło na werandę?

- Rozmawiałem z tobą przez telefon, kiedy usłyszałem chrobot. Jak wyjrzałem, na zewnątrz nie było już nic.

Nagle Slaughter zobaczył coś, czego się spodziewał; wiele by dał, żeby jego podejrzenia się nie sprawdziły. Wolałby przyznać się do strachu i swojej ucieczki, niż znaleźć to, co ujrzeli w świetle latarek: dwie leżące na polu bryły. Podbiegł do nich przez rzadką, brunatną trawę. Były tak pokiereszowane...

- Cholera, coś tu rzeczywiście grasowało. Boże, szefie, tak mi przykro.

- Moje konie! Moje jedyne dwa... - Ruszył do parowu. - Słyszałem odgłosy trzech zwierząt, tam przy krzakach, i dwóch za stodołą.

- Hola, szefie, chwileczkę.

Rettig położył dłoń na ramieniu komendanta. Slaughter strząsnął ją z siebie.

- Już ja im...

- Chwileczkę, szefie. Nawet nie wiemy, z czym mamy się zmierzyć. Mówi pan, że było ich pięć?

Slaughterowi stanął przed oczami pokryty sierścią chudy kształt, do którego strzelał.

- Tak, chyba rysie.

Policjanci popatrzyli na niego.

- Aż pięć?

- Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale...

- Nie o tym mówię. Pewnie, rysie zwykle polują samotnie, ale to drobiazg. Chodzi mi o to, że potrzebne nam będą posiłki. I lepsze oświetlenie.

- Mamy czekać, aż wszędzie słońce? Co ty wygadujesz! Do rana dawno sobie pójdą!

- Możemy sprowadzić tropiciela.

- Jakiego znowu tropiciela! Nie ma czasu!

- Przykro mi, szefie, ale ja dalej nie idę.

Slaughter spojrział gniewnie na Rettiga, po czym przeniósł wzrok na Hammela.

- A ty? - spytał.

Hammel wzruszył ramionami.

- Czyli co, tak czy nie?

- Ja się dopiero uczę. Więc chyba zostanę tu i popatrzę.

- Takiś mądry?

Slaughter jeszcze raz spojrział na Rettiga, a potem odwrócił się w stronę ciemnego parowu. Mimo światła latarek i blasku księżyca, ledwo widział krzaki. Poczł, że jego gniew ustępuje miejsca strachowi.

- Dobra. Macie rację. Łażenie tam po nocy byłoby czystą głupotą. Po prostu jak zobaczyłem konie, to...

- Zastrzelimy te rysie. Tego może pan być pewien, szefie. Ale nie teraz.

Slaughter czym prędzej chciał się stąd oddalić.

- Wracamy - zdecydował.

- A co z końmi?

- Nic, na razie niech tu zostaną na polu. Co to teraz za różnica?

Słyszał, jak Rettig i Hammmel idą za nim, a potem przechodzą przez ogrodzenie. Kiedy zeskoczył na ziemię, doleciał go terkot telefonu. Już ja dopilnuję, żeby ten krety raz na zawsze skończył swoje wygłupy - pomyślał gniewnie. Klnąc przez zęby, rzucił się biegiem do domu, ale gdy wpadł do środka i chwycił słuchawkę, tym razem rozległ się w niej głos. Slaughter słuchał, a w myślach już znów biegł. Miał wrażenie, że przez ostatnie dni nie zatrzymał się nawet na moment.

62

Pędził korytarzem, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia pielęgniarek. Pchnął na oścież drzwi przebieralni i dopadł drugich. Kostnica przypominała jatkę. Krew, potłuczone szkło, porozrzucone narzędzia. Accum stał oparty o stół. Fartuch miał umazany krwią, maska zwisała mu luźno wokół szyi. Pozbawiona koloru twarz odcinała się na tle czerwieni. Lekarz ledwo trzymał się na nogach, ręce mu się trzęsły, a towarzyszący mu mężczyzna wyglądał niewiele lepiej.

Owens. Slaughter rozpoznał weterynarza, którego od czasu do czasu widywał na mieście i który, choć był świetnym fachowcem, zawsze chodził z kwaśną miną.

Mężczyźni popatrzeli na komendanta. Slaughter rozejrzał się po sali. Czuł w powietrzu woń chemikaliów oraz słodko-mdły zapach krwi. Nie rozumiejąc, co się dzieje, otworzył usta, żeby zadać pytanie, gdy nagle Accum oświadczył:

- Zabiłem go.

Slaughter spojrzał szybko na lekarza, po czym przeniósł wzrok na Owensa. Zdezorientowany, zrobił krok w ich stronę.

- Powinieneś odpocząć - poradził Accumowi. - Przez telefon brzmiałeś tak, jakbyś przechodził załamanie nerwowe.

- Ale ja go zabiłem.

- Wiem. Powiedziałeś to przez telefon, a wcześniej przed rezydencją. Ale nie mogłeś wiedzieć, że środki uspokajające go zabijają. Skąd tu tyle krwi? Co się stało?

- Chryste, nie słyszysz, co mówię? Przed chwilą go zabiłem! - zawołał Accum.

Slaughter zwrócił się do Owensa.

- Co mu jest? - spytał.

Weterynarz nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wskazał ręką na koniec sali, gdzie za ostatnim stołem widniała na ścianie ociekająca plama krwi. Slaughter poczuł, jak znów ogarnia go strach. Pokonując wewnętrzny opór, ruszył wolno przed siebie. Przy stole dojrzał sporą kałużę krwi. Choć bardzo nie chciał, pochylił się przez blat i zobaczył na podłodze parę dziecięcych nóżek. Kiedy walcząc sam ze sobą, pochylił się jeszcze niżej, ujrzał chłopca z rozciętym brzuchem i zniekształconą przez śmierć, ohydnie wykrzywioną twarzą.

- Jezu, coś ty z nim zrobił?!

- Zabiłem go! Właśnie to ci usiłuję powiedzieć!

Slaughter odwrócił się i wbił wzrok w twarz lekarza.

- Przecież tam przy rezydencji mówiłeś, że chłopiec nie żyje!

- Tak mi się zdawało. Mógłbym za to ręczyć swoją reputacją.

- Swoją reputacją?

- Wiem, co myślisz, ale dokładnie go zbadałem. I wierz mi, on nie żył.

- W takim razie...

- Ni stąd, ni zowąd odżył i próbował się na mnie rzucić.

Slaughter nic nie rozumiał. Słowa lekarza nie docierały do niego. Były jakby pustym dźwiękiem. Przez chwilę patrzył na Accum'a i nagle pojął, o co chodzi; przerażony, zaczął się cofać.

- Mój Boże - szepnął. - Ty zupełnie oszalałeś!

- Nie, posłuchaj. Wcale nie twierdze, że chłopiec wrócił z zaświatów.

- Całe szczęście.

- Środki uspokajające musiały pogłębić fazę paraliżu. Slaughter nie spuszczał z niego oczu.

- I dlatego mały nie dawał żadnych oznak życia - ciągnął lekarz.

- Co mi tu za bajki opowiadasz? Za dużo się naczytałeś Edgara Allana Poe!

- Posłuchaj. Serce nie biło, dziecko nie oddychało. Kiedy przyjechałem tutaj, zmierzyłem mu nawet temperaturę. Wszystko wskazywało na to, że chłopiec nie żyje.

- Zrobiłeś elektroencefalogram?

- Mówiłem ci już: zrobiłem wszystkie badania. Nie miałem żadnych wątpliwości, że nastąpiła śmierć. Rozpocząłem sekcję zwłok, kiedy nagle chłopiec otworzył oczy i próbował mnie chwycić...

- Poczekaj, po kolei, bo nie mogę się połapać. Czyli twierdzisz, że dziecko było w stanie katatonicznym, tak?

- Czasami się to zdarza. Dość rzadko, ale jednak się zdarza. Znane są przypadki, kiedy pacjent uznany za zmarłego budzi się nagle w kostnicy.

- A elektroencefalogram?

- Słuchaj, całymi latami sądziliśmy, że człowiek umiera, kiedy na ekranie nie widać bicia serca. Potem odkryliśmy, że czasem serce bije tak słabo, że nawet najczulsza aparatura nie jest w stanie tego uchwycić. Wiec zaczęliśmy przeprowadzać inne badania. Mierzymy temperaturę ciała. Sprawdzamy czynności mózgu. Jednakże nie sposób dokładnie określić, w którym momencie naprawdę następuje śmierć. Weź taką sytuację: pacjent przechodzi operację, wszystko przebiega prawidłowo i nagle ustaje praca serca i mózgu. Chory nie żyje. A po pięciu minutach powraca rytm serca. Jak to się dzieje? Może ty znasz odpowiedź, bo ja nie.

Slaughter wciąż stał wpatrzony w Accuma, z trudem usiłując zebrać myśli.

- No dobrze, założmy, że masz rację - powiedział wreszcie. - Czyli środki uspokajające przestały działać, paraliż ustąpił i co dalej?

- Chłopiec próbował mnie chwycić. Musiałem się bronić. Wiedziałem, że nie mogę mu dać się ugryźć. Że nie mogę dopuścić go do siebie. Skoczył na mnie, a ja trzymałem skalpel...

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- O Boże! - zawył Accum i walnął pięścią w stół. Slaughter podszedł do lekarza i

położył mu dłoń na ramieniu.

- Spokojnie...

- Ale ja...

- Musisz się opanować. Wszystko będzie dobrze. Teraz wiemy, co się stało z tym facetem, którego potrącił samochód. Coś go ugryzło w górach.

- Biedny Markle. Z przerażenia aż dostał zawału.

Ich spojrzenia znów się spotkały.

- Jeszcze jedna sprawa - odezwał się nagle Owens. - Myszy zdechły.

Zanim Slaughter zdążył o cokolwiek spytać, weterynarz sam zaczął wszystko wyjaśniać. Accum przysłuchiwał się, wpatrzony tępo w stół.

- Hodujemy w laboratorium myszy, które używamy do badań nad wirusami. Gryzonie te od wielu pokoleń rodzą się i żyją w sterylnych warunkach, mamy więc pewność, że są zdrowe i niczym nie zarażone. Jeśli po wstrzyknięciu im zakażonej tkanki pojawiają się u nich objawy chorobowe, wiemy, że nic innego nie mogło ich wywołać. I możemy spokojnie przystąpić do szukania odpowiedniego leku. Żeby zbadać, czy jakieś zwierzę było chore na wściekliznę, wstrzykuje się myszom pobraną od niego tkankę mózgową.

Jeśli myszy przeżyją, to znaczy, że podejrzenia o wściekliznę były bezpodstawne. Jeśli zdechną, otrzymujemy próbki wirusa w najczystszej postaci. Pierwsze badania, które wykonaliśmy tu na miejscu z doktorem Accumem, nie dały nam jednoznacznej odpowiedzi. To, że wirus jest zabójczy, nie ulega wątpliwości, ale rozmazy wyglądały pod mikroskopem trochę inaczej niż przy wściekliznie. Toteż kiedy doktor pojechał do rezydencji, ja przystąpiłem do dalszych badań. Zamiast skupić się na badaniu tkanki mózgowej psa, wszczepiłem zakażoną tkankę kilku myszom.

- I co, zdechły?

Owens skinął głową.

- To było do przewidzenia - rzekł Slaughter. - Sam pan mówił, że wirus jest zabójczy.

- Tak, ale zazwyczaj pierwsze objawy występują u myszy dopiero po tygodniu. Natomiast te zdechły już po czterech godzinach. Objawy się zgadzały, ale cały proces odbył się jakby w przyspieszonym tempie. Najpierw drobna różnica w zachowaniu, potem wrogość, osłabienie, wreszcie paraliż i śmierć. Gryzonie wykazywały bardzo dużą agresywność, tyle że nie w stosunku do siebie, a do otoczenia; atakowały szklane ściany klatek. Ale najważniejsze jest to, że zamiast tygodnia, wszystko trwało zaledwie kilka godzin.

W umyśle Slaughtera wreszcie coś zaskoczyło. Skłębione myśli zaczęły układać się w logiczną całość.

- Proszę mi je pokazać.

Owens nachmurzył się.

- Chcę je zobaczyć - powtórzył komendant. - Gdzie one są?

- Nie miałem w laboratorium odpowiednich narzędzi, a do badań potrzebny jest mikroskop elektronowy. Dlatego wróciłem tu, żeby...

- Mniejsza z tym. Niech mi pan pokaże te myszy.

- Są tam. Przyniosłem je ze sobą.

Slaughter podszedł do drewnianej skrzynki przy drzwiach.

- Można otworzyć? - spytał przysuwając palec do haczyka.

- Tak, umieściłem je w pojemnikach.

Slaughter uchylił wieko i popatrzył w dół na szklane pojemniki oraz widoczne przez ścianki białe futerka. Niestety, jego najgorsze obawy się potwierdziły. Sięgnął do środka po jeden z pojemników i wyjął go ze skrzynki. Accum podniósł wzrok znad stołu. Oczom obydwu lekarzy ukazała się szczerząca zęby mysz. Slaughter widział, jak gryzoń z furią drapie pazurami w szkło.

- One nie żyły, przysięgam! - zawołał Owens.

Podszedł do skrzynki i zaczął wyciągać kolejne pojemniki. W każdym miotała się mysz.

- Jest pan pewien? - spytał Slaughter.

- Sądzi pan, że nie potrafię rozpoznać, czy zwierzę jest martwe? Jestem równie pewien jak doktor Accum, kiedy badał chłopca.

Myszy ciskały się jak oszalałe.

- Nie wiem, co dokładnie się dzieje, ale sytuacja robi się coraz bardziej poważna. - Slaughter zmarszczył czoło; po chwili spojrzął na najdalszy stół i zwrócił się do Accum: - Co zrobimy z chłopcem? Ojciec i matka nie uwierzą, że się odbudził i musiałeś go zabić. Co im powiemy?

- Nic. - Accum ruszył się wreszcie z miejsca; krew z powrotem napłynęła mu do twarzy. - Tak jak zamierzałem, przeprowadzę sekcję zwłok. Muszę ją wykonać, żeby dowiedzieć się więcej o wirusie. Potem zaszyję rozcięcie na brzuchu i nikt poza nami nie będzie wiedział, co się stało.

Mężczyźni wymienili spojrzenia; zdawali sobie sprawę, że dopuszczają się przestępstwa, jeśli ukryją prawdę. Zaległa cisza. W końcu Slaughter skinął głową, a chwilę później Owens.

- Czy przyniósł pan preparaty? - spytał Accum weterynarza.

- Są w skrzynce.

- W porządku, bierzmy się do roboty. Ty, Nathan, idź na górę do mojego gabinetu. Na biurku leży stos książek. Zaglądaj do indeksów i czytaj po kolei wszystko, co znajdziesz na temat wścieklizny. W tym wypadku mamy do czynienia z innym wirusem, ale objawy, jakie wywołuje, są dość podobne. Nie możemy teraz tracić czasu na objaśnianie ci poszczególnych testów, które będziemy robić.

Komendant spojrzał na lekarza, po czym przeniósł wzrok na Owensa, który podnosił głowę znad skrzynki z myszami.

- Ile czasu wam to zajmie? - spytał.

- Co najmniej dwie godziny.

Zerknął na zegarek; była trzecia.

- Boję się nadchodzącego dnia - powiedział.

- Ja też. Z wielu powodów - rzekł Accum.

- Posypie się grad pytań.

- Cóż, może uda nam się znaleźć jakieś odpowiedzi.

Slaughter pokiwał głową i ruszył do drzwi. Mimo najlepszych chęci, nie zdołał zmusić się do uśmiechu.

63

Schowane pod werandą zawarczało, kiedy dwaj mężczyźni skierowali na nie latarki.

- Chryste, widziałeś, jak zmasakrowane było ciało tego ślepeca?

- Nie przypominaj mi. Zastrzelmy kundla, i już.

- Teraz? Tu, w mieście?

- A co, chcesz się tam wczołgać i go złapać?

- Chcę odejść stąd jak najprędzej.

Obydwoj sięgnęli po broń.

Dwa snopy światła. Nie mogło dłużej wytrzymać. Na dźwięk odciąganych spustów, wyskoczyło spod werandy.

- O Jezu!

64

Potyając się, wdrapało się po schodach. Wcześniej posiliło się ciałami leżącymi w piwnicy, potem przez chwilę spało, a teraz, obudzone, nie mogło zwalczyć w sobie tej dziwnej siły, która pchała je naprzód. Jęcząc dotarło do kuchni i skierowało się do wyjścia. Kiedy otworzyło drzwi i przekroczyło próg domu, nagle usłyszało huk wystrzałów. Zawarczało, szczerząc zęby.

65

- Tak wygląda wirus wywołujący wściekliznę - oznajmił Accum.

Slaughter skinął głową.

- A to jest mikrogram wykonany mikroskopem elektronowym. Zakażona tkanka pochodzi od psa.

Lekarz położył mikrogram obok książki, którą oglądali. Przez dłuższą chwilę komendant milczał, porównując zdjęcia.

- Wirus na mikrogramie jest cieńszy - powiedział.

- Tak, to jedna z różnic. Wirus wścieklizny ma kształt naboju, a ten tu wygląda jak... bo ja wiem...

- Jak rakietka - wtrącił Owens.

Spojrzeni na niego.

- W porządku, niech będzie rakietka - zgodził się Accum. - Zważywszy na tempo, w jakim atakuje, to nawet niezłe porównanie. Rzecz jednak w tym, że wiele wirusów ma podobny kształt, ale ten, którym się teraz zajmujemy, różni się od innych. Jest znacznie węższy i chociaż ma u dołu drobne wgłębienie, nie widać śladu wypustki. Co ważniejsze, układ nerwowy chłopca nie został zaatakowany.

Slaughter zmarszczył czoło i zadumał się. Z tego, co czytał, wynikało jasno, że wirus wścieklizny przenika do układu nerwowego i pasożytuje w nim, dopóki go całkiem nie zniszczy.

- Przecież... - zaprotestował.

- Wiem. To się nie zgadza z tym, co jest w podręcznikach. Jeszcze nigdy się nie zetknąłem z podobnym wirusem. Ale zaatakowane zostało ciało migdałowate.

- Ciało migdałowate? Cóż to takiego?

- Najbardziej wewnętrzna część mózgu, należąca do układu limbicznego, który kieruje czynnościami popędowo-emocjonalnymi - wyjaśnił Accum. - Innymi słowy, wszelkimi odruchami niezbędnymi do przetrwania, uczuciami, agresywnością i tak dalej. To nam tłumaczy, dlaczego chłopiec zachowywał się tak dziwnie. Po prostu zamienił się w zwierzę.

- No a co z tym paraliżem, czy śpiączką, w którą popadł?

- Poczekaj, zaraz do tego dojdę. Otóż kiedy obejrzałem rękę chłopca, którą jak twierdził skaleczył o szkło, znalazłem na niej ślady ugryzienia. Dość świeże; podejrzewam, że wczorajsze. Wirusy dostają się do organizmu poprzez krew i dlatego proces przebiega tak szybko. Są dość wybredne. Tylko niektóre komórki im odpowiadają.

- Na przykład te, z których zbudowane jest ciało migdałowate?

- Tak jest. Wkrótce pojawiają się objawy typowe dla wścieklizny. Ta pierwsza faza trwa u ludzi mniej więcej dwanaście godzin, potem następuje porażenie mięśni i śpiączka. Prawdopodobnie kiedy praca mózgu zamiera, wirus się unieczynnia. A kiedy ofiara odzyskuje przytomność, wirus znów zaczyna atakować. Jest wyjątkowo perfidny; sieje spustoszenie w organizmie nosiciela, aż jest bliski śmierci, a wtedy daje mu chwilę wytchnienia, by odzyskał nieco sił. Ponieważ wędruje krwioobiegiem, występuje również w gruczołach ślinowych; wystarczy drobne ugryzienie, żeby przedostał się do krwioobiegu kolejnej ofiary. Jeśli na świeżą ranę dostanie się zakażona krew, to skutek, oczywiście, będzie taki sam.

Slaughter przyłożył rękę do strupa na policzku. W skroniach mu huczało.

- Nie martw się - pocieszył go lekarz. - Gdybyś się zaraził, wiedzielibyśmy o tym wczoraj.

- Ale ty i tak nie zdołałbyś mi pomóc, jeśli to, co mówisz o tych wirusach, jest prawdą.

- Niestety. Szczepionka przeciw wściekliznie nic by nie dała. Też miałem szczęście, że w ranę na wardze nie wdało się zakażenie. Na wszelki wypadek zrobiłem sobie dwa zastrzyki.

- Pewnie piszczaleś z uciechy.

- Jasne. To taka frajda, że można wpaść w nałóg. Cholera, co tu robić?

- Powiadasz, że nigdy nie zetknąłeś się z podobnym wirusem? Że nigdy o takim nie słyszałeś?

Accum pokręcił przecząco głową.

- Ja się zetknąłem - oświadczył nagle Owens.

Spojrzeli na niego wyczekująco.

- To znaczy czytałem o czymś takim. W sześćdziesiątym dziewiątym stado bydła w

Etiopii zachorowało na dziwną odmianę wścieklizny. Najpierw krowy były nerwowe, podniecone, potem dostały porażenia mięśni i wszystkie padły. Właściciel nie wiedział, co je zmogło. Już pogodził się ze stratą, kiedy nagle wyzdrowiały.

- Przy wścieklicznie to niemożliwe - wtrącił Accum. - Zwierzę zawsze zdycha.

- A jednak te krowy odżyły. Niestety, wciąż były zakażone i po kilku dniach wystąpiły u nich identyczne objawy. Trzeba było wystrzelać całe stado.

- Jest pan pewien, że chodziło o wściekliznę?

- Najzupełniej. Badania to potwierdziły. Czytałem również o innym przypadku, który wydarzył się dwa lata później w Indiach. Ofiarą padły bawoły.

- Ale to, co widać na mikrografie, nie jest wirusem wścieklizny - stwierdził Accum. - Jeśli opracowano tam szczepionki, nam nie zdadzą się na nic. Zresztą nawet gdyby mogły pomóc, nie ma czasu, żeby je sprowadzić.

- Jednego nie rozumiem - powiedział Slaughter. - Skąd się biorą nowe typy wirusów?

- Bóg raczy wiedzieć - odparł lekarz. - Wiesz co mnie najbardziej dziwi? To, że nowe choroby pojawiają się tak rzadko. Nie mówię o takiej grzybicy, która nękała ludzkość od najdawniejszych czasów, a po prostu nie była zdiagnozowana. Nie mówię o rzeżączce, która bywa trudna do wyleczenia ze względu na wytwarzanie się gonokoków odpornych na działanie penicyliny. Mówię o takich chorobach jak ta, z którą obecnie mamy do czynienia. Załóżmy, że istotnie jest to nowy typ wirusa. Pytasz, skąd się wziął? Równie dobrze mógłbyś spytać, dlaczego naszym przodkom zwiększyła się objętość mózgowcaszki i z małp przekształcili się w ludzi. Nie ma na to gotowej odpowiedzi. Ewolucja opiera się na przypadku. Podział jakiejś komórki przebiegnie nieprawidłowo. Coś zostanie niewłaściwie zakodowane w DNA. Nam się wydaje, że wszystko jest stałe i uporządkowane. Nic bardziej mylnego. Wszędzie wokół zachodzą zmiany, choć na ogół zbyt wolno, żebyśmy mogli obserwować ich przebieg. Młodzież jest coraz wyższa. Powstają nowe rasy psów. Potrafimy dostrzec jedynie skrajne przykłady zmian, które nazywamy wybrykami natury. Ale najbardziej zaskakujące zmiany zachodzą w najmniejszych zorganizowanych jednostkach materii żywej, których nie widać gołym okiem. Mam na myśli komórki, których w ciągu jednego dnia powstaje kilka pokoleń. Ich zegar biologiczny różni się od naszego. W ich wypadku ewolucja toczy się znacznie szybciej, zwiększa się też prawdopodobieństwo przypadkowych mutacji. Zresztą ewolucja wcale nie musi być procesem stopniowych przemian. Czasem mogą następować skokowo. Ilekroć idziemy na prześwietlenie, setki małych pocisków bombardują nasze chromosomy. Wiesz, jak mógł powstać ten nowy wirus? Wyobraź sobie, że ktoś miał psa chorego na wściekliznę, u którego nie wystąpiły

jeszcze żadne objawy. Ale pies miał złamaną łapę albo pęknięte zebro, więc właściciel zawiózł go na prześwietlenie. Weterynarz nastawił kość i pies wraca do zdrowia. Ale szkoda została wyrządzona. Wystarczyło, że pojedynczy promień rentgena ugodził w wirus wścieklizny i jedna chora komórka w ciele migdałowatym uległa mutacji, a następnie rozmnożyła się. Właściciel wyjechał z psem na urlop w nasze strony. Zwierzę dostało szału i uciekło. I nowa odmiana wścieklizny zaczęła się rozprzestrzeniać. Slaughter zwrócił się do Owensa.

- Psychotyczne zachowanie zwierząt. Użył pan tego określenia, mówiąc o psach w górach...

Przez chwilę wszyscy trzej milczeli.

- Fakt. Te zdziczałe psy mogą być po prostu chore - powiedział weterynarz. - Widuje się je w lasach na górskich zboczach w pobliżu naszej doliny. Góry otaczają nas ze wszystkich stron, a psy na pewno nie dałyby rady przedostać się przez szczyty, więc chyba spokojnie możemy uznać, że wirus nie rozprzestrzenił się dalej. Tylko dlaczego wcześniej nie rozpoznano choroby?

- Dlatego, że o ile mi wiadomo, nikt tych psów nie badał - odparł Accum. - Kowboje kilka zastrzelili, padlinę zakopali. Pan żadnego nie widział, prawda?

Owens pokręcił głową.

- Więc sam pan rozumie.

- Ale mówiłeś mi w piątek, że parę osób zostało pogryzionych - powiedział Slaughter, patrząc na lekarza. - Powinni otrzymać zastrzyki przeciw wściekliźnie, a potem mimo zastrzyków zdradzać te same objawy, co chłopiec.

- Owszem, dostali zastrzyki, ale na szczęście objawy się nie pojawiły. Albo pies, który ich pogryzł, nie był zarażony tym konkretnym wirusem, albo wirus dopiero później uległ mutacji. To, że się nie pochorowali, w niczym nie podważa mojej teorii o powstaniu wirusa.

- Ale skoro jest tak złośliwy, wszyscy powinniśmy już być zakażeni.

- Niekoniecznie. Pamiętaj, jak groźne są ataki nosicieli. Niewiele zwierząt czy ludzi jest w stanie ująć z życiem. Poza tym nosiciele wirusa są osłabieni. Prawdopodobnie nie przetrzymują zimy. W grę wchodzi dobór naturalny. Z drugiej strony, nie mieliśmy okazji poczynić długofalowych obserwacji. Może następuje faza wyciszenia? Nie wiem.

- Ale dlaczego ta zaraza przeniosła się nagle do miasta?

- Sam znasz odpowiedź. Wystarczy jeden zarażony pies, który przybłąkał się z gór. Ale jest chyba również i inny powód. Mieliśmy w tym roku bardzo ostrą zimą. Zwierzęta mogły porzucić swoje tereny łowieckie i zejść niżej w poszukiwaniu pokarmu. To oczywiście tylko

przypuszczenie. Może się mylę, ale nie sędzę. W każdym razie, oprócz tego, co wiemy z naszych badań, wiemy również, że nosiciele wirusa wolą noc od dnia. W ciągu dnia śpią, a w nocy wychodzą z kryjówek. Dlatego większość ataków miała miejsce po zapadnięciu zmroku. Jestem przekonany, że nie bez znaczenia jest fakt, że zbliża się pełnia; księżyc ma na nich wpływ. Chłopiec wył dlatego, że widział go przez okno rezydencji.

- I jeszcze jedno. Wiemy, że nosiciele nie atakują się nawzajem - dodał Owens. - Kiedy umieściłem kilka myszy razem, nie zwracały na siebie najmniejszej uwagi. Wpatrywały się gniewnie w światło i rzucały na ściany klatki.

Slaughter przypomniał sobie przemykające cienie, które widział w krzakach koło stodoły.

- Sądzi pan, że polują w stadach? - spytał.

- Nie wiem, ale to możliwe.

- Dlaczego?

- Bo zaatakowane wirusem ciało migdałowate przejmuje kontrolę nad całym mózgiem, więc człowiekiem zaczynają kierować instynkty, tak jak przed setkami tysięcy lat. Kiedyś stadne łowy były czymś naturalnym i najlepszym sposobem na przetrwanie. Indywidualizm i potrzeba chodzenia własnymi ścieżkami rozwinęły się stosunkowo niedawno.

66

Patrząc na widoczną w oddali śnieżną czapę, wspinało się coraz wyżej pod górę. Kiedy nastał świt i podniosło rękę, żeby zasłonić oczy przed światłem, nagle zobaczyło wyłaniające się spomiędzy drzew rogi i zrozumiało, że nareszcie dotarło do celu.

67

Slaughter stał bez ruchu, z przerażeniem obserwując to, co się działo za szybą. Cody, który wieczorem znalazł chłopca w rezydencji i został przez niego pogryziony, wił się i warczał, usiłując zerwać krępujące go pasy. Gardło miał obandażowane. Rana szyi mogła być przyczyną tego, że wydawał z siebie ochryple, nieludzkie dźwięki, ale Slaughter podejrzewał,

że jedno z drugim nie ma nic wspólnego; zachowanie Cody'ego było wynikiem zakażenia wirusem. Chociaż łóżko, na którym leżał, miało po bokach specjalne miękkie zabezpieczenia, żeby chory nie wyrządził sobie krzywdy, to jednak zważywszy na siłę, z jaką się miotał, na całym ciele musiał już mieć siniaki. Sprawiał wrażenie szaleńca. Przyglądając mu się, Slaughter wspomniał słowa Accuma o tym, jak kiedyś wierzono, że księżyc wywołuje obłąd.

- Nie jestem pewien, czy to coś zmieni, ale niech pan zgasi u niego światło - zwrócił się do pielęgniarza. - Może się uspokoi. Boże, lepiej, żeby stracił przytomność!

Mimo że odgradzała ich szyba, czuł się tak, jakby był w tym samym pomieszczeniu co Cody. Na widok piany ściekającej choremu po brodzie i kapiącej na bandażu zebrало mu się na mdłości. Cody warczał i ciskał się na łóżku z coraz większą furją. W pewnym momencie wykręcił szyję, żeby przegryźć najbliższy pas.

- Nie mogę na to patrzeć.

Przelknąwszy ślinę, Slaughter zerknął na Marge. Stała na końcu korytarza, zaglądając przez okno do pokoju, w którym umieszczono matkę zabitego chłopca. Spojrzał jeszcze raz na Cody'ego, po czym wolno ruszył w stronę przyjaciółki.

- Cześć, Marge. - Pocałował ją; wiedział, jak biedaczka musi się czuć.

Nawet nie oderwała wzroku od okna. Przez moment Slaughter przyglądał jej się w milczeniu, wreszcie rzekł:

- Dzwoniłem do ciebie, ale nikt nie odbierał.

Nie odpowiedziała.

- Marge, słuchaj...

- Nathan, ja ją walnęłam w głowę. Nie było na nią siły. Nie chciałam tak mocno...

- Uspokój się.

- Ale ona ma pękniętą czaszkę.

- Wiem. Musisz się uspokoić. Nie miałaś innego wyjścia. Zresztą, nie zabiłaś jej. Będzie żyła i tylko to się liczy. Chociaż na razie nie wiadomo, jak ją leczyć.

Otoczył Marge ramieniem, po czym spojrzał przez szybę na przywiązaną do łóżka, nieprzytomną kobietę, która leżała podłączona do kroplówki; głowę miała obandażowaną.

Marge rozplakała się, więc przytulił ją mocniej.

- Cicho, nie płacz. Wróć do domu, dobrze? Proszę cię. Twoja obecność nic tu nie da. O wszystkim będziemy cię informować.

- Pojedziesz ze mną?

- Chciałbym. Przecież wiesz.

- Ale nie możesz?

- Niestety. Niczego bardziej nie pragnę, niż być teraz z tobą, ale boję się, że jeszcze wiele może się tej nocy wydarzyć.

- Godzina snu dobrze by ci zrobiła. Też powinienes odpocząć.

- To ty nie wiesz? Próbuję pobić rekord; sprawdzić, jak długo wytrzymam bez zmrużenia oka - powiedział żartobliwym tonem.

Ale kobieta nie uśmiechnęła się.

- Marge, proszę cię, zrozum. Musiałaś tak postąpić. Wiem, że nie przyszło ci to łatwo.

Popatrzyła na niego.

- Ale nie miałaś wyboru. Usiłowała zabić męża. Uratowałaś go. Nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia. Jesteś wspaniała.

- Dziękuję... chociaż to niczego nie zmienia. - Ponownie odwróciła się do okna.

- Wiem. Jedź do domu, Marge. Proszę. Zawiadomię cię, jak tylko jej stan ulegnie zmianie.

- Boję się, Nathan.

- Chodźmy. Odprowadzę cię na dół.

Pocałował ją, po czym ujął lekko za łokieć. Podała się i razem ruszyli korytarzem do wyjścia. Mijając pokój, w którym trzymano Cody'ego, starali się patrzeć przed siebie. Dopiero gdy doszli do zakrętu, Marge zerknęła przez ramię na ciągnące się wzdłuż korytarza okna. Zeszli na parter. Slaughter pogłaskał ją po włosach i stojąc w drzwiach, odprowadził ją wzrokiem do samochodu.

Biedaczka, niepotrzebnie się tak gnębi - pomyślał. Podnosząc kij baseballowy, musiała przeżywać istne katusze. Pomachał do niej, kiedy wyjeżdżała z parkingu, ale ona, zmęczona i smutna, jedynie skinęła mu głową. Przez moment stał zadumany, wreszcie ruszył do telefonu w dyżurce.

68

- To pan, Slaughter? Co, ósma rano? Nie możemy umówić się o ludzkiej porze?

- Nie. Muszę z panem pilnie pomówić.

- Chryste, Slaughter...

- Sprawa jest ważna. I nie cierpiąca zwłoki.

Na drugim końcu linii zapanowała cisza.

- No dobrze - padła wreszcie odpowiedź. - Spotkajmy się za godzinę w redakcji. Ale jeśli ta pańska sprawa okaże się...

- Spokojna głowa - odparł Slaughter. - Sprawa jest naprawdę poważna. Ostrzegam, zepsuję panu humor.

- Już mi pan zepsuł.

Slaughter zmarszczył czoło i odwiesił słuchawkę. Przemknęło mu przez myśl, że odkąd tu przyjechał, ani razu nie był w domu Parsonsa. Zdziwiło go, że w natłoku różnych spraw zastanawia się nad czymś tak błahym. Domyślał się jednak, dlaczego burmistrz nigdy go do siebie nie zaprosił. Po prostu facet rozkoszował się władzą i lubił górować nad innymi. Trzymał się na dystans od podwładnych, żeby przypadkiem nie chcieli się z nim spoufalić czy zaprzyjaźnić. Obcych łatwiej onieśmielić i wzbudzić w nich strach.

Slaughterowi było wszystko jedno. Nie bał się Parsonsa, choć prawdę mówiąc, nie palił się do spotkania z nim. Żeby nie czekać beczynn timer, wsiadł do samochodu i pojechał na posterunek, gdzie mimo wczesnej pory telefony się urywały; ludzie donosili o podejrzanych typach kręcących się koło domu, o zagryzionych kotach, psach i krowach, o domownikach, którzy wyszli i dotąd nie wrócili. No, zaczęło się. Usiłując o niczym nie myśleć, umył się w toalecie, po czym schował do torby przepoconą koszulę i włożył czystą, którą zawsze trzymał w szufladzie. Wiedział, że rozmowa z Parsonsem nie będzie łatwa, i pół godziny później, kiedy nie ogoleni siedzieli naprzeciw siebie, jego najgorsze obawy się sprawdziły. Najpierw przez kwadrans czekał przed zamkniętymi drzwiami redakcji jedynej w Potter's Field gazety, dopóki wreszcie nie zjawił się Parsons, ubrany w sportową koszulę i spodnie z poliestru.

- Nie, nie teraz. U mnie w gabinecie - powiedział do Slaughtera. Na górze wysłuchał swojego rozmówcy, po czym najspokojniej w świecie oświadczył: - Chyba pan nie sądzi, że uwierzę w tę absurdalną historię?

Komendant skrzywił się.

- Nie wiem - odparł. - Też chciałbym w nią nie wierzyć.

- Och, doprawdy, Slaughter! Niech się pan zastanowi nad tym, co pan mówi. Chłopiec mógł się nabawić jakiejś dziecięcej choroby albo ma rozstrój nerwowy. Jego matka dostała hysterii i pobiła się z mężem. Cody'ego zżera gorączka. A psu ślepego pomieszało się we łbie i pogryzł swojego pana. Na wszystko jest wytłumaczenie.

- Zapomniał pan o Cliffordzie.

- O niczym nie zapomniałem. Clifford istotnie został zaatakowany, pewnie tak jak pan twierdzi, przez zdziczałego psa. Ale czy przeprowadzono jakieś testy na wykrycie wirusa?

- Nie, bo wtedy jeszcze nic nie podejrzewaliśmy. Lekarz ustalił tylko, co go

zaatakowało.

- A więc jedyne testy wykonano na tym chorym psie? I wyniki wskazały na podobieństwo choroby z wścieklizną?

- Accum...

- Nie chcę panu rozwiewać złudzeń, ale wszyscy wiedzą, że przyjechał do Potter's Field, bo nigdzie nie mógł znaleźć pracy. Przeszedł jakieś załamanie w Filadelfii i nie zdziwiłbym się, gdyby tutaj robił z igły widły tylko po to, żeby pokazać, jaki jest ważny. O ile dobrze zrozumiałem, powiedział pan, że nie było czasu, by przebadać chłopca na okoliczność tego dziwnego wirusa. Accum twierdzi, że zakażenie zaatakowało chłopcu mózg. Jeśli to prawda, zmiany w tkance mózgowej mogły być spowodowane przez wiele czynników. Na sporządzenie dobrego preparatu, który można zbadać pod mikroskopem elektronowym, potrzeba co najmniej dwóch dni. Jeśli komuś zależy na czasie, może pominąć pewne czynności, tak jak to zrobił Owens, ale jedno wiem z całą pewnością: wyniki uzyskane tak szybko i w ten sposób nie są w pełni wiarygodne. Ja się tak łatwo nie dam przekonać. Niech pan to sobie dobrze przemyśli. Co pana zdaniem brzmi bardziej prawdopodobnie - wścieklizna czy nie znany dotąd, nowy typ wirusa?

- Pan nie widział tego chłopca.

- Ale słyszałem o całej sprawie.

Slaughter popatrzył na niego pytającym wzrokiem.

- Co się pan tak dziwi? Myślał pan, że o niczym się nie dowiem? Do cholery, prowadzę miejscową gazetę. Jestem burmistrzem. Mam ludzi, którzy mnie o wszystkim informują. Jeśli rodzice chłopca wystąpią na drogę sądową, pański przyjaciel będzie miał poważne kłopoty. Lekkomyślnie zaaplikował dziecku środek uspokajający. Oczywiście będzie się upierał, że to wirus zabił chłopca. Na pewno nie przyzna się do winy. Ale zgodzi się pan ze mną, że trudno od niego oczekiwać obiektywnej opinii. Miedzy innymi o tym chcę z panem porozmawiać. Pomijam na razie wyczyn pańskiej pracownicy, która kijem baseballowym ogłuszyła matkę tego chłopca... dziwi mnie zresztą, że pan jej nie aresztował, bo jestem pewien, że poszkodowana poda ją do sądu... A więc Accum. Jest to ostatni człowiek pod słońcem, któremu pozwoliłbym zajmować się chłopcem. On...

- To nie ma nic do rzeczy. Gdyby pan widział dziecko, przekonałby się pan, że zachowywało się nienormalnie.

- Płacimy panu właśnie za to, żeby zajmował się pan sprawami, które odbiegają od normy. Na razie nie musiał się pan zbytnio przemęczać, bo niewiele się u nas działo. Ale ledwo pojawił się jakiś problem, zrywa mnie pan z łóżka w niedzielny rano i namawia do

absurdalnych rzeczy: zarządzenia w dolinie kwarantanny i wystrzelania całego bydła.

Slaughter siedział, wpatrując się w burmistrza. Zaciśnięte w pięści dłonie trzymał między kolanami. Czując, jak krew napływa mu do twarzy, starał się kontrolować oddech.

- Powiedziałem, że trzeba to rozważyć, gdyby doszło do najgorszego - rzekł. - Nie wiem, czy takie środki okażą się konieczne. Po prostu chciałem poznać pana zdanie.

- Nie okażą się. Niech pan mnie przez chwilę spokojnie wysłucha, Slaughter. Opowiem panu coś o sobie. Właśnie mija dwadzieścia lat, odkąd wybrano mnie na burmistrza. Sprawowałem ten urząd, zanim pan tu zamieszkał. Sprawowałem go, kiedy do miasta zjechali się ci hipisi. Od razu wiedziałem, że będą z nimi kłopoty; wiedziałem również, że mogę przyjąć zdecydowaną postawę i przepędzić to tałatajstwo. Ale nie zrobiłem tego, bo ludzie zaczęliby narzekać; chociaż nie cieszyli się z najazdu nieproszonych gości, uważali, że trzeba dać im szansę. Więc cierpliwie czekałem. Obdartusy posługiwały się sprośnym językiem, narkotyzowały się, coraz bardziej zaśmiecały miasto, a ja wciąż czekałem, świadom, że wkrótce mieszkańcy Potter's Field przyjdą mnie błagać, żebym zaprowadził porządek. Tak też się stało. Osiągnąłem swój cel, ale w sposób dyplomatyczny. Rozumie pan?

Slaughter wzruszył ramionami.

- Rzecz w tym - ciągnął Parsons - że ludzie zawsze wiedzą, co jest dla nich najlepsze. Mądry przywódca powinien słuchać się wyborców. Jak pan sądzi, dlaczego od tylu lat głosują na mnie? Właśnie dlatego, że liczę się z ich zdaniem. Robię to, czego ode mnie wymagają. Twierdzi pan, że wybuchnie epidemia? No cóż, pożyjemy, zobaczymy. Pańskie dowody mnie nie przekonują, ale nie chcę nic przesądzać z góry. Uważam jednak, że rozwiązanie, które pan proponuje, jest nie do przyjęcia. Wystrzelać całe bydło? Zabić wszystkie zwierzęta w okolicy? A jeśli nie będzie epidemii, jeśli okaże się, że nieumiejętnie przeprowadzono badania i że lekarz miał w tym jakiś własny interes? Ludzie przeprowadziliby szturm na urząd miejski. Domagaliby się odszkodowania za bydło, a pan nie zarabia tyle, żeby im za nie zapłacić. Kolejny pański pomysł: kwarantanna. Niech się pan zastanowi. Tutejsi mieszkańcy żyją z hodowli bydła. Jeśli rozejdzie się plotka, że bydło jest chore, stracą jedyne źródło utrzymania. Nikt od nich nie kupi mięsa. Nie, musimy poczekać. Jeśli istotnie wybuchnie epidemia, ludzie sami się do nas zgłoszą. Powiedzą nam, co robić, a ich decyzja na pewno będzie słuszna. I wtedy, tak jak przed laty, z czystym sumieniem zrobimy, co trzeba.

- Różnica polega na tym, że wtedy gdy pan czekał, aż mieszkańcy się zniescierpliwia, nikt nie umarł - zauważył Slaughter. - W tej chwili na moim biurku leży stos meldunków, który z godziny na godzinę będzie rósł, aż wreszcie całą dolinę ogarnie panika. Na razie zginął tylko Clifford i ten chłopiec, kilka sztuk bydła zostało rozszarpanych na kawałki, ale

wkrótce ludzie zaczną padać jak muchy i nie będzie można temu zapobiec.

- Pan mnie nie słuchał, Slaughter. Powiedziałem, że nie mamy wyboru. Nie zgadza się pan? Trudno. Proszę zachowywać się tak, jakby nic się nie działo. Wobec osób, które zaraziły się wirusem, jeśli taki wirus istnieje, w co osobiście wątpię, zarządzi pan kwarantannę. Poleci pan swoim ludziom, żeby zgarniali z ulicy psy, koty, czy choćby wiewiórki, które wydadzą im się podejrzanę. Nie wolno panu okazywać zdenerwowania; wszyscy powinni być przekonani, że panuje pan nad sytuacją. Jeśli pan jednym słowem wspomni o epidemii, przysięgam, że gorzko pan pożałuje. Czy wyrażam się jasno? Czy potrafi pan zastosować się do moich poleceń?

Slaughter spojrział burmistrzowi w oczy.

- A wolno mi przynajmniej ogłosić w radiu, że odkryliśmy w mieście jeden przypadek wścieklizny? - spytał.

Parsons zadumał się.

- Tak - odparł wreszcie. - Nie widzę przeszkód. Bądź co bądź badania wykazały, że pies istotnie był chory na wściekliznę i dla dobra mieszkańców trzeba ich o tym powiadomić. Tylko ostrzegam, ani słowa na temat bydła. To dwie różne rzeczy. No, muszę już lecieć. Jestem spóźniony na mszę, a o jedenastej umówiłem się z krewnymi na drugie śniadanie.

Wstał, dając Slaughterowi do zrozumienia, że czas opuścić budynek redakcji.

- Aha - przypomniał sobie nagle. - A co z tym dziennikarzem z Nowego Jorku? Tym Dunlapem?

- Jeszcze nie wyjechał.

- To niech go pan stąd wyprawi. Tego nam tylko brakuje, żeby te bezpodstawne plotki trafiły do prasy. Proszę przypilnować, żeby do wieczora opuścił miasto.

- Nie wiem, czy skończył zbierać materiały do artykułu.

- Skończył, skończył, tylko jeszcze o tym nie wie. Proszę go wsadzić do pociągu, a potem samemu się jakoś oporządzić i nie pokazywać ludziom w takim stanie. Może praca komendanta jest dla pana jednak zbyt uciążliwa.

Slaughter roześmiał się w duchu. Ty skurwysynu - pomyślał. Nie przepuścisz żadnej okazji, żeby komuś dokopać. Z zaciśniętymi pięściami i wypiekami na twarzy ruszył do wyjścia. Przy drzwiach przepuścił burmistrza przodem; jednocześnie przemknęło mu przez myśl, że jeśli nie chce, by Parsons wbił mu nóż w plecy, musi się jakoś zabezpieczyć.

Stał przy automacie i rozmawiał ze znajomym z policji stanowej. Trzaski w słuchawce, a także hałasy dochodzące z drugiego końca linii działały mu na nerwy.

- Słuchaj, Barry, nie mogę ci wyjawić, dlaczego ich potrzebuję, ale...

- Poczekaj chwilę - powiedział rozmówca komendanta i zwrócił się do kogoś w pokoju: - Połóż na biurku. I pamiętaj, jadę z wami. Beze mnie helikopter nie leci. No dobra... Przepraszam, Nathan. Mam tu urwanie głowy. Więc o co chodzi?

- Potrzebuję kilku ludzi. - Slaughter podniósł głos. - Nie mogę ci wyjawić dlaczego, ale może jutro będę potrzebował pomocy.

- Nie mogę ci dać ani jednego - odparł stanowczo głos.

- Ale...

- Niestety. Nie mam nikogo na zbyciu. Wysłałem pięciu ludzi z psami, żeby złapali jakieś zwierzę, które atakuje bydło. Zgłoszono nam zaginięcie kilku kowbojów. Moi ludzie też...

- Ale...

- Moi ludzie też zaginęli, Nathan. Kilku moich chłopaków rozplynęło się w powietrzu. Mam złe przeczucia. Gdybyś zadzwonił pięć minut później, już byś mnie nie zastał. - Ponownie zawołał do kogoś w pokoju: - Mówiłem, żebyście na mnie poczekali! Tak, apteczka może się przydać. Zabierzcie ją do helikoptera... Przykro mi, Nathan, nie jestem w stanie ci pomóc. Sam mam pełne ręce roboty.

- Ale...

- Niestety.

Rozległy się jakieś odgłosy w tle i po chwili połączenie zostało przerwane. Slaughter skrzywił się, odwieszając słuchawkę. Kłopoty piętrzyły się. Przyzwyczał się już do ustawicznego palenia w żołądku, ale nie potrafił poradzić sobie z nawałem myśli kłębiących mu się pod czaszką. Wszystko toczyło się zbyt szybko. Nie było czasu na zastanowienie. Najpierw rozmowa z Parsonsem. Teraz wiadomość o zaginięciu kilku policjantów. Nie dość, że miał tyle na głowie, to jeszcze musiał zabezpieczyć się przed burmistrzem.

Odszedł od automatu do recepcji. Od razu po rozstaniu z Parsonsem zaczął obmyślać plan działania, choć nawet sam przed sobą się do tego nie przyznawał. Ale w takim razie po co korzystał z telefonu w hotelu? Przecież mógł zadzwonić do Barry'ego z posterunku.

- Gordon Dunlap - powiedział do starego recepcjonisty ubranego w dżinsowe spodnie

i kurtkę.

- Co Gordon Dunlap?

- Pytam, do cholery, gdzie go znaleźć?

Recepcjonista zaczął szperać w fiszkach, szukając numeru pokoju.

Ledwo zdobył informację, Slaughter już był na schodach.

- Dzięki! - krzyknął przez ramię do starca i dotarłszy na piętro, zerknął szybko na strzałki wskazujące numery pokoi; skręcił w lewo i biegł korytarzem, dopóki nie trafił na kolejne strzałki. Korytarz rozdzielał się na kilka mniejszych. Skręcił w pierwszy z nich i na końcu ujrzał wreszcie numer pokoju Dunlapa. Minął szybko wiszące na ścianie obrazy i zastukał w drzwi. Nikt nie odpowiedział.

- Gordon, obudź się. To ja, Nathan.

W pokoju wciąż panowała cisza.

- Gordon!

Zapukał jeszcze raz, po czym nacisnął klamkę - nic to nie dało. Ale kiedy oparł się o drzwi, zamek ustąpił i drzwi otworzyły się szeroko.

Nawet nie zamknął ich porządnie - pomyślał. Dunlap leżał wyciągnięty na łóżku, w zachlapanym, pomiętym ubraniu. Na podłodze wałała się pusta butelka po whisky, jakieś papiery, niedopałki, stłuczona popielniczka, przewrócone krzesło.

Co tu się stało? Nagle Slaughter poczuł zapach wymiocin i aż cofnął się o krok, po chwili jednak podszedł do dziennikarza i przyjrzał mu się uważnie. Dunlap nie ruszał się; wyglądał tak, jakby nie oddychał. Slaughter chwycił go za ramię.

- Hej, Gordon, obudź się. To ważne.

Widząc, że ten ani drgnie, potrząsnął nim energiczniej.

- Nie wygłupiaj się, Gordon. Wstawaj. Przyłożył rękę do klatki piersiowej dziennikarza i dopiero kiedy wyczuł bicie serca, odetchnął z ulgą.

- Do jasnej cholery! - zaklął, tarmosząc śpiącego.

Dunlap stęknął i usiłował przekręcić się na bok. Slaughter nie pozwolił mu.

- Gordon, to ja. Nathan. Obudź się. Mamy kłopoty.

Dziennikarz znów stęknął. Z ust mu cuchnęło, ale Slaughter nie miał czasu się tym przejmować. Zarzucił sobie pijacznę na ramię i potykając się, ruszył korytarzem do łazienki. Posadził Dunlapa na sedesie i zaczął rozpinąć mu guziki u koszuli, trwało to jednak zbyt długo, więc niewiele się namyślając, rozerwał ją jednym szarpnięciem. Dunlap przechylił się; tracił równowagę. Slaughter przytrzymał go, ułożył na podłodze, po czym ściągnął z niego buty, spodnie, skarpety i slipy. Slipy były poplamione, więc cisnął je w kąt. Nie zważając na

jęki dziennikarza, wsadził go do wanny i puścił zimną wodę. Dunlap poderwał się z krzykiem.

- Spokojnie...

Krzyk nie ustawał.

Slaughter wymierzył wrzeszczącemu policzek.

- Hej, to ja. Nathan.

Dunlap zamrugał oczami. Białka miał czerwone. Woda zmyła resztki wymiocin, które zaschły mu przy ustach i na brodzie. Leżał nadąsany, z głową przekrzywioną na bok, i wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpląkać. Nagle jego ciałem wstrząsnął potężny dreszcz.

- Wszystko w porządku. Jestem tu z tobą - powiedział Slaughter. - Nie wstydź się, wyrzuć to z siebie.

Mokry od rozpryskującej się wody, przyglądał się, jak nagim ciałem raz po raz wstrząsają dreszcze. Wreszcie Dunlap westchnął głęboko i kaszląc, oparł się o ścianę wanny. Łzy ciekły mu z oczu.

- O co chodzi? Zmory nocne?

Dziennikarz jedynie potrząsnął głową.

- Słuchaj, mam dla ciebie robotę. Ale musisz być trzeźwy.

Dunlap spojrzał na mówiącego. Z kranu wciąż leciała woda.

- Póki jesteś oszołomiony, odpowiedz mi na kilka pytań - ciągnął Slaughter. - W takim stanie chyba nie będziesz zdolny kłamać. Muszę wiedzieć, czy mogę ci ufać.

Dunlap zamknął oczy i zadrżał z zimna. Do wanny lał się lodowaty strumień.

- Spytaj sam siebie - odparł cicho dziennikarz.

- Nie rozumiem.

- Wiesz, jaką chciałbyś usłyszeć odpowiedź. To po co zawracasz mi głowę?

- Słuchaj, przyjacielu, nie jesteś tak pijany, jak udajesz. - Slaughter wbił palce w ramię Dunlapa. - Odpowiedz mi.

- No dobrze, w porządku. Możesz mi ufać.

- Jeśli kłamiesz, pożałujesz, żeśmy się kiedykolwiek spotkali.

- Hej, przecież powiedziałem, że możesz mi ufać. Zabierz tę łapę!

Widząc, że ramię dziennikarza przybiera kolor fioletowy, Slaughter cofnął dłoń. Odsunął się od wanny i usiadł na desce klozetowej.

- Potrzebuję kogoś, kto by mnie osłaniał. Kogoś z zewnątrz, kto nie jest bezpośrednio zaangażowany w sprawę miasta. Chcę, żebyś nie odstępował mnie na krok, żebyś

obserwował wszystko, co robię, i żebyś dokładnie to sobie notował. Wkrótce wybuchnie prawdziwa afera; muszę się porządnie zabezpieczyć.

Dunlap siedział w strugach lodowatej wody, z zamkniętymi oczami, i dygotał z zimna.

- Słyszałeś, co powiedziałem? - spytał Slaughter.

- Jest aż tak źle?

- Tak.

- No cóż, tylko wariat nie skorzystałby z takiej propozycji.

- Tylko wariat by z niej skorzystał. Ale jest jeden warunek. Nic podasz nic do prasy, dopóki nie otrzymasz ode mnie zgody.

- Ale...

- Nie chcę mieć przez ciebie dodatkowych kłopotów. I tak mam pełne ręce roboty.

Woda pryskała na wszystkie strony. Slaughter czuł, jak mokra koszula przykleja mu się do zimnej skóry.

- No dobrze - odparł Dunlap. - Jeśli obiecasz, że nikt mnie nie ubiegnie...

- Nikt.

- Więc zgoda.

Slaughter oparł się o spłuczkę. Nie wiedział, od czego zacząć.

- Mówiłeś, że szukasz ciekawego tematu. Mam dla ciebie prawdziwą sensację.

Dunlap wreszcie otworzył szeroko oczy.

70

Hammelowi nie podobało się zadanie, które mu wyznaczono. Kazano mu sprawdzić wszystkich, którzy mieli styczność z wirusem. Nie dość że obudzono go w środku nocy, nie dość że natknął się na te rozszarpane konie i ledwo uniknął nocnego polowania na rysie, to teraz musiał jeszcze udać się do właściciela psa, którego Accum wczoraj znalazł. Jako nowy pracownik zawsze otrzymywał najgorszą robotę.

Zajrzał do środka przez siatkę w drzwiach; chociaż telewizor włączony był na cały regulator, właściciel psa nie reagował na pukanie. Cholera, przy tylu decybelach nic dziwnego, że nie słyszy - pomyślał Hammel. Huknął pięścią w drzwi i zawołał:

- Proszę pana!

Jedyną odpowiedzią był płynący z telewizora głos kaznodziei. Hammel nacisnął

klamkę i drzwi się otworzyły.

- Halo, jest tu kto?

Wszedł do środka i zatrzymał spojrzenie na puszkach po piwie.

- Gdzie, u diabła...

Może w sypialni albo w łazience? Po prawej stronie zobaczył korytarz i ruszył nim w głąb mieszkania.

- Jest tu kto? - zawołał ponownie.

Najpierw trafił do łazienki, a kiedy uchylił drzwi, uderzył go w nozdrza cuchnący zapach. Nie zważając na smród, postąpił krok naprzód i nagle zrobiło mu się niedobrze. Ujrzał miskę klozetową; ktoś nie spuścił wody.

- Chryste.

Odwrócił się czym prędzej. Korytarz był pusty. W pokoju, który służył za bibliotekę, zobaczył rozrzucone papiery i stłuczony klosz. W sypialni natomiast panował idealny porządek: wszystko stało na swoim miejscu, łóżko było przykryte równiutko, jak w wojsku.

- Dobra. Pora na piwnicę - powiedział sam do siebie.

Najpierw jednak postanowił zadzwonić po pomoc. Coś tu było nie tak.

Idąc do telefonu, usłyszał dobiegające z szafy skrobanie. Wydobył szybko broń, po czym otworzył drzwi szafy. Wskoczył z niej właściciel psa. Hammela uratowała młodość i brak doświadczenia. Inny policjant odruchowo próbowałby odsunąć się na bok, wycelować rewolwer i kazać napastnikowi się poddać; co więcej, z obawy przed ewentualnym procesem sądowym starałby się nie wyrządzić atakującemu krzywdy. Kogoś starszego mógłby poza tym zawieść refleks. Hammel nie usunął się z drogi, nie zastanawiał się, nie wahał. Był zbyt przerażony. Strzelił napastnikowi prosto w twarz.

71

Z odległości kilku metrów patrzyli na skrzynię.

- Zazwyczaj nie przychodzę tu w niedzielę, ale ostatnio mieliśmy sporo pracy - oświadczył brygadzysta. - Pewnie powinienem był zadzwonić do pana, kiedy zobaczyłem tę wybitą szybę, ale chciałem sprawdzić inwentarz, więc wszedłem do środka.

Dojdź pan wreszcie do sedna - pomyślał Slaughter, ale nie ponaglił mężczyzny. Wiedział, że okazując zniecierpliwienie, nic nie wskóra. Łypnął okiem na Dunlapa, który stał

obok, marszcząc czoło.

- Rozejrzałem się po magazynie, ale nie zauważyłem, żeby czegoś brakowało. Nawet przeliczyłem towar, który otrzymaliśmy w piątek.

Od betonowej podłogi ciągnęło ziąbem; w obszernym magazynie panował chłód. Powoli zbliżali się do skrzyni.

- A potem zobaczyłem te puste skrzynie. W piątek, tuż przed końcem roboty, wyładowaliśmy z nich kilka chłodziarek. Nie wiem jak pan, ale ja lubię mieć w pracy porządek. Spędzam tu więcej czasu niż w domu, więc przeszkadza mi, kiedy coś nie jest na swoim miejscu.

- Tak, rozumiem - powiedział Slaughter. Był coraz bardziej zniecierpliwiony i bał się tego, co za chwilę ujrzy.

- Zostawiliśmy te skrzynie otwarte. Ponieważ byliśmy trochę spóźnieni z pracą, pomyślałem sobie, że wpadnę tu dzisiaj i dokończę robotę. I nagle zauważyłem, że jedna skrzynia jest zamknięta. A nie powinna. Kiedy wychodziliśmy w piątek, była otwarta.

Brygadzysta ściągnął wieko i Slaughter zajrzał do środka.

- Jezu Chryste.

To, co zobaczył, było kiedyś żywą kobietą; teraz w skrzyni leżał trup w brudnym, podartym ubraniu, ze skrzepami krwi na twarzy i klatce piersiowej.

Dunlap wyciągnął szyję i też zajrzał do środka.

- Nic z tego nie rozumiem - rzekł brygadzysta. - Niech pan mi powie, komendancie, skąd ona się tu wzięła? Ze strachu o mało nie narobiłem w gacie. Kto ją zabił? Dlaczego ją tu schował?

Slaughter z trudem wydobył głos.

- Komu pan o tym jeszcze mówił? - spytał.

- Nikomu. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do kostnicy, ale uznałem, że najpierw powinienem zawiadomić pana.

- Słusznie pan postąpił. To musiał być dla pana duży szok. Niech pan teraz idzie do domu, my się wszystkim zajmiemy. Dokończy pan pracę jutro rano, kiedy nas nie będzie.

- Chętnie panom pomogę.

- Spełnił pan swój obowiązek. Jestem pełen podziwu dla opanowania, jakie pan wykazał. A teraz proszę iść. Poradzimy sobie sami.

Ulga odmalowała się na twarzy brygadzysty, kiedy usłyszał, że nie jest dłużej potrzebny. Pokręcił się jeszcze chwilę przy skrzyni, po czym ruszył do wyjścia. Przy drzwiach obejrzał się przez ramię.

- Zadzwoń, gdybym miał jakieś pytania - powiedział mu Slaughter.

Brygadzysta skinął głową i wyszedł.

Komendant odczekał, aż warkot silnika ucichnie w oddali, po czym spojrzał na Dunlapa.

- Zapisuj wszystko, co robię - rzekł.

- Ale...

- Obserwuj dokładnie.

Pochylił się nad skrzynią i ujął kobietę na nadgarstek. Nie wyczuł tętna. Podniósł jej powieki; źrenice nie rozszerzyły się. Wyjął z kieszeni lusterko i podsunął je kobiecie pod nos. Nie zaparowało się.

- Sądysz, że nie żyje? - spytał Dunlapa.

- Na to wygląda.

- A jednak nie umarła.

- Muszę ci wierzyć, jeśli to, co mówisz, jest prawdą.

- Moglibyśmy ją zawieźć do kostnicy, ale mimo że nastał już świt, nigdy nie wiadomo, czy się po drodze nie obudzi.

- I nas nie zaatakuje?

- Tak.

Dunlapa przeszły ciarki po grzbiecie.

- Jesteś świadkiem - powiedział Slaughter. - Sprawdziłem, czy żyje, i wszystko wskazuje na to, że nie. Mogą mnie najwyżej oskarżyć o profanację zwłok.

Wydobył broń i pochylając się nad skrzynią, odwiódł kurek.

72

Przeszła pieszo dwanaście przecznic od dworca do domu, chociaż z torebką w jednej ręce i walizką w drugiej było jej dosyć niewygodnie. Wcześniej dojechała autobusem aż do Cheyenne i dopiero tam zdała sobie sprawę, że w pośpiechu nie wzięła z domu kilku rzeczy, które mogły jej się przydać; poza tym należała jej się też połowa pieniędzy, które mieli na koncie. Jestem nie tylko głupia, ale i roztrzepana - pomyślała. Owszem, przespała się z Orvalem, ale chodziło jej głównie o to, żeby zezłościć Williego. Przecież nie zamierzała porzucać męża. Chciała po prostu wzbudzić w nim zazdrość. Miała nadzieję, że zacznie ją

doceniać, kiedy zobaczy, że wpadła w oko jego bratu. Ale Orval przekonał ją, że ze względu na własne bezpieczeństwo powinna wyjechać. Zbliżając się do domu nie była pewna, jak się zachować. Na podjeździe zobaczyła dwa samochody, męża oraz szwagra, i nastawiła się psychicznie na awanturę; kiedy jednak otworzyła drzwi, zaskoczyła ją cisza i panujący wszędzie bałagan.

- Willie! - zawołała.

Nikt nie odpowiedział. Wiedziała, że bracia nie wypuszczają się nigdzie bez samochodów, a skoro oba stały przed domem, znaczyło to, że Willie i Orval muszą być gdzieś w pobliżu. Weszła do kuchni i nagle spostrzegła ślady krwi prowadzące do piwnicy. O Boże, pozabijali się! Rzuciła się pędem po umazanych krwią schodach i po chwili dojrzała wyciągnięte w rogu na podłodze ciała. Orwała, jakiejś nieznajomej kobiety oraz Williogo, który miał wbity w brzuch nóż. Zaczęła krzyczeć i krzyczała tak długo, aż wreszcie ktoś ją usłyszał i przyszedł sprawdzić, co się stało.

73

Slaughter nie wiedział, jak się to wszystko zakończy i kiedy. Patrzył na leżące w rogu ciała, porzniete, posinaczone, miejscami ponadgryzane. Nie był pewien, ile jeszcze zdoła wytrzymać. Już nawet nie czuł wstrętu czy obrzydzenia; był po prostu w szoku.

Odwrócił się do Dunlapa. Żona Williogo znajdowała się na górze, pod opieką lekarza. Pierwszym człowiekiem, który usłyszał jej krzyk, był chudy, cierpiący na astmę policjant nazwiskiem Winston. Wprawdzie twarz miał bladą jak kreda, ale panował nad sobą.

- Słyszałeś, co zrobił Hammel? - spytał go komendant.

- Tak, zastrzelił faceta.

- Gdyby go nie zabił, mógłby wylądować w piwnicy jak ci tutaj. Cholera jasna, jeszcze w czwartek wieczorem rozmawiałem z Williem. Widziałem też jego brata.

- Szefie, przyznam się panu, jestem przerażony.

- Pomyśl tylko, ile jest w mieście piwnic? I ile w nich ciał?

Stali w milczeniu, starając się nie patrzeć na leżące w rogu zwłoki.

- Cóż, nie mam wyboru - powiedział Slaughter. - Dzwoniłem do policji stanowej, ale sami mają pełne ręce roboty. Pozostaje mi tylko ściągnąć gwardię narodową.

Nagle zdał sobie sprawę, że to wykracza poza jego kompetencje. Tylko Parsons mógł

weszać gwardię do pomocy, ale nawet on musiał najpierw otrzymać pozwolenie od gubernatora. Nie była to sprawa, którą można by załatwić od ręki. A do wieczora było już niedaleko.

- Szefie, a oddziały wojskowe, które stacjonują w mieście? - spytał Winston. - Nie trzeba ich wzywać, skoro są na miejscu...

- Znakomity pomysł. Zwróć się do nich. Na razie trzeba chodzić od domu do domu i przed zachodem słońca sprawdzić wszystkie piwnice. Co dalej, jeszcze nie wiem.

- A co z tą trójką? - Winston wskazał na zwłoki.

- Nie będziemy ich ruszać.

- Co?

- Są zapasem żywności. Nie pytaj, skąd wiem, ani dokąd poszło to, co je zabiło. Przeszukaliśmy dom; tu go nie ma. Ale jestem pewien, że jeśli w nocy nie uda mu się nic nowego upolować, to...

- Wróci tu, żeby się pożywić?

Na samą myśl zrobiło im się niedobrze.

- Czeka cię dziś mnóstwo pracy - powiedział Slaughter, zwracając się do Winstona. - Ale przed zmierzchem masz wszystko odstawić i przyjechać tutaj. Kiedy się pojawi, nie zadawaj żadnych pytań. Celuj dobrze i strzelaj.

- To będzie morderstwo.

- Ta trójka też została zamordowana. Obecna sytuacja zmusza nas do zmiany postępowania. Dawne reguły już nie obowiązują.

74

Z trudem wędrowało ulicą.

Posuwało się naprzód na czworakach, starając się zasłonić oczy przed słońcem, ale to nic nie pomagało i ból, jaki czuło, był prawie nie do zniesienia. Warczało, a z ust ciekła mu piana, choć wcale tego nie chciało. Przerwana biała linia ciągnęła się w nieskończoność, a ono zataczało się raz w prawo, raz w lewo, gdy ledwo przytomne z bólu próbowało się jej trzymać. Czasem mijały je jakieś przedmioty, które trąbiły. Wokół rozbrzmiewały głosy. Ilekroć czuło, że zbliżają się do niego ludzie, warczało, szczerząc pokryte pianą zęby, po czym wędrowało dalej. Nie wiedziało, skąd się tu wzięło. Pamiętało drzewa i pastwiska; nie

rozumiało, czym jest ta gorąca, czarna powierzchnia z białą, przerywaną linią. W pobliżu rozległ się krzyk. Co rusz pojawiały się kolejne trąbiące przedmioty. Ból. Potworny ból. Upadło, uderzając brzuchem i twarzą o gorącą czarną powierzchnię. Biała linia wydobywała się teraz jakby z jego nosa. Podrapało się po czole i szarpnęło głową. Szepty dochodziły z coraz bliższej odległości. Zaczęło warczeć, żeby odstraszyć natrętów.

75

Rettig zatrzymał wóz, zaintrygowany tłumem, który w niedzielny rano zgromadził się na głównej ulicy. Samochody i ciężarówki przystawały, kierowcy wysiadali, wszyscy na coś wskazywali. Zbiegowisko robiło się coraz większe, do ludzi na chodniku co rusz przyłączały się kolejne grupy ciekawskich. Rettig zatrzasnął drzwiczki, włożył kapelusz i z dłonią na kolbie rewolweru ruszył w stronę zgromadzenia. O co, do diabła, chodziło? W ciągu ostatnich dni wydarzyło się tyle rzeczy, że zupełnie nie wiedział, czego jeszcze oczekiwać. Dziś o świcie, na przykład. Nawet jak na tak małe miasto, wieść rozniosła się w błyskawicznym tempie. Ludzie wpadli w panikę, jedni zaczęli wyjeżdżać, inni nerwowo radzić, co robić. Odkąd wyszedł z domu, widział trzy korki uliczne i stracił sporo czasu, żeby je rozładować. Potem zastrzelił atakującego z wściekłością psa, a jego krwawiącego właściciela zawiózł do lekarza. Nie opodal pralni znalazł rozszarpane ciało kobiety. A teraz ten tłum blokujący ulicę. Rettig miał złe przeczucia.

Był osłabiony z niewyspania, przerażony myślą, że wkrótce w mieście zapanuje chaos, i bał się o najbliższych. Zadzwoił do siostry w Denver i spytał, czy żona i dzieci mogą do niej na jakiś czas przyjechać. Przed wyjściem zaś przykazał rodzinie, aby nie wychylała nosa za drzwi. Teraz żona pakowała się; wiedział, że spośród tych, którzy jeszcze nie opuścili miasta, duża część też szykowała się do wyjazdu.

Wysiadając z samochodu, nie był pewien, czego się spodziewać; sądził, że podobnych kłopotów, z jakimi ostatnio miał do czynienia. Ale z każdym krokiem ogarniały go coraz większe wątpliwości. Intuicja mówiła mu, że kiedy tłum się rozstąpi i zza tej ludzkiej kurtyny wyłoni się środek jezdni, ujrzy coś, z czym jeszcze nigdy w życiu się nie zetknął, coś tak potwornego, że raz na zawsze zmieni się jego obraz świata.

Słyszał słowa, ale ich nie rozumiał, nie potrafił domyśleć się ich sensu, może dlatego, że chrapliwy głos, który je wypowiadał, przypominał gardłowe warczenie psa. Rettig

przepchał się przez tłum i nagle stanął jak wryty. Jego oczom ukazało się coś, co kiedyś pewnie było normalnym człowiekiem. Dziwołag warczał, ślinił się, wykonywał jakieś nerwowe, nieskoordynowane ruchy; ciało miał okryte szmatami, a raczej wyliniałym futrem; po rękach i nogach lała mu się krew; długie, sięgające do pasa włosy opadały na ziemię, podobnie jak nie ścinana od lat broda, która też musiała sięgać do pasa; twarz zaś była czarna od brudu i pokryta strupami, po których łążyły robaki. Wykrzywiając się i mrużąc oczy, dziwołag powtarzał chrapliwym, zdławionym głosem:

- Ala ronowa, ala ronowa.

Rettig wciąż nie domyślał się sensu słów. Cofnął się o krok, czując, jak wali mu serce. Nagle doznał olśnienia. Zrozumiał ten bełkotliwy charkot, to rżenie.

- Sala tronowa - mówił dziwołag. - Sala tronowa, sala tronowa, sala tronowa...

76

Przyroda wdarła się z powrotem na zawłaszczony niegdyś przez ludzi teren. Tam, gdzie ścięto drzewa do budowy jadalni i kwater do spania, wyrosły nowe. Ścieżki i plac apelowy wypełniły krzaki i chwasty. Część ścian zawałiła się, z sufitów pozostały tylko belki stropów, na zawiasach brakowało drzwi. W budynkach, wśród pajęczyn i pyłu sypiącego się z desek, w których owady drażyły kanaliki, zwierzęta pozakładały gniazda. W oknie bez szyby przysiadł ptak, który kręcąc łebkiem, przyglądał się ruinie. Wieloletni kurz okrywał podłogę. W jednym z górnych rogów bzycała chmara szerszeni. Na ścianach widać było wypłowiałe hasła i rysunki malowane zieloną i czerwoną fosforyzującą farbą: jeden przedstawiał czaszkę z piszczelami, drugi szkielec wpisany w pięciokąt, inny flagę amerykańską z karabinami zamiast pasów i kulami zamiast gwiazd.

Huczał wiatr.

77

Stali wokół leżącej na łóżku postaci.

- Wiecie, co to za jeden? - spytał Accum.

- Ten dziwołag?

Spojrzeni na Rettiga. Zmieszał się.

- Przepraszam. Już sam nie wiem, co mówię.

Człowiek na łóżku ubrany był teraz w szpitalną koszulę, której górna część była widoczna nad prześcieradłem. Brodę mu przystrzyżono, włosy obcięto i podłączono go do kroplówki. Choć był nieprzytomny i nie ruszał się, na wszelki wypadek został przywiązany do łóżka pasami.

- Ja wiem - odparł Dunlap i wszystkie pary oczu skierowały się na niego. Na twarzy dziennikarza malowało się napięcie. Po chwili milczenia oznajmił: - Slaughter tu wtedy jeszcze nie było, ale dziwię się, że panowie nie odgadli. Pochodzi z obozu w górach.

- Co takiego?

- Przy nadgarstku ma wytatuowany numer. Zanim Quiller pozwolił komuś dołączyć do obozu, tatuował mu numer.

- To prawda.

- Ale przecież ci ludzie się stamtąd wynieśli - rzekł Slaughter.

- Jesteś pewien? - spytał Dunlap.

- Od dawna ich tam nie ma - powiedział Rettig. - Czasem chodzę w góry na polowania. Obóz stoi opuszczony od wielu lat.

- To nie znaczy, że nie przenieśli się gdzie indziej. Może wystraszeni ostrymi zimami i tamtym morderstwem postanowili znaleźć sobie lepsze miejsce.

- Ale gdzie?

Skrepowana pasami, nieprzytomna postać drgnęła, potrząsnęła głową, rozchyliła nozdrza i jakby w odpowiedzi na pytanie wymamrotała:

- Ala ronowa.

- Co? - Accum zmarszczył czoło.

- Powiedział "sala tronowa" - wyjaśnił lekarzowi komendant. - Ja też z początku nie rozumiałem. Bełkotał to, kiedy Rettig go znalazł.

Smród w pokoju był tak intensywny, że Slaughterowi zbierało się na mdłości. Wprawdzie obcego umyto zaraz po przywiązaniu go do łóżka, jednakże w powietrzu nadal unosił się zapach zgniłego mięsa, potu i pleśni, a z nim mieszała się mdląca woń lekarstw.

- Ciekawe, gdzie się przez cały ten czas podziewał?

- W sali tronowej - odparł Dunlap.

- Żartowniś.

- Nie, ta sala ma dla niego duże znaczenie. Może należałoby go o nią spytać.

- Przecież widzisz, że jest nieprzytomny.

- Co z tego? Nie szkodzi spróbować.

Slaughter popatrzył na Accuma.

- Sam nie wiem - rzekł lekarz. - Facet jest ciężko chory. Ale prawdę mówiąc, jego stan nie pogorszy się od kilku pytań.

- Daremny wysiłek - stwierdził komendant.

- Nigdy nic nie wiadomo. Spróbujmy. - Dunlap pochylił się nad leżącym. - Słyszysz mnie? - spytał.

- Uważaj - ostrzegł go Slaughter.

Dziennikarz skinął głową i odsunął się nieco od łóżka.

- Słyszysz mnie?

Obcy nie zareagował. Dunlap chwilę odczekał, po czym zniżył głos i ponownie spytał:

- Słyszysz mnie?

Tym razem postać na łóżku drgnęła i nagle zasyczała.

- Jesteś wśród przyjaciół - szepnął dziennikarz. - Opowiedz nam o sali tronowej.

- Sala tronowa. - Głos wciąż był chrapliwy, ale słowa brzmiały wyraźniej.

Dunlap popatrzył po zebranych, wreszcie zwracając się do obcego powiedział łagodnie:

- Tak, sala tronowa. Gdzie ona jest?

- Czerwona sala.

Dziennikarz skrzywił się i znów spojrział na stojących przy łóżku mężczyzn.

- Może chodzi mu o krew?

- Może - odparł Slaughter. - Ale równie dobrze może to być jakieś skojarzenie z dzieciństwa. Nie wiadomo.

Wtem obcy zaczął wrzeszczeć, jakby go obdzierano ze skóry, miotać się po posłaniu i szarpać krępujące go pasy. Jego krzyk stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej przeciągły, aż wypełnił sobą cały pokój, po czym nagle, równie niespodziewanie, jak wyrwał się mężczyźnie z piersi, zamarł mu na ustach. Jęcząc cicho, chory opadł z powrotem na łóżko. Nie mogli oderwać od niego oczu. Za drzwiami gromadziły się pielęgniarki.

- Nie możesz mu zrobić zastrzyku przeciwbólowego? - spytał Slaughter lekarza.

- Boję się ryzykować. Możemy jedynie biernie patrzeć, co z nim będzie dalej.

- A światła? Nie można ich ściemnić?

- Jest nieprzytomny, nie powinny mu przeszkadzać. Ale czemu nie? Możemy je zgasić.

Accum ruszył do drzwi i nacisnął kontakt. W pokoju zaległ mrok, paliła się tylko mała

lampka nad łóżkiem.

Mimo to chory wciąż jęczał i rzucał głową z boku na bok. Stopniowo jednak zaczął się uspokajać.

Dunlap powrócił do pytań.

- Jaka czerwona sala? Opowiedz o niej.

Cisza.

- Czerwona sala - powtórzył dziennikarz. I w odpowiedzi usłyszał:

- Czerwona sala, czerwona sala, antylopa.

- Uprzedzałem, że to nie ma sensu - zniecierpliwił się Slaughter. - Majaczy, i tyle.

- Albo mówi o czymś, co dla niego jest ważne - rzekł Dunlap.

- Więc wytłumacz mi, o co mu chodzi.

- Nie umiem.

- No właśnie. Po prostu sami musimy sprawdzić, dokąd się przenieśli. Jeśli czerwona sala naprawdę istnieje, chcę się przekonać, co w niej jest.

- Ale gdzie ich szukać? - spytał Rettig. - Ludzie od lat polują w górach, łowią ryby, rozbijają biwaki. Prędzej czy później ktoś by na nich trafił.

- A może trafił? - wtrącił dziennikarz. - Warto przejrzeć kartotekę osób zaginionych, uwzględniając również zgłoszenia z innych części kraju. Może trzeba cofnąć się kilka lat wstecz...

- Slaughter, czy zechce mi pan łaskawie wyjaśnić, co się tu dzieje?

Mężczyźni znieruchomieli na dźwięk głosu, który w małej salce zahuczał jak grzmot. Kiedy odwrócili się do drzwi, ujrzeli w nich potężną sylwetkę Parsonsa. Po chwili przenieśli wzrok na komendanta.

- Jeszcze nie wiemy - odparł Slaughter. - Właśnie...

- Na korytarzu.

- Słucham?

- Czekam na pana na korytarzu.

Parsons cofnął się i puścił drzwi, pozwalając, by się za nim zatrzasnęły. W pokoju zaległa cisza. Wszystkie pary oczu skierowane były na Slaughtera.

- Cóż, wiedziałem, że do tego dojdzie.

- Do czego?

- Nieważne. Przepraszam, muszę pogadać z burmistrzem.

Odwrócił się i wyszedł. Parsons stał na korytarzu. Przezornie zaczekał, aż drzwi zamkną się za Slaughterem, po czym ryknął:

- Do jasnej cholery! Co ten dziennikarz tu jeszcze robi? Miał pan wsadzić go do pociągu i przypilnować, żeby wyjechał z miasta!

Stojące na końcu korytarza pielęgniarki spojrzały na nich z zaciekawieniem.

- Nie mogę go do niczego zmuszać.

- Jeśli nie chce pan stracić pracy, to...

- Właściwie nic o sobie nie wiemy, panie burmistrzu, a za mało mamy czasu, żeby nadrobić te zaległości teraz. Postaram się jednak opowiedzieć panu coś o sobie. Wiele razy byłem w podobnej sytuacji. Kiedy pracowałem w Detroit, ilekroć pojawiały się problemy, moi zwierzchnicy natychmiast zaczęli rozglądać się, szukając kozła ofiarnego. Zarówno ja, jak i inni policjanci, szybko nauczyliśmy się troszczyć o to, żeby nikt nam nie mógł nic zarzucić. W Potter's Field mamy obecnie same problemy. Więc pan, oczywiście, szuka kozła ofiarnego, ale ja nim nie będę. To na moją prośbę Dunlap nie odstępuje mnie na krok. Jesteśmy jak bracia syjamscy. Towarzyszy mi wszędzie, nawet jak idę do kibla. Tak, tak, zabezpieczyłem się; Dunlap notuje wszystko, co robię. Więc jeśli zechce mi pan coś zarzucić albo wykonać jakiś inny chytry numer, żeby chronić swoją wspaniałą reputację, Dunlap z czystym sumieniem za mnie poręczy.

- Ja pana...

- Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Pan chce siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak się sprawy potoczą. Ja natomiast niczemu nie zamierzam się biernie przypatrywać. Jeśli zajdzie potrzeba, ogłoszę stan wyjątkowy. Wprawdzie nie jestem do tego upoważniony, ale trudno; później możemy się spierać o kompetencje. W przeciwieństwie do pana, nie chowam głowy w piasek. Niewykluczone, że popełnię jakieś błędy. Ale wtedy przyjmę za nie odpowiedzialność. Przysięgam jednak na wszystkie świętości, że nie będę odpowiadał za pańską bezczynność.

Parsons zmierzył Slaughter'a lodowatym wzrokiem.

- Pożałuje pan, że się tu przeniósł.

- Może - odparł komendant. - Ale radzę panu się dobrze zastanowić. Jeśli okaże się, że miałem rację, ludzie panu przypiszą zasługę. Jeśli okaże się, że jej nie miałem, może pan wskazać na mnie jako na winowajcę. Dunlap jest moim zabezpieczeniem, świadkiem i tarczą. A teraz przejmuję ster w swoje ręce i radzę panu o tym pamiętać.

- Spokojna głowa, na pewno nie zapomnę. - Parsons dygotał z nienawiści. - Nie zapomnę pana do końca życia. Na samą myśl, jak pana załatwiłem, będę zacierał ręce z uciechy.

Owens nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Zjawił się jednak w gabinecie Slaughtera, gdzie czekali już Accum, Rettig i jakiś mężczyzna, którego widział po raz pierwszy w życiu.

- Cieszę się, że pan przyszedł - powiedział komendant.

- Nie mogę się zbyt długo zasiedzieć. - Weterynarz wskazał przez okno na sznur pojazdów wyjeżdżających z miasta. - Do wieczora nikogo tu nie będzie.

Slaughter popatrzył na Owensa, po czym wyrzwał na ulicę.

- Wieść się szybko rozniosła. To dobrze, że ludzie uciekają. Będziemy mieli łatwiejsze zadanie.

- Jakie zadanie? Ochronę wyludnionego miasta?

- Nie spodziewałem się tego po panu. Pomagał nam pan od samego początku. Myślałem, że możemy na pana liczyć.

- Przecież to nie ma sensu. Sam pan wie, że jesteśmy bezsilni.

- Nie można się poddawać.

- Łatwo panu mówić. Pan nie ma rodziny. Moja żona i dzieciaki pakują się do drogi.

- Moi też się pakują. Ale to nie znaczy, że ja z nimi wyjeżdżam - powiedział Rettig.

Owens spojrzał na niego, potem na innych. W jego oczach był wyraz niedowierzania.

- Do was wciąż nic nie dociera, prawda? - spytał. - To, że zakażone wirusem ofiary nie lubią światła; to, że wychodzą z ukrycia po zmierzchu; sposób, w jaki oddziałują na nie księżyc; to, że wzrasta liczba zaatakowanych...

Slaughter potrząsnął głową.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli - rzekł.

- Chodzi o księżyc, panie komendancie. Dziś w nocy jest pełnia. Tu będzie istny dom wariatów.

Spojrzeli na niego z napięciem.

- Pan jest gliną, Slaughter - kontynuował Owens. - Czy pracując w Detroit nie zauważył pan, jak szaleńcom odbija, kiedy nastaje pełnia księżyca albo kiedy zmieniają się pory roku? Zresztą nie trzeba być gliną, żeby to zaobserwować. Niech pan porozmawia z jakimkolwiek lekarzem. Niech pan porozmawia z ludźmi z działu skarg i zażaleń w dużym domu towarowym. Wszyscy potwierdzą moje słowa. Księżyc dziwnie wpływa na ludzi. I nie

tylko na ludzi, bo nawet moje zwierzątka w laboratorium reagują na pełnię. W dodatku dziś jest noc sobótkowa. A z czym się dawniej kojarzyła noc sobótkowa? Z chaosem, panie komendancie. Z zamętem. Proszę się dobrze zastanowić. W mieście szaleje wirus, który atakuje ciało migdałowate mózgu i sprawia, że chory zachowuje się tak, jak jego przodkowie sprzed setek tysięcy lat. Zobacz pan, dzisiejszej nocy tu będzie istne piekło!

Wszyscy słuchali, bladzi z przerażenia.

- Chryste!

- Napędził mi pan porządnego stracha - rzekł Slaughter; przez chwilę wpatrywał się w biurko, potem zerknął przez okno i wreszcie spojrzął na weterynarza. Odetchnął głęboko. - Sądząc po tym, co dotąd widzieliśmy, pewnie ma pan rację. Diabli wiedzą, co tu się jeszcze może wydarzyć. Ale jakie jest wyjście?

- Wyjechać, zanim będzie za późno.

- To nie wchodzi w grę.

- Dlaczego?

- Moje miejsce jest tutaj.

- Co pan chce udowodnić, komendancie? Pozostając tu, nic pan nie zmieni, a jeśli nawet zdoła pan pomóc kilku osobom, kto panu za to podziękuje? Parsons? On dba tylko o własne interesy. Sądzi pan, że mieszkańcy doliny będą panu wdzięczni, jeśli pan za nich zginie? Proszę się nie łudzić. Jedni popukają się w czoło, inni powiedzą, że się pan przeliczył z siłami i tyle. Naprawdę, niech pan wyjedzie, póki jeszcze czas.

- Ja nikomu nic nie chcę udowadniać, panie Owens. Po prostu muszę zostać. Jeśli wyjadę, do końca życia nie będę mógł sobie spojrzeć w oczy. I myślę, że pan też nie wyjedzie.

- To się pan grubo myli. Żegnam panów.

Patrzyli na niego w milczeniu, a on na nich, i kiedy przestąpił z nogi na nogę, byli pewni, że jednak odejdzie, lecz on nie ruszył się z miejsca.

- No i co? - spytał Slaughter. - Sumienie nie pozwala?

Owens nie odpowiedział.

- A może chce pan nam jeszcze coś powiedzieć?

Owens przełknął ślinę i dalej milczał.

- Niech pan posłucha - rzekł Slaughter. - Jest teraz środek dnia. Kłopoty zaczną się dopiero wieczorem. Zdąży pan wyjechać. Niech żona z dziećmi ruszają w drogę, a pan później do nich dołączy. Przyda nam się pańska pomoc. Udzielił nam pan wiele cennych informacji, choć nie wiem, jak je wykorzystać. Pana obecność jest dla nas bardzo ważna.

- Dobrze - odparł wreszcie weterynarz. - Zostanę, ale tylko do zachodu słońca.
- O nic więcej nie śmiałybym prosić.

Slaughter wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Owensa. Weterynarz odprężył się i po chwili wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Znów stanowimy zespół - powiedział Slaughter. - No, panowie, do roboty.

79

Parsons przyciągnął drugą zaporę na środek dwupasmowej szosy. Zapory przypominały kozły do rżnięcia drewna, tyle że były wyższe i dłuższe. Znalazł je porzucone na poboczu, obok miejsca, gdzie drogowcy naprawiali asfaltową nawierzchnię, i kiedy w końcu ustawił je w poprzek szosy, skutecznie zablokował oba pasy ruchu. Teraz stał zwrócony twarzą do sznura pojazdów, których kierowcy chcieli opuścić miasto. To, do czego się posunął, było sprzeczne z całą jego filozofią życiową. Zawsze dotąd przyjmował bierną pozycję; był bezwładnym nośnikiem władzy, unikał czynnego angażowania się w cokolwiek. Nie dlatego tyle lat utrzymywał się na stanowisku burmistrza, że przejawiał jakąkolwiek inicjatywę, ale dlatego, że akceptował decyzje podjęte przez większość. Niezmiennie hołdował zasadzie, że ta władza jest najlepsza, która rządzi najmniej. Zadanie pracowników państwowych, uważał, nie polega na przewodzeniu, lecz na słuchaniu i dostosowywaniu się do woli ogółu. Przez dwadzieścia lat, odkąd został burmistrzem, ta zasada się sprawdzała. Teraz po raz pierwszy go zawiodła. Ze swojego domu na przedmieściu widział, jak ludzie tłumnie wyjeżdżają. Prosił przyjaciół, żeby zostali, żeby mu ufali. Może gdyby wcześniej przystąpił do działania, posłuchaliby go, ale ponieważ nie zrobił nic, miasto pustoszało, a władza, którą biernie dzierżył, coraz mniej znaczyła. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że przegrał. A co więcej, że mieszkańcy już nigdy nie wybiorą go na burmistrza. Jeśli miasto zostanie uratowane, jeśli ludzie powrócą, nie będzie mógł liczyć na ich zyczliwość. Będą domagali się zmian, wybiorą nowego burmistrza, który będzie inaczej sprawował władzę; on, Parsons, znajdzie się w identycznej sytuacji co odsunięci od władzy prezydenci czy inni wpływowi przywódcy, na których patrzy się z politowaniem. Miał świadomość, że słysząc to porównanie, ktoś mógłby go oskarżyć o megalomanię, ale przecież to miasto i ta dolina były jego królestwem. Rządził nimi niepodzielnie i po prostu nie wyobrażał sobie, że mógłby być usunięty ze stanowiska i nikomu nie potrzebny.

Ustawivszy zapory, ze strzelbą w ręce ruszył wolno do najbliższego pojazdu. Stojąc przy oknie kierowcy, górował nad samochodem. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich się nauczył: onieśmielać innych swoim wzrostem i posturą.

- Proszę zawrócić. Musimy wspólnie to rozwiązać.
- Niech pan usunie zapory, zanim je staranuję.
- Staranuje pan i co? Kłopoty same nie znikną, a jeśli wszyscy uciekną...

- Panie, mojego sąsiada zagryzł jego własny wilczur. Dwa domy dalej jakiś facet zupełnie oszalał. Słyszałem o dwudziestu osobach, które zaginęły od wczoraj. Coś się tu

dzieje, a wy próbujecie to ukryć. Nie wiem, o co chodzi, i nie będę czekał, żeby się przekonać na własnej skórze.

- Przestrzele panu opony.

- Tym za mną też? Nie starczy panu naboju. Niech pan usunie tę blokadę i nas przepuści.

- Nie mogę. Nie wiem, co za zaraza szaleje w mieście, ale nie pozwolę, żebyście ją rozwlekli po całej okolicy. Od dziś dolina objęta jest kwarantanną.

Zdawał sobie sprawę, że postępuje odwrotnie niż zapowiedział Slaughterowi, ale był z komendantem w stanie wojny i jeśli taktyka wroga mogła okazać się skuteczna, zamierzał się nią posłużyć. Zresztą sytuacja do tego stopnia wymknęła się spod kontroli, że strategia, którą teraz obrał, była chyba najlepszym rozwiązaniem. Ponownie zwrócił się do kierowcy:

- Jeśli wszyscy uciekniecie, jeśli tę dolinę szlag trafi, to nie będziecie mieli po co ani do czego wracać. Na miłość boską, nie możecie się tak po prostu poddać! Trzeba walczyć!

Na szosie utworzył się długi korek. Zniecierpliwieni kierowcy trąbili, coraz więcej osób wysiadało z samochodów i gromadziło się przy burmistrzu. Parsons trzymał strzelbę w pogotowiu.

- Zaufajcie mi. Wiem, jak możemy to wspólnie pokonać. Niektórzy kierowcy zaczęli ściągać z drogi blokujące ją zapory.

- Nie pojmujecie? Wszystkiemu winien jest ten obóz w górach.

Tak, o obozie również wiedział. Wszędzie miał swoich informatorów i kontaktował się z nimi systematycznie od czasu ostatniej rozmowy ze Slaughterem. Kilku rzeczy jeszcze nie rozumiał, ale przynajmniej znalazł kozła ofiarnego. Poza tym ci hipisi naprawdę stanowili zagrożenie i skoro kiedyś potrafił o tym przekonać mieszkańców, liczył, że teraz też mu się uda. Przyjrzał się twarzom zebranych.

- Obóz? - Mężczyźni usuwający blokadę przerwali pracę. - Przecież wynieśli się stamtąd już dawno temu.

- Nie, oni ciągle tam są. Przenieśli się w inne miejsce, ale ciągle są w naszych górach. Diabli wiedzą, co robili przez te wszystkie lata, ale jedno jest pewne: dostali pomieszania zmysłów, a w dodatku zarazili się jakąś dziwną chorobą. Coś w nich wstąpiło i teraz ta obca siła każe im schodzić do doliny. Tak, wiem, koty i psy też się pozarażały, ale ze zwierzętami sobie poradzimy. Najbardziej niepokoi mnie ten obóz.

Starał się wzbudzić w nich pierwotny plemienny instynkt, zrzucić całą winę na obcych, których nikt nie rozumiał, i przez to każdy się obawiał. Trochę było mu wstyd grać na strachu i emocjach swoich wyborców, ale nie miał wyjścia; odżyła w nim dawna nienawiść

do tych brudasów w górach, a wściekłość, jaką czuł wobec Slaughtera, dosłownie się w nim gotowała. Pragnął zemsty. Pragnął zniszczyć Slaughtera. I odzyskać w mieście władzę. Nikt nie ma prawa traktować go w taki sposób, jak to uczynił Slaughter. Ten pyszałkowaty glina gorzko pożałuje. Przyglądał się uważnie kierowcom.

- Nie pamiętacie, jak to było przed laty? Zejdą z gór i nas zabiją, jeśli ich nie powstrzymamy.

Mężczyźni milczeli.

- Zresztą nie potrzebuję waszej pomocy. Porozmawiam z ranczerami, kowbojami. Oni wiedzą, co jest ważne. Nie pozwolą spisać na straty wszystkiego, co osiągnęli własną ciężką pracą. Pomyliłem się co do was. Myślałem, że jesteście faceci z jajami.

Trafił w czułą strunę. Najpierw niech przetrwają to, co usłyszeli - pomyślał; potem spyta ich, czy znali pomordowanych, i opowie im o Slaughterze, o jego nieudolności i braku kompetencji, a także o tym jak on, burmistrz, nie mogąc dłużej patrzeć na safandulstwo komendanta, postanowił przejąć sprawy w swoje ręce.

80

Stali pochyleni, uważnie studiując mapę. Radio i telewizja powtarzały komunikat informujący mieszkańców, że mają nie wychodzić z domów, trzymać się z dala od zwierząt i obcych oraz natychmiast dzwonić po pomoc, jeśli zostaną ugryzieni albo zauważą, że czyjeś zachowanie odbiega od normy. Kończył się wiadomością, że dopóki sytuacja się nie uspokoi, wozy policyjne będą cały czas patrolowały miasto.

Wcześniej Slaughter porozumiał się z dowódcami jednostek stacjonujących w Potter's Field; obiecano mu, że żołnierze przeszukają każdy dom w mieście. Komendant spojrział na zegarek.

- Znasz te góry znacznie lepiej niż ja - zwrócił się do Rettiga. - Jak sądzisz, dokąd mogli się przenieść?

- Trudno powiedzieć. To ogromny obszar.

- Tak, ale...

Slaughter urwał w pół słowa i potarł ręką czoło. Głowa pękała mu z bólu. I nic dziwnego, powodów było sporo: niewyspanie, brak czasu na posiłek, narastające napięcie, kłótnia z Parsonsem. Jeszcze niedawno miał nadzieję, że poradzi sobie z sytuacją, ale

przytłoczony bezmiarem problemów, czuł, jak ogarniają go coraz większe wątpliwości.

- Zastanów się; musi być parę takich miejsc, gdzie mogliby żyć przez nikogo nie zauważeni. Groty. Jary. Miejsca trudno dostępne, rzadko uczęszczane...

- Och, są ich setki - oznajmił Rettig. - Pamiętam, kiedy byłem dzieckiem, nie było nawet map tych gór, ale to ludziom w niczym nie przeszkadzało. Chodzili i nadal chodzą w góry na polowania, na ryby... Znałem kiedyś Indianina, pustelnika, który zaszył się tam na trzy lata i w tym czasie ani razu nie spotkał człowieka.

- Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz mi nic doradzić?

- Nie mamy czasu, żeby szukać na ślepo.

- Na ślepo? - wtrącił Dunlap. - Przecież w tym wszystkim musi być jakaś logika. Góry...

Spojrzeli zdumieni na mieszczucha, który chciał ich pouczać o górach.

- Logika? - spytał komendant. - Jaka, u diabła, logika?

- Za bardzo się ekscytujecie. Pomyślcie nad tym spokojnie. Z Quillerem została dwuosobowa grupa. Podczas ostrej zimy niektórzy umarli na skutek zimna i wycieńczenia. Część, jak sądzę, uciekła z obozu. Ale chyba nie wszyscy. Czyli miejsce, którego szukamy, musi być dostatecznie duże, by mogło tam żyć... bo ja wiem... z pięćdziesiąt osób. Musi znajdować się wysoko, tam gdzie myśliwi i rybacy nie docierają. I musi być położone z dala od wszelkich szlaków.

- Zgadza się - rzekł Rettig.

- No dobrze, ale wciąż nie wiemy, gdzie szukać - oświadczył Slaughter.

- W Detroit wiedziałbyś, jak zawęzić teren poszukiwań. Na planie miasta zaznaczyłbyś miejsca, w których wydarzyły się poszczególne przestępstwa, i sprawdził, czy układają się w jakiś schemat.

- Tu nie ma żadnego schematu.

- Musi być. W której części doliny znaleziono zagryzione bydło?

- W zachodniej.

- W której części mieszkali kowboje, którzy przepadli bez śladu?

- W zachodniej.

- Gdzie znajduje się rów, w którym odkryto zwłoki Clifforda?

Slaughter postawił kilka krzyżyków na mapie.

- Potrzebna nam będzie lista wszystkich zgłoszeń - rzekł.

Żałował, że odesłał Marge do domu. Przydałaby się do pomocy. I raptem uświadomił sobie, że i on mieszka w zachodniej części doliny i że te pokryte sierścią kształty, które

widział wczorajszej nocy, to prawdopodobnie wcale nie były rysie. Po plecach przeszły go ciarki.

- Rettig, połącz te punkty. Zobaczymy, gdzie się linie przetną.

Ścieśnili się przy stole.

- To było do przewidzenia. W najwyższej partii gór.

- Czyli tam, gdzie ludzie rzadko docierają. W pobliżu nie widać żadnych szlaków.

- A co oznacza ta przerywana linia? - spytał Slaughter, wskazując na mapę.

- Tory. Dawniej kolej dojeżdżała do samej kopalni złota. Dziś z tych torów prawie nie zostało.

- Do kopalni złota? O czym ty mówisz, Rettig?

- Pod koniec ubiegłego wieku była to najbogatsza część stanu. Jeszcze w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku wybudowane przy kopalni miasto tętniło życiem.

Slaughter pojął, że są na właściwym tropie. Poczul chłód.

- Mój Boże - powiedział Owens. - Jacy byliśmy ślepi.

- Wymarłe miasto - ciągnął dalej Rettig. - Górnicy nazwali je Motherlode. Dziś trudno byłoby się do niego dostać. Nie wiodą tam żadne drogi, żadne ścieżki. Właśnie dlatego kolej była tak ważna.

- Kopalnia... korytarze wykute w skalnych ścianach... Jeśli komuś by na tym zależało, mógłby tam żyć całymi latami. Skoro mogli górnicy, mogą również...

- Hipisi - dokończył za Accuma komendant.

- Hipisi - powtórzył za nim Owens. - Nie wiadomo, co tam zastaniemy.

- Przykro mi, Slaughter - zadudnił nagle głos Parsonsa.

Kiedy pochyleni nad stołem mężczyźni podnieśli głowy znad mapy, za szklanym przepierzeniem ujrzeli wchodzącą przez drzwi gromadę uzbrojonych mieszkańców miasta. Nieproszeni goście zatrzymali się na środku dużej sali. Przewodził im burmistrz, górujący nad resztą; patrzył przez szybę na Slaughtera.

Komendant skrzywił się.

- Ciągłe pan wchodzi bez pukania.

- To już ostatni raz.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Odgłos kroków ustał. Dyżurny oficer siedzący przy radiostacji w milczeniu obserwował zajście; trzech policjanci, którzy odbierali telefony, zaniemówili z wrażenia; dopiero po chwili szybko zakończyli rozmowy i odłożyli słuchawki. Natychmiast wszystkie telefony znów się rozdzwoniły.

- Powyciągajcie sznury z gniazdek - rozkazał burmistrz.

Policjanci spojrzeli na Slaughtera, po czym przenieśli wzrok na Parsonsa.

- Nie słyszeliście, co powiedziałem? - spytał i ruszył w ich stronę.

Pośpiesznie wykonali polecenie.

- O, dużo lepiej. Przynajmniej nikt nam nie będzie przeszkadzał. No dobra, Slaughter.

Idziemy.

- Nie rozumiem.

- Ogłosiłem w dolinie stan wyjątkowy.

- Ale...

- Przyszliśmy pana aresztować. Jest to tak zwany areszt obywatelski.

- Żarty się pana trzymają.

- Czyżby? Więc jak, idzie pan, czy mamy pana wyprowadzić siłą?

- Chyba nie mówi pan tego poważnie?

- Nie zamierzam z panem dyskutować. Obydwaj wiemy, że odmówił pan wykonania moich poleceń.

- To dlatego, że chciał pan siedzieć z założonymi rękami.

- Czy tak się zachowuje człowiek, który siedzi z założonymi rękami? Niech się pan nie tłumaczy, Slaughter. Podejmuje pan decyzje samowolnie, bez upoważnienia. Postępuje pan w sposób wysoce nieodpowiedzialny. Pozwolił pan, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Ponadto wspólnie z obecnym tu Accumem i Owensem usiłował pan zatuszować zbrodnię.

- Co?!

- Chodzi o chłopca, którego Accum pociął w kostnicy. Przystąpił do sekcji, kiedy dziecko jeszcze żyło. Myśli pan, że o tym nie wiem? Kiedy zdałem sobie sprawę, że rodzina może podać władze miasta do sądu, zarządziłem, by przeprowadzono drugą sekcję. Accum rozharatał chłopcu brzuch, kiedy dziecko jeszcze żyło. Oczywiście, potem starał się coś z tym zrobić, zatuszować ślady przestępstwa, ale mu się nie udało. Jesteście wszyscy zatrzymani aż do wyjaśnienia sprawy.

- Ja też? - zdziwił się Dunlap. - Ja o chłopcu nic nie wiem.

- Ale wie pan o innych rzeczach. Slaughter sam mi o tym mówił.

- A co ze mną? - spytał Rettig, wysuwając się do przodu.

- Przeciwno panu nic nie mam, chociaż nie podobają mi się przyjazne stosunki, jakie łączą pana ze Slaughterem. Jeśli tylko spróbuje mu pan pomóc, to pana też zapudłuję. Ale na razie będzie pan zarządzał całym tym interesem. Od dawna mam wiele zastrzeżeń do tego, jak funkcjonuje policja. I zamierzam zaprowadzić porządku. No, nie będę się powtarzał -

powiedział do Slaughtera. - Rettig, proszę mu odebrać broń.

Policjant zawahał się.

- Nie masz wyboru. Lepiej rób, co ci każe - poradził mu komendant. - A panu, Parsons, jeszcze się odwdzięczę.

Burmistrz parsknął śmiechem.

- Pewnie. Przyśle mi pan kwiaty z pierdła. No, Rettig, na co pan czeka?

Rettig spojrział na komendanta i wziął od niego broń. Mężczyźni ze strzelbami rozstąpili się i utworzyli szpaler. Czwórka zatrzymanych wyszła pod eskortą na korytarz.

81

Rettig stał bez słowa, od czasu do czasu spoglądając w stronę okna, na zgromadzony przed budynkiem tłum rozgniewanych ludzi, głównie mężczyzn; wszyscy byli uzbrojeni. Nagle poczuł się niehumanie zmęczony.

- Powiedz, co ten skurwysyn sobie myśli? - spytał dyżurny siedzący przy radiostacji.

- Nie wiem. Boi się, że Slaughter przyćmi jego zasługi.

- Ale on tych ludzi podżegnuje do buntu.

- Później powie, że robił tylko to, o co go prosili. Jego zwykła śpiewka. Zobaczysz, wyjdzie z tego obronną ręką i jeszcze się umocni na stołku. Nie chcę krakać, ale będzie coraz gorzej.

Zobaczył, jak ludzie na dziedzińcu rozstępują się, robiąc przejście Parsonsowi.

82

Czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Uprzedzono go, że może się to zdarzyć, ale nie wierzył, bo rana na palcu nie była głęboka. Owszem, zadrapań miał mnóstwo, zarówno na twarzy, jak i na szyi, ale ugryziony został tylko raz, właśnie w palec, kiedy podniósł rękę, żeby obronić się przed atakiem. Kiedy rzuciła się na niego, z początku sądził, że z rozpaczy dostała pomieszania zmysłów. Bądź co bądź, stracili jedyne dziecko. Kiedy wreszcie

zrozumiał, że zachowanie żony nie wynika wcale z rozpacz, próbował się od niej uwolnić. Nie puszczała go. Gdyby Marge nie przyłożyła jej kijem po głowie, dłużej nie miałby siły się bronić. A teraz nie dość, że dziecko nie żyło, to jeszcze żona leżała nieprzytomna w szpitalu. Żałował, że nie można było jej poskromić inaczej. Czy ich małżeństwo przetrwa ten kryzys? Jeśli żona w ogóle przeżyje....

Powiedziano mu oczywiście o wirusie, którym zaraziła się i matka, i dziecko; o wirusie, którego on też może jest nosicielem. Wyjaśniono mu, że jeśli został zarażony, objawy choroby pojawią się w ciągu następnego dnia, po czym umieszczono go w izolatce. A właściwie w celi. Był to pokój bez okna, o ścianach, podłodze, a nawet suficie obitych wołokiem, żeby chory - zwykle wariat - nie zrobił sobie krzywdy. Myśl o wirusie przepełniała go strachem, a wystrój wnętrza jedynie ten strach potęgował.

Spojrzał na zegarek; pozwolili mu go zatrzymać, co do pewnego stopnia było pozytywnym znakiem. Zbliżała się trzecia, czyli minęło czternaście godzin od ugryzienia. Może jednak nie zachoruje? Ale czuł się trochę dziwnie. Co mu dolegało? Smutek? Przygnębienie? Coś innego? Czy takie właśnie są pierwsze objawy?

Rozgniewany, uderzył pięścią w miękką ścianę, po czym kopnął ją i zaklął pod nosem. Jeszcze wczoraj życie było takie cudowne. Kiedy wracali razem z Warrenem do domu, po wizycie u lekarza, czuł ulgę i radość. Byli szczęśliwą rodziną. A teraz wszystko przepadło. Ukochany syn nie żył. Znow wałnął pięścią w ścianę i warknął na nią. Przecież ten dzień mógłby wyglądać zupełnie inaczej - pomyślał. I nagle uświadomił sobie, że przed chwilą zawarczał.

Zaskoczony, stanął bez ruchu. Nie, nie ma powodu do obaw. Warczał dlatego, że był zły. Ni stąd, ni zowąd poczuł intensywny, słony zapach potu, który unosił się w powietrzu. Rozchylił nozdrza. Zapach wydobywał się ze ściany. Zbliżył się do niej i zaczął ją obwąchiwać. Domyślił się, że to początek. Tak, to nie ulegało wątpliwości. Powinien był odczuć większy strach, ale smutek i złość za bardzo go wyczerpały. Było mu wszystko jedno. Zresztą może apatia też jest jednym z objawów? Nie miał wyboru. Nie potrafił z nią walczyć.

Z grubego płótna na ścianie wciąż sączył się ostry, słony zapach. Mężczyzna przysunął się do niej i wciągnął nosem powietrze. Zaczął ją lizać. Zdawał sobie sprawę z tego, co robi, ale nie mógł się opanować. To było silniejsze od niego.

Raz po raz przejeżdżał językiem po szorstkim materiale. Przez chwilę jeszcze miał świadomość swojej podwójnej osobowości, jakby rozdwojenia, ale wnet ją stracił. Kiedy dziesięć minut później lekarz zajrzał do pokoju, zobaczył szalejącego furia.

83

Parsons czekał na skraju boiska, obok odkrytej trybuny. Sporo osób stawiało się już na jego wezwanie, ale wiedział, że wkrótce przybędzie ich więcej. Specjalnie przecież wysłał posłańców, żeby zawiadomili o zbiórce wszystkich ranczerów w dolinie. Pierwsi zjawili się mężczyźni z miasta, a teraz powoli zjeżdżali się ranczerzy i kowboje. Kiedy wszyscy byli na miejscu, wspiął się na Jeepa i podniósł do ust tubę.

- Słuchajcie!

Wzmocniony megafonem głos rozdarł powietrze. Tłum zafalował. Ludzie obracali się w stronę pojazdu. Na ich twarzach malowało się napięcie. Po chwili stali bez ruchu i patrzyli wyczekująco na burmistrza.

- Sami wiecie, jakie mamy kłopoty. Potrzebuję ochotników, którzy sprowadzą tutaj wszystkich mieszkańców doliny. Odseparujemy zarażonych, a zdrowych zatrzymamy tu, na boisku, dopóki nie uporamy się z zarazą. Potrzebni mi również będą ochotnicy, którzy przeszukają domy. Jeśli ktokolwiek zobaczy dziwnie zachowującego się kota lub psa, ma go zabić. Osobom, które zarażyły się wirusem, podamy środki uspokajające.

- A co z obozem?

- Nic się nie martwcie. Najpierw zaprowadzimy porządek w mieście, potem zajmujemy się obozem.

Podniósł się szmer. Parsons dał znak dowódcy jednostki wojskowej stacjonującej w Potter's Field. Trzeba było brać się do roboty.

84

Rozproszeni po całym mieście, spali w swoich kryjówkach - mężczyźni, kobiety, dzieci, którzy wyszli z domów i nie wrócili; ludzie, którzy czując, jak wstępuje w nich dzikość, skryli się przed bolesnym blaskiem dnia. Przed słońcem chowały się również koty, psy i inne zwierzęta. Chowały się w szafach, pustych beczkach, na strychach, wszędzie tam, gdzie było ciemno.

Spały w górskich grotach, na legowiskach z liści, w norach wykopanych pod zwalonymi pniami drzew. Czasem rozlegał się jakiś pomruk, czasem rogi o coś chrobotyły. Wychodziły z ukrycia dopiero wtedy, gdy na niebo znów wtaczał się księżyc. Trawione dziwną gorączką, marzyły o bezpiecznej przystani i postępując z głodu, myślały o miasteczku, które rozpościerało się w dole niby bankiet.

Dwóch mężczyzn ze strzelbami pilnowało celi, w których zamknięci byli Slaughter i jego trzech przyjaciele.

Strażnicy siedzieli rozparci wygodnie na krzesłach pod ścianą. Obok stało biurko. W pomieszczeniu było dwoje drzwi: za jednymi znajdowały się schody wiodące na parter, za drugimi podziemny tunel prowadzący do budynku sądu. W ten sposób, bez konieczności wychodzenia na zewnątrz, można było eskortować więźniów przed oblicze sędziego. Tunel był mroczny i cuchnący; smród wciskał się szparą pod drzwiami i roznosił po celach. Slaughter oczywiście znał te podziemne lochy, ale dotychczas był tu wyłącznie służbowo, nigdy w roli więźnia. A było to dość upokarzające przeżycie i przysiągł sobie, że jeśli tylko będzie miał okazję, uczyni wszystko, żeby poprawić więźniom warunki bytowe. Wątpił jednak, czy trafi mu się taka okazja. Wiedział, że już nie wróci na stanowisko komendanta policji. Ten cwaniak, Parsons, przechytrył go. Slaughterowi zrobiło się niedobrze; duszne, wilgotne powietrze jedynie pogarszało jego nastrój.

Przynajmniej zdołał się trochę wypaść. Z początku chodził zdenerwowany po celi, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Usiłował przemówić strażnikom do rozsądku, ale oni uparcie milczeli. Kiedy zabrakło mu argumentów, jego trzech uwięzieni przyjaciele próbowali jeszcze coś wskórać. W końcu wszyscy poddali się i, zrezygnowani, wyciągnęli na pryczach. Zaległa cisza. Slaughter był tak zmęczony, że natychmiast zasnął.

Cele ciągnęły się wzdłuż ściany, cztery zakratowane klitki, jedna obok drugiej.

Accum, którego zamknięto w pierwszej, nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że zaangażował się w całą tę sprawę. Dawno temu w Filadelfii cieszył się zasłużonym uznaniem, jednakże jego fascynacja zmarłymi odsunęła go od świata żywych. Każdej nocy zostawał w

pracy coraz dłużej, coraz więcej czasu poświęcając umarłym. Lubił z nimi przebywać. Któregoś dnia pogłodził delikatnym ruchem ramię młodej martwej dziewczyny i sam się przeraził. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że w drzwiach stoi jego przełożony. Żaden nic nie powiedział. Nie musieli nic mówić. Nazajutrz Accum złożył rezygnację, po czym spakował się i wyjechał do Potter's Field, tam się bowiem urodził i wychował, i tam przed laty stracił matkę, której śmierci na raka nie był w stanie zapobiec nawet kochający ją mąż, lekarz. W Potter's Field usiłował odzyskać równowagę psychiczną; trzymał się od wszystkich i wszystkiego na dystans, a teraz groził mu wyrok za to, że raz jeden uczynił wyjątek. Wczoraj, kiedy znalazł zarażonego wirusem psa, powinien był zawiadomić policję i do niczego się nie mieszać. Ale niestety, zaangażował się i teraz na pewno będzie zmuszony...

W drugiej celi siedział Owens. Niepokoił się o rodzinę, która czekała na jego powrót. Nie pozwolono mu nawet zatelefonować do domu. Żałował, że nie wyszedł z gabinetu Slaughtera wtedy, gdy mówił, że wyjdzie. Został z powodu głupiego poczucia lojalności wobec tych mężczyzn, którzy twierdzili, że go potrzebują, a przecież rodzina też go potrzebowała i powinien był myśleć przede wszystkim o niej. Teraz pewnie będzie musiał stanąć przed ławą przysięgłych. Dlaczego posłuchał Slaughtera i Accum? Dlaczego zgodził się kłamać w sprawie śmierci chłopca? Co mu strzeliło do głowy? Czy mieli nad nim aż taką władzę? Czy aż tak bardzo zależało mu na ich przyjaźni? Zostanie ukarany za osłanianie ludzi, z którymi nic go nie łączy. Gdyby tylko mógł być teraz ze swoją rodziną w jakimś bezpiecznym miejscu, z dala od...

W trzeciej celi przebywał Dunlap. Śniła mu się rogata postać, która wlepiła w niego ślepią. Była jak żywa. Ciągłe nawiedzała go w snach, a ponieważ każdej nocy stawała się coraz bardziej wyraźna, jakby coraz bardziej prawdziwa, bał się, że pewnego dnia - ostatniego dnia życia - obudzi się i zobaczy ją tuż przy łóżku. Ale kiedy otworzył oczy, nie było jej w celi. Zamiast rogatej postaci, ujrzał dwóch uzbrojonych strażników, którzy siedzieli na krzesłach przy ścianie, i natychmiast sobie przypomniał, gdzie jest i jak się tu znalazł. Koszmarny sen oraz brak alkoholu, którego nawet kropla dodałaby mu sił, sprawiły, że był cały mokry od potu. Podobnie jak wczoraj i przez pierwszą połowę dzisiejszego dnia, ręce mu się trzęsły. Gdyby tylko mógł się napić, kłopoty, w jakie się wplątał, nie byłyby takie straszne i jakoś by sobie poradził. Z drugiej jednak strony rozpierała go radość. Jeśli za cenę cierpienia mógł zdobyć temat na pierwsze strony gazet, gotów był trochę pocierpieć. I jeśli Parsons sądził, że wtrącając go do więzienia, uniemożliwi mu dotarcie do prawdy, to się grubo mylił; nie orientował się, jakim on, Dunlap, był świetnym dziennikarzem - dziennikarzem, który wprawdzie stoczył się na dno, ale przecież już się od niego odbił. Tak, dotrze do prawdy, a

kiedy ją pozna, uwolni się od koszmaru nękającego go po nocach. Wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy...

W czwartej celi znajdował się Slaughter. Myślał o tym, co się zdarzyło pięć lat temu, o starym doktorze Markle'u, o ich wspólnej tajemnicy. Nigdy nie zwierzył się staruszkowi ze swoich przeżyć, staruszek nigdy nie czynił do nich żadnych aluzji, a mimo to obydwaj wiedzieli, że Slaughter jest tchórzem. Kiedy patrzył na rozharatane ciało Clifforda, kiedy szedł przez oświetlone księżycem pastwisko, kiedy próbował schwytać zarażonego wirusem chłopca - za każdym razem czuł, jak odżywa w nim dawny strach. Co tu dużo mówić, nad parowem wpadł w popłoch. Stracił głowę. Teraz leżał na pryczy i zastanawiał się, jakim cudem nie wyjechał z miasta. Siłać się na odwagę przed przyjaciółmi czy przeciwstawiając się burmistrzowi, próbował pokonać własną słabość i zachować poczucie godności, ale jedyne, o czym tak naprawdę marzył, to skończyć z udawaniem i uciec jak najdalej. Przez pięć lat, odkąd został komendantem, niewiele się w mieście działo. Parsons miał rację mówiąc, że jako komendant zbytnio się nie przemęczał. Wsadzając go za kratki, burmistrz nieświadomie wyrządził mu olbrzymią przysługę. Przejął na siebie ciężar odpowiedzialności. W głębi duszy Slaughter był mu za to wdzięczny. Wprawdzie przekonywał strażników, żeby go wypuścili, i nawet czerpał przyjemność ze swoich krasomówczych wysiłków, bo wiedział, że i tak się nie zgodzą. Ilekroć jednak przypominał sobie starego doktora Markle'a, ogarniały go wyrzuty sumienia i zaczynał sam z sobą toczyć spór. Siedź spokojnie, tu ci nic nie grozi... Postaraj się jakoś wydostać. Udowodnij, do jasnej cholery, że jesteś coś wart... Ale co mogę zrobić? Przecież krat nie przegryzę. Nie mam się czego wstydzić, że tu tkwię. Nie moja wina.

Nastała noc. Przez małe okienka umieszczone wysoko na jednej ze ścian dochodziło z zewnątrz wycie, krzyki, odgłosy strzelaniny. Dzięki Bogu, tu przynajmniej jestem bezpieczny - pomyślał. Ale powoli ogarniała go coraz większa złość: na siebie, na Parsonsa, na strażników. Już miał zamiar wdać się z nimi w kolejną dyskusję - choćby tylko po to, żeby rozładować wewnętrzne napięcie - kiedy nagle drzwi się otworzyły i do środka wmaszerował Rettig.

Strażnicy czujnie poderwali się na nogi.

- Spokojnie, panowie - powiedział Rettig. - Uważajcie na broń, bo jeszcze sobie coś niechcący odstrzelicie.

Przestępowali nerwowo z nogi na nogę, nie wiedząc, jak zareagować na tę nieoczekiwaną wizytę.

- Nikomu nie wolno tu schodzić - oznajmił jeden z nich.

- Czyżby? W takim razie powiem tej pani za drzwiami, żeby odniosła jedzenie z

powrotem. - Rettig zawrócił do wyjścia.

- Niech pan zaczeka. Jakie jedzenie?

- Dla więźniów. Cały dzień nic nie jedli.

- My też nie - powiedział strażnik.

- Naprawdę? - zdziwił się Rettig. - Nie wiedziałem.

- W porządku, niech pan da to żarcie.

- Coś ty? - sprzeciwił się drugi strażnik. - Nie możemy...

- Chryste, to tylko jedzenie. A poza tym jestem głodny jak pies.

- Tak, ale mogą nam wyciąć jakiś numer.

- Jaki? Przecież mamy broń. No, dawaj pan żarcie - zwrócił się pierwszy strażnik do

Rettiga.

- Jest pan pewien?

- Niech pan ze mną nie dyskutuje.

- Jak pan sobie życzy - odparł Rettig, wzruszając ramionami.

Podszedł do drzwi i zaprosił do środka czekającą przy schodach kobietę.

Do pokoju wkroczyła Marge z dwoma koszykami. Popatrzyła na czterech mężczyzn w celach, najdłużej zatrzymując wzrok na Slaughterze. Uśmiechnął się do niej. Widział, że jest zdenerwowana. I jakby się postarzała w ciągu ostatnich dni; było mu jej ogromnie żal.

- Cześć, Marge - powiedział.

W jej oczach malował się smutek.

- Pomyślałam sobie, że pewnie jesteście głodni - rzekła.

- Marge, co się stało?

- Ta kobieta, którą uderzyłam...

- Tak?

- Zmarła pół godziny temu.

87

Dusiło się i rozpaczliwie próbowało wydostać się na zewnątrz. Za dnia wpełzło do skrzynki i zasnęło, a gdy nastąpiła noc, zbudziło się i chciało wyjść, jednakże zamek się zatrzasnął i teraz było uwięzione. Walenie w wieko nic nie dawało. Zlane potem, z trudem oddychało. Jego przytłumione krzyki stawały się coraz słabsze.

88

Stał na skrzyżowaniu i obserwował pijaka, który szedł w jego stronę.

- Nie powinien się pan włóczyć po nocy - rzekł. - Wszyscy są na boisku.

Pijak nie odpowiedział. Oświetlony blaskiem księżyca zataczał się, podchodząc coraz bliżej. Kiedy policjant wyciągnął rękę, żeby zagrozić mu drogę, nagle zobaczył jego straszne spojrzenie i zrozumiał swoją pomyłkę.

89

Ujrzał psa biegnącego ulicą i, nie namyślając się, strzelił. Ktoś krzyknął.

90

Odnajdywały się w ciemnościach. Wychodziły z szop, z piwnic, z bagażników starych porzuconych samochodów, łączyły się w stada i błąkały po ulicach. Ochotnicy, którzy na polecenie burmistrza przeszukiwali domy, na ich widok uciekali w popłochu. Tylko nieliczni mieli dość odwagi, żeby się skrzyknąć w gromadę, stanąć na oświetlonym skrzyżowaniu i otworzyć ogień do koszmarnych hord. Sfory psów i kotów również łączyły się w wielkie stada i, rozjuszony, warcząc, sycząc i prychnając, wędrowały po mieście. Zewsząd dochodziły odgłosy strzelaniny.

91

Winston słyszał huk strzałów i zastanawiał się, co się dzieje. Cały dzień ciężko pracował, a przed zmierzchem wrócił - zgodnie z poleceniem Slaughtera, choć bardzo niechętnie - do piwnicy, w której leżały trzy zmasakrowane ciała. Wchodząc oświetlił je latarką, po czym skulił się w kącie przy pralce, skąd miał dobry widok na schody, więc gdyby to coś, na co czekał, rzeczywiście zjawilo się na nocną ucztę, mógłby je bez trudu namierzyć.

Strzelanina na zewnątrz przybrała na sile. Gdzieś w pobliżu ktoś zaczął krzyczeć, ale Winston nie zareagował, wiedząc, że nie może opuszczać piwnicy. W pewnym sensie czuł ulgę, że nie musi być teraz na zewnątrz. Nagle odgłosy strzałów zelżały i usłyszał - przynajmniej tak mu się zdawało - jakiś ruch. Skupił się. Tak, przy schodach. Trzymał latarkę w pogotowiu. Poczekaj, aż zejdziesz niżej. I tylko nie spudłuj. Chrobot się powtórzył, a potem rozległ się jakiś dziwny dźwięk, nie taki, jakiego oczekiwał, i nie stamtąd, skąd się spodziewał. Raptem zrozumiał i kiedy przerażony włączył latarkę, Orval był już na nogach i pędził w jego stronę. Winston strzelił. A potem drugi raz. I trzeci.

92

Strażnicy sprawdzili zawartość koszyków. Zajrzeli do termosów. Potrzęsęli nimi. Wszystko było w porządku.

- Niech państwo nie podchodzą do więźniów, ja sam im podam - powiedział jeden.

Przeszedł obok Rettiga i położył przed każdą celą kilka kanapek; następnie postawił na podłodze termosy oraz stos plastikowych kubków.

- A teraz tak: kiedy wrócę na miejsce, możecie sięgnąć po żarcie. Są tylko dwa termosy, więc musicie je sobie podawać. Jak skończycie nalewać kawę, macie wystawić je za kraty, żebym je cały czas widział. Tylko nie radzę ich rzucać.

Slaughter nie słuchał. Uważnie obserwował Rettiga.

- Co się dzieje na zewnątrz?

- Lepiej nie mówić.

Komendant odchrząknął, spojrzał na jedzenie, potem na kobietę.

- Dzięki za posiłek, Marge.

Nie zareagowała.

- Rettig, opiekuj się nią.

- Tak jest, szefie - odparł policjant i spoglądając na strażników, którzy nie spuszczaali z niego oczu, powiedział: - Nie denerwujcie się, panowie. Już mnie tu nie ma.

Powiódł wzrokiem po celach, na moment się zawahał, po czym skierował się do wyjścia.

- Do zobaczenia, szefie - rzucił przez ramię.

- Uważajcie na siebie.

Po chwili Rettig i Marge zniknęli za drzwiami. Czterech więźniów w milczeniu wpatrywało się w strażników.

- Na co czekacie? - spytał jeden z nich. - Zobaczmy, czy do zarcia nie dosypano środków usypiających. No, bierzcie się do jedzenia, bo jestem głodny.

Schylili się i sięgnęli po kanapki. Slaughter wziął swoją porcję ostatni. W ustach mu zaschło. Kanapka z pasztetem była mdła, bez smaku.

- Należę wam kawy - powiedział.

Rozmyślając o strzelaninie na zewnątrz, wysunął ręce przez kraty, zdjął pokrywkę z termosu, nalał brunatnej cieczy do czterech plastikowych kubków, po czym trzy przekazał do sąsiedniej celi.

Ten, który sobie zostawił, wybrał nieprzypadkowo. Kiedy bowiem nalewał kawę, zauważył, że coś z cichym pluskiem wpadło do jednego z kubków - jakiś przedmiot tak miękki, że nie zabrzączał o ścianki, gdy strażnicy potrząsali termosem.

Bał się rozejrzeć i sprawdzić, czy ktoś coś zauważył, więc zachowywał się tak, jakby nic się nie zdarzyło. Wstał, oparł się o pryczę i przeżuując kanapkę, zamieszał palcem kawę. Nie zamierzał jej pić, nie mógł jednak pozwolić sobie na to, żeby wzbudzić najmniejsze podejrzenia. Wreszcie wyczuł zanurzony w płynie przedmiot. Długi, cienki, miękki; przypominał glistę. Slaughter nie wiedział, co to może być. Jakiś materiał wybuchowy? Nie mieliby go jak zdetonować. A nawet gdyby im się udało, huk ściągnąłby z góry popleczników burmistrza. Nie, Rettig nie przyniósłby czegoś tak niepraktycznego. No dobrze, ale jeśli nie materiał wybuchowy, to w takim razie co? Odwrócił się bokiem, tak by nikt nie widział, jak wyciąga z kubka ukryty przedmiot, jak mu się przygląda, a potem wrzuca go z powrotem. Przedmiot nie tylko przypominał glistę w dotyku, ale również w kolorze. Był czerwono-brunatny. Ale jakie mógł mieć zastosowanie?

- Chryste, jaka ta kawa niedobra - mruknął Dunlap.

- Pij, nie narzekaj - powiedział pierwszy strażnik i zwracając się do kumpla, oświadczył: - Miałem rację. Coś do niej dosypano. Zobaczysz, wkrótce zasną.

- Albo się pochorują.

- Tego by nam tylko brakowało. A zresztą, jak chcą, niech rzygają. Co mi tam! Pamiętajcie! - zawołał do więźniów. - Jak się który rozchoruje, niech nie liczy na pomoc!

Mężczyźni po kolei zaczęli odstawiać kubki.

- Co za paskudztwo - wzdrygnął się Owens.

- Nie pijcie tego świństwa - poradził im Accum.

Pierwszy strażnik parsknął śmiechem.

Slaughter podszedł do krat.

- Nie wiem, o co wam chodzi, bo mnie ta kawa smakuje. Jeśli jej nie chcecie, to podajcie mi drugi termos.

- Nie ryzykuj - powiedział lekarz.

- Wiem, co robię. I pić mi się chce, do jasnej cholery.

- Żebyś nie pożałował - rzekł Owens, sięgając po termos.

Termos, przekazywany z rąk do rąk, wędrował wzdłuż krat, aż wreszcie dotarł do Slaughtera. Komendant postawił go na podłodze obok tego, który był już prawie pusty.

- Zatrzymam go na później.

- Optymista! - zawołał ze śmiechem drugi strażnik. - Myśli, że się nie pochoruje!

- Panowie nie wiedzą, co tracą.

- Wkrótce nam zademonstrujesz.

Slaughter wzruszył ramionami i usiadł na pryczy. Podniósł kubek do ust, udając, że rozkoszuje się kawą.

- Świetna - powiedział ziewając szeroko.

Leżąc wyciągnięty na pryczy, zastanawiał się, czy w drugim termosie też pływa identyczna glista. Co to jest? Jakie ma zastosowanie? Czy zdoła odgadnąć? Zegar na ścianie wskazywał wpół do pierwszej.

93

W mieście panował chaos. Stłoczeni na trybunie ludzie spoglądali trwożnie w stronę, z której dochodziły odgłosy wrzawy. Strzelanina i krzyki rozlegały się coraz bliżej. Dzieci zanosili się płaczem. Boisko przed trybuną było puste. Widoczne w oddali góry spowijał mrok; jedynie ich śnieżne czapy iskrzyły się w blasku księżyca. Odkąd uwięził Slaughtera, Parsons po raz pierwszy odczuł niepokój. Dotychczas był pewien, że zapanuje nad sytuacją, ale teraz wreszcie zrozumiał, że mieszkańcy doliny, zgromadzeni w jednym miejscu, stanowią idealny cel dla wroga, który nacierał z furią ze wszystkich stron.

- Niech mężczyźni ze strzelbami ustawią się w szeregu! - rozkazał.

94

Stały na zboczu jednej z gór wznoszących się nad doliną i spoglądały na znajome im niegdyś domy poniżej. Drżąc niespokojnie, co rusz zerkały na księżyc i wyły, ale ludzie w dole, pochłonięci własnymi sprawami, nawet nie patrzyli w ich stronę. Po pewnym czasie zaczęły schodzić niżej przez las. Chciały czym prędzej zaspokoić głód, wbić zęby w mięso, które tak im nie smakowało, a którego tak bardzo pragnęły. Przedzierając się przez leśne poszycie, słyszały dochodzące z miasta odgłosy kanonady.

95

Slaughter czekał na odpowiedni moment. Leżał na pryczy, udając, że śpi, i przez zmrużone powieki spoglądał przez kraty na strażników, którzy siedzieli odchyleni do tyłu, z głowami opartymi o ścianę. Wszystkie światła były przygaszone. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce musi przystąpić do działania. Ale jeszcze nie teraz, bo mógłby obudzić klawiszy.

Zaklął w duchu. Tutaj w celi był bezpieczny, nic mu nie groziło, a tam na zewnątrz huczała strzelanina. Musiał jednak dokonać wyboru. Wiedział, że jeśli zdecyduje się nie opuszczać celi, Rettig to zrozumie. Więc po cholere mam stąd wychodzić? - pomyślał. Ale wiedział, że wyjść musi.

Nie chciał doświadczyć podobnego upokorzenia co kiedyś. Przybył do Potter's Field, żeby zacząć wszystko od nowa, i jeśli nie wykorzysta tej okazji, nigdy nie zdoła zostawić za sobą przeszłości. Nie przerwie pasma porażek, które go prześladują, nie nada sensu swojemu życiu. Oczywiście, mógłby udawać przed Rettigiem, że nie domyślił się, jakie zastosowanie mają dziwne przedmioty w kawie, ale nie był pewien, czy umiałby to zagrać dość przekonująco. A gdyby nawet, czy potrafiłby również oszukać siebie? Nie, nie miał wyboru.

Klnąc pod nosem, obserwował strażników. Potem usiadł wolno na pryczy. Bo wreszcie zrozumiał czym są owe tajemnicze przedmioty. Teraz wydało mu się to tak oczywiste, że nie mógł się nadziwić, dlaczego odgadnięcie zajęło mu tyle czasu. Nie docenił sprytu i inteligencji Rettiga. Pomysł był genialny w swojej prostocie. Pływające w kawie glisty były po prostu pałeczkami fosforu. Zanurzone w płynie, nie ulegały samozapaleniu. Wcześniej, podejrzewając, że Rettig dostarczył mu środki wybuchowe, Slaughter długo zastanawiał się nad tym, czym można by spowodować zapłon. Detonacja kojarzyła mu się z lontem, z jaskrawym światłem. Ale huk obudziłby strażników. A zatem jeśli tajemnicze

przedmioty w kawie w ogóle wybuchały, to musiały wybuchać bezgłośnie. No dobrze, ale jak, do cholery, spowodować sam zapłon? Rzadko palił papierosy, nie miał przy sobie zapalek. Zapałki, błysk, fosfor... i naraz wszystko stało się jasne. Przypomniał sobie, jak w szkole na lekcji chemii nauczyciel wyjął ze słoika z wodą podłużne kawałki fosforu, które wystawione na działanie powietrza same się zapaliły. Dopiero dużo później uświadomił sobie, że przecież mógł nie odgadnąć, co Rettig dostarczył mu w kawie. Ale skoro odgadł, nie miał już wyboru.

Powoli zsunął się z pryczy i zbliżył na palcach do kraty. Zobaczył, że wszyscy jego przyjaciele śpią. Stał bez ruchu, czekając na reakcję strażników. Nie było żadnej, więc pochylił się i sięgnął po drugi termos. Otworzył go i kiedy nalewał kawę, z termosu wypadł kolejny czerwono-brunatny przedmiot w kształcie glisty. A więc jednak! Wyłowił robaka i szybko przerzucił go do kubka, w którym leżał zanurzony pierwszy kawałek fosforu. Jedna rzecz go trochę niepokoiła. Wiedział, że fosfor jest pierwiastkiem trującym. Jeśli odrobina rozpuściła się w kawie, było bardzo prawdopodobne, że się pochorują. Z drugiej strony, może to wcale nie fosfor psuł smak kawy; może specjalnie ją tak przyrządzono, żeby nie nadawała się do picia. Przecież Rettig nie chciał ich potruć. Słusznie, jak się okazało, Uczył na to, że upiją łyk i wyplują kawę z obrzydzeniem. Może jednak nic im nie będzie.

Slaughter zerknął ponownie na strażników. Nie było sensu dłużej zwlekać, więc wsunął palec do kubka i wyłowił z niego obie glisty. Przycisnął mokry, wciąż ociekający kawą fosfor do zamka w drzwiach. Nie wierzyłby w powodzenie tej metody, gdyby znajdował się w nowoczesnym, solidnym więzieniu. Ale ten budynek wzniesiony został w 1923 roku. Kiedy po raz pierwszy ujrzał cele, był przerażony. Owszem, drzwi by wytrzymały, gdyby ktoś próbował je wyrwać gołymi rękami albo nawet rzucił się na nie z całej siły, ale w porządnym więzieniu kraty powinny być grube, nie zardzewiałe i wykonane ze stali. Chciał je wymienić, przeprowadzić gruntowny remont, ale rada miejska nie wyraziła zgody. Po co? - dziwili się ojcowie miasta. Czego, na Boga, się spodziewa? Że ktoś przepiłuje kraty albo wysadzi drzwi celi w powietrze? Jeszcze nigdy się to nie zdarzyło i nie zdarzy, jeśli będzie dobrze wypełniał obowiązki. Tak mu wówczas powiedzieli. Teraz był im za to wdzięczny i zamierzał zademonstrować im pewną sztuczkę. Fosfor wytwarza przy spalaniu wysoką temperaturę. Niewystarczającą do stopienia stali, wystarczającą jednak do nadwężenia zardzewiałych spoin w zamkach, które od początku pozostawiały wiele do życzenia. Niczym nie ryzykował. A spróbować nie szkodziło.

Cofnął się o krok. Nic się nie paliło. Może pomylił się, może te glisty to wcale nie fosfor? Po chwili zdał sobie sprawę, że nadal cieknie z nich kawa. Ich powierzchnia nie była

jeszcze wystawiona na działanie powietrza. Najpierw musiały wyschnąć, a dopiero potem... nagle ujrzał coś w rodzaju iskry i nim się spostrzegł, fosfor uległ samozapaleniu. W ciągu sekundy rozgrzał się do białości; dookoła leciały iskry i wznosiła się gęsta chmura dymu. Slaughter spojrzął zaniepokojony na strażników. Nie spodziewał się, że syk będzie tak głośny; czuł się jak podczas święta narodowego, gdy wszędzie palą się setki zimnych ogni.

Rzucił się na kratę; strażnik poruszył się we śnie, ale drzwi nie drgnęły. Przylepiony do zamka fosfor wciąż się iskrzył. Slaughter ponownie walnął barkiem w kratę i tym razem spoiny zamka jakby się trochę rozstały. Strażnik znów się poruszył, był bliski przebudzenia. Slaughter huknął w kratę po raz trzeci - rozległ się szcęk metalu i nagle komendant wyleciał z impetem z celi, potykając się i wymachując rękami, żeby nie stracić równowagi. Fosfor wciąż płonął i syczał. Pierwszy strażnik ledwo zdążył się wyprostować, kiedy Slaughter go pchnął i przewrócił razem z krzesłem; szybko chwycił jego strzelbę, zdzielił kolbą w czoło drugiego strażnika, który właśnie otwierał oczy, po czym jemu też wyrwał broń. Strażnik złapał się za głowę, krzywiąc się z bólu, i również runął na podłogę. Slaughter odrzucił jedną strzelbę, a drugą wycelował w leżących na ziemi mężczyzn. Najgorsze miał za sobą.

- Nie ruszać się - ostrzegł ich. - Jak mi który drgnie, rozwalę mu łeb.

- Co do diabła... - Patrzyli to na Slaughtera, to na wygasające resztki fosforu.

- Co się stało? - spytał Accum.

Więźniowie podeszli do drzwi swoich celi.

- Nic takiego. Wychodzimy stąd - odparł komendant i zwrócił się do strażników: - Dobrze wam radzę. Nie próbujcie nawet kichnąć.

Podszedł do biurka, wyciągnął szufladę i zabrał klucze. Nie spuszczać oczu z mężczyzn na podłodze, cofnął się do celi, w której siedział Owens.

- Proszę, to ten duży klucz.

Wrócił na miejsce i po chwili usłyszał za plecami zgrzyt przekręcanej w zamku klucza. Drzwi się otworzyły. Zerknął przez ramię na weterynarza, który przekroczył próg celi. Kolejne drzwi się otwierały, ale Slaughter nie patrzył na wychodzących z celi przyjaciół; uwagę miał skupioną na strażnikach.

- Jakim cudem... - zaczął Dunlap.

- Później ci powiem. Wy dwaj włączcie do środka - rozkazał strażnikom.

Zawahali się.

- Nie słyszycie? Wstawać, do cholery!

Kiedy ruszył w ich stronę, obydwaj szybko unieśli ręce.

- Dobra, już idziemy.

- Ty do pierwszej celi, ty do ostatniej.

- Dlaczego?

- Bo tak mi się podoba. Na co czekacie? Ruszcie się, do cholery!

Weszli do przydzielonych im celi. Używając pasków oraz podartych prześcieradeł, Accum związał i zakneblował najpierw jednego, potem drugiego. Owens zamknął drzwi obu celi i przekręcił klucz w zamku.

- Klucze zabieramy z sobą - oświadczył komendant. - Drugą strzelbę też.

Dunlap skierował się do wyjścia.

- Nie tędy - powstrzymał go Slaughter. - Te drzwi prowadzą do holu na parterze.

Wyjdziemy tamtymi.

Na twarzy dziennikarza odmalowało się zdziwienie.

- Zaraz zrozumiesz.

Slaughter podszedł do Owensa, wziął od niego klucze i po chwili otworzył drzwi na oścież. Kiedy sięgnął za futrynę i zapalił światło, mężczyźni ujrzeli długi murowany tunel o wigotnych ścianach.

- Prowadzi do budynku sądu. No, nie traćmy czasu.

Accum, Owens i Dunlap zniknęli w tunelu. Slaughter ostatni raz rzucił okiem na związanych strażników, pomachał im na pożegnanie, po czym zatrasnął drzwi i przekręcił klucz. Puścili się biegiem.

Tupot butów niósł się echem po całym tunelu. Było ślisko. Z sufitu kapały na głowę krople wody. Slaughter zauważył, że wypuszcza ustami parę; wyraźnie czuł, jak od murów ciągnie ziąbem i wilgocią. Musiał się schylać, żeby nie uderzyć głową w zwisające z sufitu żarówki. I wreszcie dobiegli do zakrętu, za którym znajdowały się kolejne drzwi.

- Zamknięte. Trzeba otworzyć.

Mocował się z kluczem, ale bez skutku.

- Co jest, do cholery?

Wtem uświadomił sobie, że drzwi prawdopodobnie były otwarte i że to on, kręcąc kluczem, zamknął je na zasuwę. Jeszcze raz włożył klucz, obrócił go i nacisnął klamkę. Lekko pchnął drzwi, słuchając z przerażeniem, jak skrzypią. Za nimi panował mrok.

- Mamy przed sobą korytarz - wyjaśnił. - Na końcu są schody.

Zgasił światła w wilgotnym tunelu.

- Ale... - ktoś zaczął protestować.

- Nie chcę, żebyśmy stanowili łatwy cel. Musimy iść po omacku.

Posuwali się naprzód wolno, niepewnie. Ich kroki dudniły o wiele za głośno na

kamiennej posadzce. Wtem Owens jęknął z bólu.

- Cicho.

- Wpadłem na stół.

- Cicho. Tam wyżej ktoś może być.

Brnęli dalej po omacku. Slaughter wyciągnął rękę sprawdzając, co ma przed sobą. Powinniśmy już być przy schodach - pomyślał, i nagle trafił butem w drewniany występ. Przytrzymując się poręczy, ruszył schodami do góry.

- No nareszcie - westchnął Owens.

Slaughter wspinał się dalej, nie tracąc czasu na przypominanie weterynarzowi o konieczności zachowania ciszy. Na parterze nie paliła się ani jedna żarówka, ale w świetle księżyca, które sączyło się do środka przez okna, ujrzeni najpierw drzwi, a za nimi obszerny hol. Z zewnątrz rozległy się strzały.

- Poczekajcie - szepnął Slaughter i wszyscy stanęli, wstrzymując oddech. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym oznajmił: - Wyjdziemy tylnymi drzwiami. Diabli wiedzą, może budynku pilnują wartownicy. Nie po to uciekaliśmy, żeby zaraz dać się schwytać.

Prowadził przyjaciół ciemnym holem, mijając po drodze puste pokoje. Rozkład budynku był taki sam jak posterunku. Wreszcie dotarli do tylnych drzwi. Slaughter wyjrzał przez małe okienko, popatrzył na swoich towarzyszy, po czym nacisnął klamkę i wyszedł na oświetlony księżycem plac.

Krzyki, strzały.

- Musimy się przekraść w tamtą stronę. Zostawiłem wóz za posterunkiem. Powinno nam się udać.

Wśluchując się w strzały i jednocześnie myśląc intensywnie o tym, jak przedostać się niezauważenie na drugi koniec placu, gdzie zaparkował radiowóz, skręcił z chodnika na trawnik i nagle dostrzegł, jak zza krzaków wyłaniają się dwie postacie. Natychmiast przypomnieli mu się ci dwaj chłopcy w sklepie i niewiele brakowało, żeby strzelił. W ostatniej chwili powstrzymał się jednak; nie będzie zabijał wartowników. Trudno, złapali go. Ale przynajmniej się starał. Opuścił wycelowaną broń i czekał, aż podejdą. Na widok Rettiga wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Chryste - szepnął Owens.

- Tak długo się nie pojawialiście, że już chciałem odejść. Wreszcie zgadliście, co wam podesłałem?

- Bardzo chytrze to wymyśliłeś - pochwalił go Slaughter.

- Nie ja. Marge. - Rettig odwrócił się do kobiety, która stała za jego plecami. -

Pamiętała, co pan mówił, szefie, o tych kratkach na dole. Że są słabe i przerdzewiały.

Slaughter popatrzył na Marge i uściskał ją mocno.

- Dziękuję - powiedział. I widząc jej zapłakane oczy, dodał: - Nie martw się. Ta kobieta...

- To teraz nieważne - rzekła Marge. - Może dla niej lepiej, że umarła.

Strzelanina i krzyki przybrały na sile. Slaughter potrząsnął głową.

- Na miłość boską, co tu się dzieje? - spytał.

- Parsons kazał mieszkańcom zebrać się na boisku.

- Zwariował?!

- No właśnie. Wszyscy na kupie, pod gołym niebem.

- Nie mamy co tu dłużej stać. Ruszamy na boisko - zdecydował komendant.

- Beze mnie.

Wszyscy spojrzeli na Owensa.

- Nie wiem co z żoną i dziećmi - wyjaśnił weterynarz.

- Nie musisz nic mówić - powiedział Slaughter. - Leć do domu. Później pogadamy.

Ale obydwaj wiedzieli, że już nigdy nie powrócą do tego tematu.

Owens przestępował z nogi na nogę.

- Obiecałeś zostać z nami do zachodu słońca. Słowa dotrzymałeś.

- Niby tak.

Weterynarz wzruszył ramionami, po czym otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale po chwili zmienił zdanie i wolnym krokiem ruszył przed siebie; potem skręcił, minął budynek sądu i znikł w ciemnościach.

Slaughter odprowadził go wzrokiem.

- Szefie, dam panu mój rewolwer, a sam wstąpię na posterunek po drugi. - Rettig odpiął pas z kaburą i podał go komendantowi.

Slaughter z zadowoleniem poczuł przy biodrze znajomy ciężar.

- Co z twoją rodziną? - spytał.

- Wyjechali po południu. Prosiłem brata, żeby ich odwiózł.

- Owensowi też chodziło tylko o to, żeby zapewnić bezpieczeństwo rodzinie. -

Spojrzał w stronę, skąd dochodziły odgłosy strzałów. - No, idziemy.

- Tylko nie hałasujcie na parkingu, szefie. Parsons zostawił na posterunku kilku swoich ludzi.

- Postaram się nie rzucać w oczy. Idziesz? - zwrócił się do Accuma.

- Nie, czeka mnie sporo pracy.

Slaughter skinął głową ze zrozumieniem.

- A ty? - spytał dziennikarza.

- Zamierzam dotrzeć do końca.

Marge wysunęła się do przodu.

- Nathan, jeśli myślisz, że pójdziesz gdziekolwiek beze mnie, to chyba oszalałeś.

- Wszyscy oszaleliśmy.

Skierowali się na parking.

96

Ludzie z grupy Hammela stali przy dwóch samochodach, którymi zablokowali boczną ulicę, i patrzyli na dziwną zgraję, która napierała w ich kierunku. Może dlatego, że niedawno zabił człowieka, Hammel miał opory przed ponownym użyciem broni. Inni jednak, zdjęci wstrętem, mrużyli oczy, żeby nie oślepił ich blask latarni, i strzelali raz po raz. Hammel rozejrzał się; nagle spostrzegł więcej postaci zbliżających się z drugiej strony. Wskazując je rewolwerem, krzyknął:

- Wycofujemy się! Okrążają nas!

Zaskoczeni mężczyźni przerwali ogień, zerknęli w prawo, potem na wprost. Ze strachu przełknęli ślinę i jak jeden mąż puścili się biegiem. Co sił w nogach gnali w kierunku boiska.

97

Ludzi na trybunie ogarniał coraz większy strach. Siedzieli skuleni, z przerażeniem przysłuchując się strzałom, które rozlegały się coraz bliżej. Niektórzy zrezygnowali z niepewnego schronienia, jakie dawała trybuna, i przenieśli się na boisko. Na polecenie Parsonsa ochotnicy z bronią ustawili się w szeregu, twarzą do budynków. Nagle pomiędzy domów wyskoczyli policjanci strzelający do jakichś niewidocznych celów. Po chwili

odwrócili się i popędzili w kierunku boiska. Parsons kazał zaprzestać ognia, dopóki nie znajdą się w bezpiecznym miejscu. Po kilku sekundach z bocznej ulicy wypadła kolejna grupa, tym razem cywilów, a za nią następna.

- Wstrzymajcie ogień! - zawołał burmistrz.

Wtem zza rogu wybiegł pies. Ktoś strzelił. Inni natychmiast poszli za jego przykładem.

- Wstrzymać ogień, do jasnej cholery!

Ale w tym momencie pojawiła się jeszcze jedna grupa. Kiedyś byli to normalni ludzie, sąsiedzi zgromadzonych na trybunie mieszkańców Potter's Field. Teraz w niczym ludzi nie przypominali; wykonując jakieś dziwne, gwałtowne ruchy, biegli tocząc pianę i warcząc zajadle. Łoskot strzałów był ogłuszający.

98

Zobaczył, że w oknach nie palą się światła, choć samochód stoi na podjeździe. Dwie przecznice dalej posypały się strzały. Owens ruszył biegiem do domu. Nagle kątem oka dostrzegł w mroku jakiś ruch. Na schodach odwrócił się i ujrzał psa. Nacisnął klamkę, drzwi jednak były zamknięte. Pies podchodził coraz bliżej. Owens zawołał żonę, ale bez skutku. Wybił więc szybę w drzwiach, wsunął do środka rękę i przesunął zasuwę. Po chwili był już w domu. Nagle usłyszał skrobanie. Dobiegało od ogrodu. O Boże, jestem otoczony, pomyślał ze strachem!

99

Przedzierały się przez las. Stawał się coraz rzadszy. Zbocze opadało łagodnie, przechodząc w równinę. Trawione głodem, gnały w stronę boiska, z którego dobiegały grzmoty.

100

Z wyjącą na dachu syreną Slaughter dojechał do skrzyżowania. Wzdłuż całej jezdni stali uzbrojeni mężczyźni i strzelali. Na widok hord wybiegających z bocznych uliczek i zagradzających mu drogę, skręcił na podwórze, przebił się wozem przez żywopłot, rozwalił parkan i znalazł się na tyłach strzelających. Wkrótce dotarł do otoczonego wysoką siatką boiska. Wskoczył z samochodu. Marge i Dunlap również.

Podbiegł do nich Parsons.

- Musi mi pan pomóc.

- Chryste, szkoda, że wcześniej pan o tym nie pomyślał! Trzeba włączyć wszystkie reflektory! - zawołał Slaughter, wyciągając z kabury broń.

- Ale ja...

- Musi być jak najjaśniej, bo czują wstręt to światła!

- Ja to zrobię - odezwał się jakiś głos. - Wiem, gdzie jest przełącznik.

Mężczyzna oddalił się pośpiesznie.

Widząc, jak majaczące w mroku sylwetki padają od ognia, Slaughter pomyślał sobie, że może jeszcze nie wszystko stracone, ale nagle ludzie na trybunie zaczęli krzyżeć i wskazywać las po drugiej stronie boiska. Slaughter zmarszczył czoło i po chwili, mimo grzmotu strzałów, usłyszał dochodzące z lasu wycie. Zanim chmura przysłoniła księżyc, zobaczył, że las się rusza.

Dunlap jęknął, kiedy dojrzał rogi.

101

Rettiga dręczyły wyrzuty sumienia. Kiedy Slaughter z Marge i Dunlapem odjechali na boisko, udał się na posterunek po pas i broń, ale cały czas myślał o Owensie. Dlaczego pozwolili, żeby samotnie wracał do domu, w dodatku pieszo? Jego żony i dzieci pewnie już tam nie było. Albo opuścili miasto, albo byli na boisku. Kiedy zatrzymał samochód przed domem weterynarza, zobaczył sforę rozwścieczonych, wyjących psów, a także stłuczone szyby w oknach i podrapane pazurami drzwi. Nie opuszczając wozu, zaczął strzelać.

Najpierw pojawiły się jelenie, potem sarny, a za nimi mniejsze stworzenia. Wybiegły z lasu i pędziły przed siebie w popłochu, z przerażeniem w oczach, byle dalej od koszmaru, który je ścigał.

Slaughtera przeszły po plecach ciarki. Słyszac jęki Dunlapa i krzyk ludzi na trybunie, nagle zrozumiał, że wszystko, co działo się do tej pory, było zaledwie wstępem. Wtem wydało mu się, że widzi wystające nad krzakami kije hokejowe, niezliczoną ilość kijów hokejowych, które uderzały o siebie, wypełniając las stukaniem. Stał oniemiały ze strachu, świadom, że nic gorszego nie może go już w życiu spotkać. Powoli ogarniał go obłęd. Zza krzaków wylewała się warcząca horda i gnała w stronę boiska. Ohydne kreatury miały w sobie coś z człowieka, coś z jelenia, wilka, kota i niedźwiedzia, coś z dziesiątek różnych stworów. Dzikie, budzące grozę bestie. Te części ciała, które były ludzkie, ludzkich w niczym nie przypominały. Twarze bez nosów, brakujące uszy i palce, kikuty zamiast nóg.

Slaughter otrząsnął się z odrętwienia.

- Marge, będziesz mi potrzebna.

Ruszył przed siebie, nie oglądając się nawet, czy kobieta za nim idzie. Wiedział, że tak.

Kiedy nie odbywały się żadne imprezy sportowe, przedsiębiorstwa miejskie zostawiały na parkingu obok boiska swoje ciężarówki. Tylko w jednym celu - pomyślał w nagłym olśnieniu. Żeby on, Slaughter, mógł uratować siebie i innych. Był pewien, że zwariował. Ale tak jak się spodziewał, wśród ciężarówek stała cysterna. Cysterna z napisem ŁATWOPALNE, zawierająca płyn do tępienia owadów niszczących drzewa. Również tak jak oczekiwał, kluczyki były w stacyjce, a pod siedzeniem leżało kilka pochodni.

Podał je kobiecie.

- Odwiń szlauch z tyłu - poleciał jej.

- Ale, Nathan...

- Nie dyskutuj. Potem przerzuć dźwignię. Kiedy wóz ruszy, potrzyj pochodnię o ziemię i wrzuć do wyciekającego płynu.

Dwie rzeczy przekonały go, że podjął słuszną decyzję. Najpierw zza chmury ponownie wyjrzał księżyc. Ohydne kreatury zaczęły wyć, kulić się. A potem nad boiskiem rozbłysły reflektory. Pełne bólu wycie przybrało na sile.

Obrócił kluczyk w stacyjce; silnik zawarczał. Slaughter wrzucił bieg. Ciecz

zachlupotała w cysternie, kiedy nacisnął pedał gazu; ruszył przed siebie, mierząc prosto w dziką zgraję.

Kreatury dostrzegły go i zaczęły gnać ku niemu, żeby na nim wyładować furie.

Przejęty swoją misją, gotów był umrzeć, po chwili jednak zreflektował się, wrzucił jałowy bieg i trzymając ręce na kierownicy, wysunął się z kabiny. Stojąc na stopniu, podjechał jeszcze kawałek, pilnując, by pojazd nie zjechał z drogi, a potem zeskoczył na ziemię, potoczył się kilka metrów, poderwał się i, nie zważając na ostry ból w ramieniu, pobiegł co sił w nogach. Nagle wyrosła przed nim ściana ognia i w tym samym momencie usłyszał za sobą hałas. A potem strzał. Padł na ziemię; huczący ogień przemknął obok niego, pędząc jak po sznurku w stronę cysterny.

Nastąpiła eksplozja tak silna, jakby zrzucano potężną bombę. W powietrze wzniosł się grzyb ognia. Z ubrania Slaughtera dobywał się dym; tliło się, a on nie potrafił go ugasić. Na ziemię spadały kawałki metalu, zewsząd zaś rozlegało się potępieńcze wycie. A potem nie słyszał nic.

103

Marge ściągnęła kurtkę i waliła nią w Slaughtera, usiłując zgasić jego płonąca koszulę. Czowała woń spalenizny - na szczęście nie od Nathana, lecz od zwęglonych kreatur nie opodał. Ludzie zbiegli się i starali jej pomóc.

Slaughter zatoczył się i jęcząc z bólu, przytulił ją do siebie, po czym spojrzał na paskudztwo, które o mało go nie dogoniło. Leżało teraz martwe, z przedziurawionym czołem.

- Kto...?

- Na coś się jednak przydałem, prawda, Slaughter?

Głos należał do Parsons'a; popatrzyli na siebie.

- Ale to pan wygrał, nie ja - dodał burmistrz.

- Co z resztą tych potworów?

- Wszystkie nie żyją.

Slaughter powiódł wzrokiem po palących się ciałach, które zalegały boisko.

- Ale skąd się one wzięły?

104

Rettig usłyszał eksplozję, która nastąpiła na boisku, ale nie miał czasu rozmyślać nad tym, co się stało. Zabił właśnie wszystkie psy kręcące się po ogrodzie i teraz wchodził do domu Owensa. Na schodach powalił jeszcze jednego. Zawołał weterynarza, ale odpowiedziała mu cisza. Na piętrze kolejny pies zginął od jego kuli. Rettig nacisnął klamkę - drzwi do łazienki były zamknięte od wewnątrz. Wziął rozpęd, huknął w nie barkiem i je wyłamał. Wtedy ujrzał w wannie skulonego Owensa.

- Cholerne psy. Już w życiu żadnego nie dotknę - powiedział weterynarz.

105

Podeszli przyjrzeć się trupom. Zobaczyli głowy z przywiązanymi rzemieniem rogami jeleni, ciała okryte skórą niedźwiedzi lub rysi - Slaughterowi natychmiast przypomniały się przemykające cienie za stodołą, które wziął za rysie - przyczepione z tyłu wilcze kity, zarośnięte twarze, długie włosy. Rzucił się w oczy brak palców, uszu, nosów.

- Odmrozili sobie - powiedział ktoś. - To ci hipisi z obozu.

Dunlap wciąż wydawał ciche jęki.

- Ale co się z nimi stało? - spytał Slaughter. - Te rogi. Nie rozumiem...

- Wszystko się wyjaśni, jak trafimy do obozu.

106

Accum patrzył, jak dowożono coraz więcej ciał. Wiedział, że praca zajmie mu przynajmniej kilka dni i nocy; tak, kilka koszmarnych nocy. Wiedział też, że kiedy wykona swój obowiązek, już nigdy nie zechce mieć nic wspólnego z trupami. Teraz odczuwał do nich tylko wstręt. Zamierzał wyjechać z Potter's Field i poświęcić się leczeniu żywych.

Parsons stał przy oknie w swoim gabinecie.

- No to co robimy? - spytał Slaughter. - Bo albo możemy dalej ze sobą walczyć, albo wspólnymi siłami starać się doprowadzić sprawę do końca.

Burmistrz nie odwrócił się; nadal spoglądał przez okno.

- Do rana zjadą się tabuny ludzi - ciągnął Slaughter. - Dziennikarze, przedstawiciele władz, prawnicy. Jest tu jeszcze mnóstwo do zrobienia, ale chyba najpierw powinniśmy się pogodzić. Nie obwiniam pana o nic. Sądzę, że działał pan w dobrej wierze. Ja też.

Parsons milczał, uparcie wpatrując się w nocne niebo.

- Nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły. Czeka nas wiele pracy. Potrzebujemy się nawzajem.

Wreszcie burmistrz odwrócił się do niego. Widać było, jak przełyka ślinę.

- Pewnie nie mam wyboru - rzekł.

- Ja też nie.

- Co pan proponuje? - spytał Parsons.

- Zbiórka na boisku była dobrym pomysłem - powiedział Slaughter. - Mam zastrzeżenia co do czasu, ale nie co do miejsca. Niech tam wszyscy na razie zostaną, a rano dokończymy przeszukiwać domy. Teraz, kiedy ludzie rozumieją niebezpieczeństwo, myślę, że pójdą nam na rękę. Każde zwierzę będzie musiało przebyć kwarantannę, ale tym się zajmą fachowcy z zewnątrz.

- A co z bydłem?

- Nie wiem. Trzeba będzie je dokładnie obserwować.

Parsons pochylił się, przygarbił, jakby władza, którą dzierżył od dwudziestu lat, za bardzo zaczęła mu ciążyć.

- Nie widzę końca problemów - rzekł. - Co zrobimy ze zwierzętami w górach?

- Groźne są te na zachodnich zboczach. Musimy je wystrzelać.

- Przecież to niemożliwe.

- Wiem.

- Wystarczy jedno zwierzę zarażone wirusem. Jeśli je przeoczymy, wszystko zacznie się od początku. Zakładamy, że wirus nie rozprzestrzenił się dalej. Ale jeśli się mylimy?

Slaughter w milczeniu pokiwał głową.

108

Accum spoglądał przez okno na przywiązaną do łóżka postać, która mimo że znajdowała się w delirium, od czasu do czasu warczała. Chociaż padał z nóg ze zmęczenia, obserwował ją z zafascynowaniem. Przez całą noc, kiedy uwijał się przy ciałach, których dowożono coraz więcej, jedna myśl nie dawała mu spokoju. Sądząc po wyniszczeniu organizmu, przybysz z obozu w górach musiał zarazić się wirusem dość dawno temu. Więc jakim cudem żył tak długo? Kiedy tak stał za szybą, nie spuszczać oczu z postaci na łóżku, coś mu zaczęło świtać. Może zaatakowany wirusem organizm potrafi uodpornić się na zarazki? Dotąd zakładał, że kiedy chory popada w stan śpiączki, wirus nie wykazuje aktywności, a uaktywnia się znów, gdy chory odzyskuje przytomność. Ale jeśli się myli? Jeśli wyjście ze śpiączki oznacza, że organizm chorego zwalczył wirusa? Wówczas groźba zarażenia się mijałaby po kilku pierwszych godzinach. Wykorzystując martwe, zaatakowane wirusem komórki oraz antyciała, jakie musiały się wytworzyć w organizmie, można by przystąpić do pracy nad szczepionką. Accum uśmiechnął się. Tak, poświęci swój czas na zwalczanie śmierci. Wyobrażając sobie piekło, przez jakie przeszedł ten biedak na łóżku, zrobiło mu się go żal.

109

Dunlapowi śniły się rogi.

110

Dwa dni później ujrzeli na własne oczy święty przybytek hipisów. Wyjechali z miasta ciężarówkami. Kiedy droga się urwała, ruszyli pieszo przez żleby i jary. Po pewnym czasie natrafili na zerwany most, po którym kiedyś jeździł pociąg. Tory prowadziły do jednej z przełęczy. Środkowa część mostu zawaliła się dawno temu, ale wsporniki przy ścianie skalnej wyglądały solidnie. Zaczęli się po nich wdrapywać, wszyscy po kolei: Slaughter, Marge,

Dunlap, Retting i Hammel, Accum, Parsons i inni. Kiedy wspięli się na wietrzną przełęcz, ujrzeli przed sobą niewielką dolinkę. Tu właśnie kryło się rozwiązanie zagadki.

- Chryste, tak żyło się tysiąc lat temu.

- Raczej trzydzieści lub czterdzieści tysięcy lat temu.

Mieli wrażenie, że znaleźli się w epoce lodowcowej, i to wcale nie dlatego, że śnieg zalegał na wznoszących się wokół szczytach. Niby dotarli do Motherlode, ale była to całkiem inna osada od tej, w której niegdyś mieszkali górnicy. Zamiast chat czy baraków pokrytych blachą falistą, które przez lata uległy zniszczeniu, zobaczyli prymitywne, drewniane szałas, kamienne narzędzia oraz stosy gnijących zwłok. Ulice zawałone były stertami śmieci, a gdziekolwiek się człowiek obrócił, widać było totemy: ustawione na skałach rogi, wbite na pale niedźwiedzie głowy, kopce usypane z kości, szkielety ułożone w przedziwne wzory. Wiatr hulał i gwizdał.

- Cofnęli się w rozwoju... Wszyscy popatrzyli na Accum.

- ...do samych początków, do epoki kamienia łupanego. Nie różnili się właściwie od zwierząt.

- Czuli je - wtrącił Owens.

Wszystkie pary oczu skupiły się na nim.

- Panował tu kult śmierci.

- Hej, zobaczcie! - doleciał z tunelu czyjś głos.

Slaughter podążył w jego kierunku; inni za nim.

Ujrzeli malowidła ściennie wykonane barwnikami naturalnymi zmieszany z kraszoną gliną: żółte, czarne i czerwone sylwetki niedźwiedzia, sarny i antylopy uwiecznionej w pięknym, pełnym wdzięku skoku. Wokół zwierząt narysowano lecące na nie kamienie i maczugi.

- Boże.

Niedźwiedź wyglądał jak żywy, zupełnie jakby blask latarek zbudził go z zimowego snu; antylopa i sarna miały takie spojrzenia, jakby wiedziały - i godziły się z tym - że na końcu łowów oddadzą życie, by inne stworzenia mogły żyć.

Przesuwali się wolno w głąb tunelu, wszyscy poza Slaughterem i Marge.

- Co ci jest? - spytała kobieta.

- Nic. Po prostu odkąd się z tym uporaliśmy, czuję się... jakoś inaczej.

- Lepiej?

- Chyba tak. Nie mówiłem ci tego przedtem, ale kiedy szedłem do cysterny, miałem wrażenie, że coś mnie pcha naprzód, zmusza do działania, niemal wbrew mojej woli.

- Nie za bardzo...

- Ja też tego nie rozumiem, ale czułem się tak, jakbym kiedyś, dawno temu, już to robił.

Marge przypatrywała mu się uważnie.

- A Parsons?

- Postąpił najlepiej, jak potrafił. Nie mam do niego pretensji. Zresztą teraz to i tak nie ma znaczenia.

- Co z Accumem?

- Postanowił wyjechać.

- A Owens?

- Nie chce mieć więcej do czynienia ze zwierzętami.

- Dunlap?

Nagle dobiegł ich krzyk z głębi tunelu.

- O Chryste!

Rzucili się pędem i wkrótce trafili do krypty, czy raczej komory grobowej, pełnej ciał obłożonych różnymi koralikami, bronią, resztkami jedzenia; najwidoczniej mieszkańcy obozu spodziewali się, że tak jak wcześniej inni, ci zmarli również obudzą się z głębokiej śpiączki, na jaką zapadli.

- Swoisty kult śmierci - powiedział Slaughter, a echo powtórzyło jego słowa. - Wierzyli, że są nieśmiertelni. Że powracają do życia.

- Ale nie każdy wracał.

W sali znajdowały się szkielety i ciała na różnym etapie rozkładu. Robaki toczyły ciała niedawno zmarłych, a pewnie i takich, co jeszcze żyli.

Smród był potworny, wdzierał się do płuc, powodował odruch wymiotny.

- Dunlap?

Dziennikarz znikł.

Slaughter poszedł szybko na koniec komory, gdzie zauważył otwór wiodący do następnej sali. W niej dostrzegł przyjaciela.

A także trzy inne rzeczy.

Pierwszą był samochód. Promień latarki oświetlił czerwoną Coryettę. Slaughter zaniemówił z wrażenia. Nie miał pojęcia, jakim cudem udało się hipisom przetransportować wóz aż tutaj, ani co za szaleństwo ogarnęło Quillera, że kazał im to zrobić.

Drugą rzeczą była barwa ścian: znajdowali się w czerwonej sali - sali tronowej. W samochodzie, z rękami na kierownicy, jakby pędził ku wieczności, siedział rozkładający się

trup Quillera. Przystrojoną rogami głowę miał uniesioną do góry.

A w górze, tam gdzie patrzyły jego puste oczodoły, była właśnie trzecia rzecz.

Dunlap wpatrywał się w nią szeroko wytrzeszczonymi oczami.

Slaughter poświecił latarką na sufit. Ujrzał narysowaną węglem, skręconą postać o okrągłych, łypiących złowrogo ślepiach, postać jak z koszmarnego snu, o cechach człowieka, jelenia, kota, wilka, z rogami, pazurami, brodą, ogonem. ..

Nie wytrzymał. Spuścił wzrok i odwrócił się do Dunlapa.

- Co to za...

Ale wiedział, że nie ma co liczyć na odpowiedź. Dziennikarz był gdzieś daleko, w innym świecie, w innym czasie.

Gdy położył rękę na jego ramieniu, Dunlap drgnął, podszedł do samochodu i dotykając go, uklęknął na ziemi.

Slaughter obejrzał się. Z mroku wyłoniła się Marge, Accum i inni.

- O mój Boże.

Słowa te nie padły ani z ust Slaughtera, ani Marge czy Accum. Padły z ust Dunlapa.

- O mój Boże - powtórzył jak echo. Nareszcie osiągnął wewnętrzny spokój: znalazł to, po co przyjechał.

111

Slaughter siedział na werandzie; obok Dunlap, z wzrokiem utkwionym w góry, kołysał się na fotelu bujanym, a w kuchni Marge gotowała posiłek.

- O mój Boże - szepnął dziennikarz, choć już coraz rzadziej powtarzał te słowa.

Slaughter, pociągając piwo z puszki, podszedł do przyjaciela i okrył go lepiej kocem.

- Uważaj, stary, żebyś się nie przeziębził. Chcesz piwa?

Dunlap kołysał się dalej bez słowa.

- Śmiało, łyknij sobie.

Komendant delikatnie przytknął mu puszkę do ust i patrzył, jak płyn zawierający alkohol, bez którego dawniej Dunlap nie mógł się obejść, cieknie przyjacielowi po brodzie.

- Przynajmniej odzyskał wiarę - powiedział sam do siebie. - Może to nie takie złe.

W pewien sposób on też odzyskał wiarę. Nareszcie żył w zgodzie z samym sobą. Accum wynalazł szczepionkę. Dwaj chłopcy ze sklepu odeszli w zapomnienie. W dolinie

znów panował spokój. A on sam patrzył z optymizmem w przyszłość.

W drzwiach pojawiła się Marge.

- Jak ci idzie? - spytał z uśmiechem.

- Nie wiem, dlaczego przyniosłam ci do więzienia fosfor. To chili według twojego przepisu stopiłoby każdy metal.

Parsknął śmiechem.

- O której przyjadą goście?

- Za jakieś pół godziny - odparł.

- Dobrze, mamy trochę czasu.

- Aż nadto. Jest jakiś sposób, żeby to trwało tak długo? - zażartował.

- Jest, tylko musimy nad tobą popracować. Ale nie dlatego pytałam.

Czekał, co powie.

- Chciałam cię o coś spytać. Dlaczego tamtej okropnej nocy, kiedy ruszyłeś do cysterny, akurat mnie prosiłeś o pomoc?

Zadumał się.

- Chyba dlatego, że jesteś jedyną osobą, której mogłem powierzyć swoje życie.

Milczeli.

- To chyba coś znaczy, prawda?

- Nie jestem pewna co - odparła.

- Czy ty powierzyłabyś mi swoje?

- Bez wahania.

- Za miesiąc?

- Choćby za tydzień.

Wziął ją w ramiona. Słyszał, jak na pastwisku za domem konie, które niedawno nabył, dokazują radośnie. Słońce chyliło się ku zachodowi, a u podnóża gór rozległo się wycie kojota.

Dunlap podniósł rękę w geście błogosławieństwa. Usłyszeli jego szept:

- O mój Boże.